

KOLEJNY ODCINEK SERII
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ

PORĘBA DO OPOZYCJI:
PREZES KACZYŃSKI JESZCZE NIERAZ DA WAM W KOŚĆ

GRZEGORZ GÓRNY
MIERZY SIĘ Z TEMATEM PEDOFILII W KOŚCIELE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 35 (300) 2018
27 sierpnia–2 września
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

300. WYDANIE TYGODNIKA

LECH WAŁĘSA, RADOSŁAW SIKORSKI I RÓŻA THUN DOMAGAJĄ SIĘ ANULOWANIA ZAKAZU WJAZDU LUDMIŁY KOZŁOWSKIEJ DO UE

CZY WIECIE, ŻE CI, KTÓRYCH BRONICIE, TO

AGENTURA WPŁYWU

UJAWNIAMY, DLACZEGO POLSKIE SŁUŻBY UZNAŁY LUDMIŁĘ KOZŁOWSKĄ ZA ZAGRAŻAJĄCĄ BEZPIECZEŃSTWU PAŃSTWA

LUDMIŁA KOZŁOWSKA
PREZES FUNDACJI OTWARTY DIALOG

BARTOSZ KRAMEK
MĄŻ LUDMIŁY I PRZEWODNICZĄCY FUNDACJI OTWARTY DIALOG

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **PRECZ Z KOMUNĄ**
  Solidarność walcząca kontra komunistyczna władza PRL
- **KRÓL Z WYBORU**
  Wolna elekcja w Rzeczypospolitej – blaski i cienie
- **100 LAT ARMENII**
  Jak rodziła się niezależność narodu ormiańskiego?



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

Morawiecki na celowniku

Ostatnie tygodnie przyniosły zaostrzenie ataków opozycji i mediów na premiera Mateusza Morawieckiego. Oczywiście wciąż głównym celem pozostaje prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, co widać choćby na wulgarnych i nieprawdziwych billboardach Platformy rozwieszonych w całym kraju. Ale Morawiecki też obrywa coraz mocniej. A to rzekomo „lud pisowski go nie lubi", a to miał być „banksterem", a to „wygłosił tyradę zachrypniętym głosem", a to miał się niesłusznie chwalić udziałem we wprowadzaniu Polski do Unii (naprawdę brał w tych pracach udział).

O co tu chodzi?

Wydaje się, że w pierwszych miesiącach po wymianie lubianej i cenionej premier Szydło na Morawieckiego środowiska opozycyjne liczyły na rozbudzenie konfliktów wewnątrz obozu pisowskiego. Potem obstawiały odejście nowego rządu od programu zasadniczych zmian. Ani jedno, ani drugie się nie spełniło. Morawiecki jest inny od poprzedniczki, inne cechy wybijają się na pierwszy plan, ale kierunek działań pozostaje ten sam. Co najważniejsze, po tych ośmiu miesiącach widać, że Jarosław Kaczyński dobrze zaplanował tę układankę. Szydło pozostała w rządzie, lojalnie pracuje na jego sukces. Morawiecki jako premier wniósł nowy styl, nadał nową dynamikę rządowi. Struktura obozu rządzącego nie tylko nie pękła, lecz również została wzmocniona.

Opozycja też to zauważyła i stąd te ataki.

Michał Karnowski

Stawka większa niż stolica

Polityczny bój o Warszawę ma znaczenie ogólnopolskie, jego wynik będzie ważnym elementem oceny całej kampanii samorządowej. Ale stawką jest coś więcej niż tylko władza w stolicy. Ewentualne zwycięstwo Patryka Jakiego może bowiem oznaczać ważne przełamanie w całym kraju. Przełamanie i polityczne, i psychologiczne.

Jeśli Jaki wygra, będzie to oznaczało, że najgorętsza faza konfliktu, owej rzekomej „wojny polsko-polskiej", dobiega końca. Że podstawowe narzędzie polityczne opozycji, znacznie dla niej ważniejsze niż niewidzialny program, a więc „antypisizm", traci swoją moc. Że nawet dla wyborców warszawskich, tak specyficznych, ważne są konkrety, a nie zwietrzała, coraz bardziej agresywna ideologia. Wreszcie, że społeczeństwo nie godzi się na złodziejską reprywatyzację, że chce Polski bez systemowych patologii. Rozstrzygnięcie korzystne dla Patryka Jakiego podważyłoby więc same fundamenty opozycji i mogłoby przynieść korzystne dla Polski przemodelowanie jej sposobu działania i myślenia.

Faworytem w Warszawie wciąż jest Trzaskowski. Widać jednak, że kandydat Zjednoczonej Prawicy mobilizuje wyborców znacznie lepiej niż konkurent. Wokół kandydata PO panuje wręcz swego rodzaju pustka. Wysokie poparcie nie przekłada się w jakikolwiek sposób na zauważalny entuzjazm społeczny. Platforma zdaje się traktowana, nawet przez własnych zwolenników, jako partia, która nie ma nic ciekawego do zaproponowania, jest partią, na którą „szkoda czasu". Partią, która może wygrać wyłącznie dzięki negacji. I dlatego w tę negację zainwestuje wszystko.

Jacek Karnowski



Autopromocja

eprasa.pl ef95b0f035

SIECI spis treści



34 *Trzaskowszczyzna*
Stanisław Janecki



51--66 Dodatek historyczny
Bohaterowie Niepodległej (cz. VIII)



80 Tęczowa ośmiornica oplata Kościół
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TEST NA „TOTALSA”**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **LATO Z ŻARTEM (7)**
Jan Pietrzak

15 **NOWE SZATY PAŃSTWA PRAWA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **DLA DOBRA DZIECI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **CAŁA PRAWDA O KRAMKU I KOZŁOWSKIEJ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

30 **Z TOMASZEM PORĘBĄ**
rozmawia Michał Karnowski

34 **TRZASKOWSZCZYZNA**
Stanisław Janecki

37 **NIE LEKCEWAŻYĆ BILLBOARDÓW**
Piotr Skwieciński

40 **PiS, KOGUT I KOT**
Jan Rokita

43 **OSTROŻNIE Z DELEGALIZACJĄ**
Konrad Kołodziejski

46 **BAWARSKI KORNIK I WSZYSTKO JASNE**
Marzena Nykiel

48 **Z ANTKIEM PRZEZ HISTORIĘ**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

67 **DYWIZJON 303: ODSŁONA DRUGA**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **REALNY KOSZMAR**
Łukasz Adamski

74 **RECENZJE**
Przemysław Skrzydelski, Adam Ciesielski

76 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

78 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

80 **TĘCZOWA OŚMIORNICA OPLATA KOŚCIÓŁ**
Grzegorz Górny

83 **Z HENRIM MALOSSE**
rozmawia Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

86 **CZYŻBY SABOTAŻ?**
Konrad Kołodziejski

89 **NA RÓWNI Z PTAKAMI**
Andrzej Skwarczyński

92 **PAŃSTWO POZWOLIŁO BANKOM NA ZBYT WIELE**
Marek Siudaj

SPORT

98 **W DRODZE NA SZCZYT**
Michał Muzyczuk

NATURA DLA LUDZI

100 **LEŚNA KAŁUŻA**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: ŁUKASZ KONOPKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **SZALENI MURZYNI NASZEGO WIEKU**
Piotr Skwieciński

105 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

106 **ARGUMENT RACJONALNOŚCI**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **NIENAWIDZIĆ, NIENAWIDZIĆ!**
Aleksander Nalaskowski

109 **REKRUTANCI**
Wiktor Świetlik

110 **SPOTKANIE W CIENIU DUBLINA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **KORNIK A SPRAWA POLSKA**
Ryszard Makowski

113 **ODLATUJĄ BOCIANY...**
Leszek Długosz

114 **WOLNI I „WOLNI INACZEJ”**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

36/0218/F

eprasa.pl ef95b0f035

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl ef95b0f035



Sygnalista nadaje

Prezes wypoczywał już tradycyjnie w Beskidzie Sądeckim, wędrując w towarzystwie Joachima Brudzińskiego. Ten ostatni zaprezentował całą kolekcję zdjęć: prezes zapatrzony w dal, prezes „zatroskany stanem opozycji", prezes wskazujący kierunek. Poseł PO Michał Szczerba zasugerował, że to przerobione fotki z dawnych lat. „Gdybyście zjedli tysiąc kotletów i wezwali na pomoc Komisję UE, to na nic wasze popiskiwania i zaklinanie rzeczywistości" – odpowiedział Brzechwą szef MSWiA. Widać, że lubi wiersze o jedzeniu.

Tuż przed wiecem z udziałem premiera w Sandomierzu szef sztabu wyborczego PiS Tomasz Poręba rzucił do dziennikarza TVN: „Odejdź stąd, szczylu jeden". Słowa niegrzeczne i niepotrzebne, ale ci, którzy byli blisko całej sytuacji, mówią jasno: dziennikarz celowo prowokował, szukając zadymy. Mimo próśb i ostrzeżeń pchał się z wielką kamerą między ochroniarzy a szefa rządu. Na Zachodzie byłby rzucony na ziemię i skuty. Opozycja ma rację: do Zachodu nam daleko.

Opozycja ma „sukcesy": Krajową Radę Sądownictwa wykluczono z Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa. To jedna z tych instytucji, o których istnieniu dowiadujemy się dopiero wówczas, gdy stanie po stronie rebelii przeciwko legalnej władzy w Polsce. „Będzie to miało ogromne znaczenie dla sądów krajowych Europy" – ucieszył się sędzia Waldemar Żurek. Zapomniał, że do Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa nie należą Austria, Czechy, Cypr, Finlandia, Estonia, Luksemburg, Niemcy, Szwecja. I nie mają problemów. A i na składce pewnie sporo oszczędzają.

Kampania samorządowa PiS kręci się dziś wokół dwóch ludzi: premiera Mateusza Morawieckiego i Patryka Jakiego. Jeden objeżdża kraj, składa obietnice i mobilizuje. Drugi ogniskuje uwagę mediów i toczy codzienny bój z PO, nie odstawiając nogi. Ale za chwilę obu przykryje Jarosław Kaczyński. Prezes jest w doskonałej formie, wypoczęty i pełen energii. Platformo, drżyj!

Kolejny cios stronnictwu BBJB („by było, jak było") wymierzył Jan Rokita. Były polityk PO przypomniał w TVN swoją rozmowę sprzed lat z Andrzejem Rzeplińskim, który powiedział mu jasno: „Jeśli nie wyrwiemy sędziom Krajowej Rady Sądownictwa, to nic się nie da zrobić z polskim wymiarem sprawiedliwości". Co Rzepliński proponował, PiS zrealizowało. Wniosek z tego taki, że partia Kaczyńskiego realizuje nie tylko swoje obietnice.

Generalnie Zachód coś tam dla naszych totalniaków robi, ale coraz częściej wyłącznie dlatego, żeby totalniacy dali mu spokój. Choć na chwilę. Totalniacy chodzą po Brukseli i Berlinie, jęczą, płaczą, błagają, ale politycy to politycy: looserów nie lubią. Skoro protegowani nie poradzili sobie sami, skoro zniechęcili do siebie Polaków, to nikt za nich tej roboty nie wykona. Można pomóc, ale bez przesady, nie tyle, by zmieniać swój styl życia i cokolwiek ryzykować. Zwłaszcza dla looserów.

Opozycja próbuje więc pomóc sama sobie. Zasypała kraj billboardami z gniewnymi hasłami: „PiS wziął miliony i chce być bezkarny", „PiS wziął miliony, a wszystko drożeje", „PiS wziął miliony, a tanich mieszkań nie ma", „PiS wziął miliony, a ludzi nie stać na leki". Internauci mieli sporo uciechy, przerabiając hasła na bardziej prawdziwe. Najpopularniejsze głosi: „PiS wziął miliony i rozdał dzieciom". Można się pośmiać, ale trzeba uważać. W 2007 r. sztabowcy PiS też się śmiali, gdy się dowiedzieli, że PO obiecuje „cud gospodarczy". Po wyborach było mniej śmiesznie.

eprasa.pl ef95b0f035

Ale najważniejszy wniosek ze sprawy billboardów Platformy dotyczy nie haseł, ale pieniędzy. Bo skala tej kampanii robi wrażenie. Tych plakatów są tysiące. To musiało kosztować grube miliony. Ale może aż tyle nie kosztowało? Może życzliwe firmy z branży reklamy zewnętrznej zaoferowały imponujące rabaty i wyszło całkiem tanio? I tak to już będzie tej i kolejnej jesieni: wszystkie ręce na pokład. Także te biznesowe. Upusty odbiorą sobie po wyborach, i to z niezłym oprocentowaniem.



Ale i największe pieniądze mogą nie pomóc, gdy brak kandydatów choć trochę ogarniętych. Taki ***Trzaskowski*** np. poszedł na ustawkę do mieszkania pani z KOD. Gdy zobaczył, że z drzwi wypada „szyba" (faktycznie pleksi), poprosił o taśmę klejącą i wziął się do naprawy. Widać było, że jest z siebie zadowolony. Ledwie odwrócił się po skończonej robocie, pleksi odpadło. „Alternatywy 4". Pół Polski miało ubaw, bo naród może i nie czyta za wiele, może i nie chodzi do teatru za często, ale majsterkować to umie.



Najlepsze w całej historii jest to, że nagraniem z pleksi w roli głównej pochwalił się w sieci sztabowiec Trzaskowskiego, poseł Cezary Tomczyk, dodając z dumą: „Zobaczcie! Taki powinien być Prezydent Warszawy". Trzaskowski nie jest „jak Komorowski". On jest znacznie bliżej Ryszarda Petru. No i z tej perspektywy to dobrze, że nie chciał za wiele w Warszawie budować. Niestety pod presją Jakiego pękł i zaczął składać nowe, niebezpieczne dla warszawiaków obietnice mostowo-metrowe.



A ***Jaki*** zasuwa jak mrówka. Był nawet w Sofii, która buduje metro trzy razy szybciej niż Warszawa, mimo że jest cztery razy biedniejsza. Ale i on nie ma lekkiego życia. Co rusz ktoś z administracji nominalnie pisowskiej podstawi mu nogę. Gdy on twierdzi, iż coś niemiłego mieszkańcom da się cofnąć lub przynajmniej przeanalizować, urzędnicy zaraz zapewnią media, że w życiu, nie da się. A to wszystko raczej nie z umiłowania szczerości.



W kampanię samorządową PO włączyła się Elżbieta Bieńkowska. Wypowiedziała cenną myśl, że „Śląsk jest ważną częścią Europy". Ale widzów tego klipu zafascynowało spojrzenie pani komisarz, a właściwie niebywały wytrzeszcz, który zaprezentowała do kamery. Czy to była próba hipnozy? A może tak objawiają się nieudane zabiegi? W każdym razie spot był przebojem dnia. Wielu nasunął podobną myśl: to są już ludzie z przeszłości. Gdy wróci Tusk, sam się o tym przekona.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3

Ludmiła Kozłowska wciąż robi z siebie ofiarę pisowskiego „reżimu". Ale ona już przegrała. Wiemy coraz więcej. Na przykład o jej dość szczególnym, zdecydowanie prywatnym, a nie służbowym spotkaniu z oligarchą Mukhtarem Ablyazovem. Fragmenty tego niecenzuralnego nagrania pokazała mołdawska telewizja. Mąż pani Ludmiły zareagował ze stoickim spokojem. Czyżby w tej opowieści wszystko, ale to wszystko, było fikcją?

„Nadal można też mówić głośno, co się myśli. Nikt za to nie idzie do więzienia. Na razie" – ogłosiła dramatycznie w „Wysokich Obcasach" Anda Rottenberg, krytyk sztuki i wieloletnia dyrektor Zachęty. I dodała ze smutkiem: „Jesteśmy otoczeni analfabetami, którzy podążają plemiennie za tymi, którzy obiecają im wszystko". Jeśli to analfabeci, to dlaczego Platforma na swoich plakatach umieszcza jakiekolwiek napisy? Trzeba mówić jak do Aborygenów, za pomocą obrazków.

Do Aborygenów w Australii pojechał prezydent ***Andrzej Duda***. Na całe 10 dni. Wyprawa pełną gębą, ale na szczęście dość daleko od dnia wyborów, więc może się do prezydenta nie przylepi. Takie dalekie egzotyczne wyprawy zawsze są ryzykowne dla rządzących: na Japonii potknął się Komorowski, na Peru Tusk („wyprawa życia"). Duda mniej ryzykuje, bo generalnie ma szczęście. Szczęścia nie można jednak nadużywać. Zwłaszcza gdy po drugiej stronie są ludzie, którzy dla zemsty nie zawahają się przed spaleniem polskiego domu.

Jeden z „prawicowych" dziennikarzy, zawsze bardzo obrotny, chwali się listą klientów SKOK Wołomin, którzy w tej upadłej instytucji, powiązanej z WSI, zaciągnęli pożyczki i ich nie spłacają. Odpalił już niektóre nazwiska. Teoretycznie chodzi o napiętnowanie ludzi, którzy wzięli pieniądze i korzystając z okazji, nie chcą ich oddać. Ale praktycznie cała sprawa, jak można usłyszeć, pachnie zupełnie czymś innym. Może nawet szantażem.

Pierwsze urodziny telewizji wPolsce.pl zaszczycili swoją obecnością premier, prezes Trybunału Konstytucyjnego, kilku ministrów i 200 innych ważnych gości. Świętowano skromnie, przy torcie, winie i grillu w knajpce na nadwiślańskim nabrzeżu. Przechodzące wokół lemingi mało nie pospadały do rzeki, gdy zobaczyły tylu pisiorów w jednym miejscu. Trzy osoby krzyknęły nie wiadomo dlaczego: „Konstytucja!" (jakby prawica miała coś przeciw), ale reszta tylko grzecznie łypała. Rację miał klasyk, gdy twierdził, że „lemingów nie można przekonać, ich można jedynie zastraszyć".

eprasa.pl ef95b0f035

Test na „totalsa”



KRZYSZTOF FEUSETTE

W obliczu nadchodzących wyborów samorządowych i zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań „ludzi, którzy chcą odsunąć PiS”, prowadzonych przez Tomasza Siemoniaka i resztę sztabu PO, zwracam się do państwa z prośbą o wypełnienie niniejszego testu psychologicznego. Ma on na celu określić państwa predyspozycje do osiągnięcia opozycyjnego absolutu i oddania głosu na tych, na których trzeba, aby nie łamać zasad demokratycznego państwa prawa. A właściwie: państwa „prawa-lewa”, tworzonego przez tych, którzy wciąż – nogą za nogą, ramię w ramię i wespół w zespół – maszerują w obronie własnych wpływów i pozycji. Analizę własnej przydatności do spożycia przez „totalnych” znajdą państwo na końcu testu. A zatem:

1. Agnieszka Holland pochwaliła się swojej córce, że uśmierciła dwie osoby za pomocą laleczek wudu, aby:
a/ obiecać jej, że już więcej nie będzie;
b/ zaszczepić w niej miłość do bliźniego;
c/ przestała się bawić lalkami;
d/ bardzo dobrze, że to zrobiła, bo jest wielką reżyserką.

2. Na córkę Agnieszki Holland wiadomość ta mogła mieć wpływ:
a/ wyłącznie pozytywny;
b/ troszkę pozytywny, a troszkę nie;
c/ przemożny;
d/ po co w ogóle to pytanie?

3. Reżyser Andrzej Saramonowicz twierdzi, że „Ludzie to niewiarygodni kretyni. Można im wcisnąć każde g...”, bo:
a/ ktoś mu coś wcisnął;
b/ sam próbuje komuś wcisnąć;
c/ naoglądał się wywiadów z Krystyną Jandą;
d/ jest znany i grał u niego Tomasz Karolak.

4. Michał Żebrowski nie planuje na razie udziału w kolejnych filmikach promocyjnych „Dla Rafała”, gdyż:
a/ spot żartobliwie nawiązujący do rozstrzeliwań Polaków w czasie niemieckiej okupacji już zawsze pozostanie jego najgłośniejszym osiągnięciem;
b/ ma żal do prezydent Warszawy, że innym oddawała kamienice, a on dostał tylko kawałek piętra w Pałacu Kultury;
c/ kiedy mówił, że „dla Rafała rzeczywiście dałby się zabić”, to był w roli;
d/ widzowie zorientowaliby się, że tamto rozstrzelanie było tylko na niby.

5. Rafał Trzaskowski woli kupować dżem, niż oglądać defiladę Wojska Polskiego, ponieważ:
a/ oglądać lubi tylko siebie;
b/ chciał tym dżemem przykleić lustro w domu;
c/ nie zna miasta, więc się zgubił;
d/ słyszał, że do zwycięstwa potrzebuje „słoików”.

6. Ryszard Petru wysyła do marszałka Sejmu petycję, podpisując się jako „Ryszard Peru”, bo:
a/ czasami nie wie, jak się nazywa;
b/ Plan Petru przypomina trochę mapę Peru;
c/ woli nie ryzykować kolejnej wpadki pod własnym nazwiskiem;
d/ trzeba walczyć z PiS każdą metodą.

7. Maciej Maleńczuk na koncercie upamiętniającym Korę zaczął nagle, poza scenariuszem, wychwalać Jana Borysewicza, ponieważ:
a/ myślał, że jest na innej imprezie;
b/ był pewien, że skoro blokował przejazd prezesa PiS na Wawel, koledzy wszystko mu wybaczą;
c/ po piątym nie zakąsza;
d/ bo Kora walczyła o demokrację i zasługuje na pamięć.

8. Młody człowiek, który szarpał policjanta i wrzeszczał: „ZOMO! ZOMO!”, przyznał, że „wyglądał jak pajac”, gdyż:
a/ nigdy nie widział pajaca, a chciałby go obrazić;
b/ druga z osób, która chciała tu robić Majdan, musiała zwijać majdan;
c/ przez tydzień nie oglądał TVN24;
d/ policjanci zagrozili, że jeśli tego nie zrobi, zabiorą mu koszulkę „Kon-sty-tuc-ja”.

9. Roman Giertych twierdzi, że bywa nazywany „Koniem”, gdyż:
a/ słyszał, że przed laty Jarosław Kaczyński chciał komuś „załatwić konia”, i jest pewien, że chodziło o niego;
b/ przeczytał w „GW”, że PO mogła wystawić w Warszawie nawet „kulawego konia bez zębów”;
c/ bywa domyślny;
d/ to oznacza, że się nie sprzeda.

10. Media opozycji totalnej milczą o scenie podrzynania gardła lalce imitującej prezesa PiS przez nieszczęśnika imitującego Ryszarda Cybę, ponieważ:
a/ nie była to lalka imitująca Donalda Tuska ani Adama Michnika;
b/ ostatecznie nic się nie stało;
c/ mogłoby to rzucić złe światło na opozycję;
d/ nie słyszały o sprawie.

Jeśli na większość pytań udzielił(a) pan(i) odpowiedzi „d”, śmiało może pan(i) zgłaszać swój akces do grup ulicznych, „które chcą odsunąć PiS”. Być może wieczór wyborczy nie będzie tak słodki i różowy jak Dzień Flagi za panowania Bronisława Komorowskiego, ale na pewno pozwoli państwu na realizację kolejnego kroku w pożądanym kierunku. Chcecie się policzyć z PiS? Najpierw policzcie się sami.

41/0718/F

eprasa.pl ef95b0f035

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki



Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A. innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

epresa.pl 6956806030

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Lato z żartem* (7)



Jan Pietrzak

Co by było w Polsce, gdyby nie było PRL? Wszystko!

Uliczna sonda: „Ile godzin dziennie pan pracuje?”. „Osiem”. „A na wezwanie partii mógłby pan pracować dłużej?”. „Nawet przez 24 godziny!”. „A kim pan jest z zawodu?”. „Grabarzem”.

Nauczyciel pyta dzieci w szkole: „Za co kochamy Rosjan?”. „Bo nas wyzwolili”. „Za co nie lubimy Amerykanów?”. „Że nas nie wyzwolili”.

Złotówka, towarzysze, nie będzie już oparta na złocie lub srebrze jak w kapitalizmie. Nasza waluta oparta będzie na cynie... na cynie społecznym!

Kiedy do Moskwy dotrze zachodnia cywilizacja? Prawidłowa odpowiedź: kilka minut po odpaleniu.

Uczeni odkryli, że starożytny bożek miłości Amor był pochodzenia rosyjskiego. Latał uzbrojony z gołą d..., strzelał do ludzi i mówił, że to z miłości.

„Po raz pierwszy byłeś na Zachodzie. Jak wygląda ten gnijący kapitalizm?”. „Może gnijący, ale jaki piękny zapach...”.

Dlaczego tow. Bierut siada w teatrze w pierwszym rzędzie? Żeby choć raz mieć naród za sobą.

Uciekinier prosi o azyl na Zachodzie. Przepytują go na policji: „Jak w Polsce z zaopatrzeniem?”. „Nie można narzekać”. „Jak z wolnością słowa?”. „Nie można narzekać”. „Jak z pracą?”. „Nie można narzekać...”. „To dlaczego pan uciekł?”. „Bo tu można narzekać”.

Student nie zdał egzaminu, bo nie potrafił wyjaśnić różnicy między gospodarką socjalistyczną a kapitalistyczną. Ojciec go pociesza: „Jeden z moich kolegów potrafił to wyjaśnić, ale z egzaminu już nie wrócił”.

Co jest w socjalizmie najbardziej trwałe? Przejściowe trudności.

Dwaj milicjanci wchodzą do księgarni. Jeden pyta: „Czy jest »Pan Tadeusz«?”. Ekspedientka woła na zaplecze: „Tadziu, przyszli po ciebie”.

Facet leży na ławce w parku. Podchodzi milicjant i pyta: „Co to, hotel?”. „A co to, informacja?”.

Nauczycielka pyta: „Jakie było najmniej udane powstanie w Polsce?”. Jasio odpowiada: „Powstanie Polski Ludowej”.

* *Wspomnienia z dzieciństwa, czyli wczesna PRL*

Inny świat nam się zdarzył

Z Zygmuntem i Filipem Chajzerami rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Znowu w duecie. Tym razem ekstremalnie. Powtórzylibyście to doświadczenie?

Zygmunt Chajzer: Zdecydowanie tak. Podczas realizacji programu „Ameryka Express” odczuliśmy, jak to jest być w skrajnej sytuacji: bez pieniędzy, totalnie zmęczonym... ale też poznaliśmy wielu fantastycznych ludzi.

Już na początku wyprawy pan Filip stwierdził: „Tata, życie jest ważniejsze”.

Z.Ch.: Ja bym jeszcze powalczył...

Filip Chajzer: Ale byłoby to bardzo niebezpieczne.

Żałował pan wtedy, że namówił ojca na takie wyzwanie?

F.Ch.: Przez pierwszy odcinek (emisja 5 września). Uświadomiłem sobie, że chociaż jest w doskonałej formie, ma swoje lata.

Z.Ch.: Ale ta wyprawa (do Peru i Ekwadoru) była też wyjątkową okazją, by pobyć dłużej razem.



Fot. Zdjęcia z programu TVN Ameryka Express

Czy dowiedzieliście się o sobie czegoś nowego?

F.Ch.: Ojciec mnie absolutnie zaskoczył: i wytrwałością, i kondycją fizyczną. Po początkowym kryzysie trudno było za nim nadążyć. A kiedy musieliśmy zatańczyć salsę... rozbił system.

Z.Ch.: W większości potwierdziło się to, co o nim wiedziałem: że jest uparty jak osioł, lubi zaskakiwać, że coś, co ma się zdarzyć za chwilę, to dla niego o wiele za późno...

Inaczej dziś patrzycie na to, co przed wami?

Z.Ch.: Nadal mam wrażenie, jakby to była jakaś podróż kosmiczna, inny świat, który się nam zdarzył.

Jak ta wyprawa zmieniła wasze oceny, plany?

F.Ch.: Ekwador jest tak pięknym krajem, że nie można go obejrzeć po łebkach. Na pewno na te trasy wrócimy. Plus Argentyna.

Z.Ch.: Ale już w cywilizowanych warunkach.

eprasa.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nowe szaty państwa prawa

Rząd niemiecki zadecydował, że w rubryce „płeć" można będzie wpisywać jej nową, trzecią wersję „inter". Dotąd można było deklarować się jako kobieta, mężczyzna albo zostawić niezakreśloną rubrykę. Możliwość wyboru dla osób nieidentyfikujących się z normą pozostawała. A jednak do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego wpłynęła skarga kobiety, która domagała się możliwości „pozytywnego" samookreślenia. Sąd przyznał jej rację i nakazał władzom federalnym zmianę ustawodawstwa oraz oficjalne uznanie i nazwanie trzeciej płci.

Obecna koalicja z entuzjazmem przyjęła wyrok. Minister do spraw rodziny Franziska Giffey oświadczyła, że dotychczasowe prawo „nie odpowiada duchowi naszych czasów", a więc kolejna ustawa przygotuje „nowoczesne uregulowania dotyczące osób interseksualnych i transseksualnych", co służyć będzie „uznaniu i umocnieniu różnorodności płciowej". Minister sprawiedliwości Katarina Barley stwierdziła, że nowe określenie „da poczucie godności i pozytywną tożsamość" tym, którzy nie poczuwają się do przynależności do żadnej z płci.

Oto wyraz nowej ideologii, która odrzuca naturę i żywi wręcz – jak określiła to Chantal Delsol – „nienawiść do świata". Przejawia się ona w podważaniu jego fundamentów. Opozycja płci jest od zawsze jedną z zasad naszej rzeczywistości. To na niej budowany był porządek naszego świata, czyli kultura, która jakkolwiek jest dziełem człowieka, wyrasta z jego naturalnych uwarunkowań.

Współczesne ruchy feministyczne usiłowały zakwestionować ten podział. Jak ogłosiła to ich prekursorka, Simone de Beauvoir: „Nikt nie rodzi się kobietą, lecz się nią staje". Wynika z tego, że kobiecość to wyłącznie warunkowana cywilizacyjnie rola społeczna. Uznanie płci za kulturowy artefakt ufundowało współczesny feminizm i przeniknęło dominującą dziś ideologię. Niedostrzeganie elementarnego znaczenia biologicznej odmienności, która kształtuje się we wczesnym życiu płodowym, przez osoby i ruchy deklarujące się jako materialistyczne może zadziwiać, ale to niejedyny taki paradoks w dominującej obecnie ideologii.

Hermafrodytyzm, czyli występowanie u poszczególnych osobników cech obu płci, jest również znanym od zawsze niezwykle rzadkim odstępstwem od normy. Wychowanym w królującym dziś indywidualistycznym paradygmacie opór przeciwko uznaniu dotkniętych nim za osobną płeć wydaje się czymś niestosownym. Dlaczego nie sprawić im satysfakcji, która nikogo przecież nic nie kosztuje? Otóż kosztuje, i to dużo.

Zakwestionowanie podstawowych praw natury daje człowiekowi poczucie władzy, ale jednocześnie pozostawia go bez jakichkolwiek punktów orientacyjnych. A nasze uzyskane w ten sposób panowanie ma krótkotrwały i wyłącznie destrukcyjny charakter. Możemy rozbić budowane przez wiele pokoleń i wywiedzione z rozpoznania natury cywilizacyjne struktury, ale nie potrafimy nic zbudować w to miejsce. Możemy wyemancypować człowieka z wszystkich tradycyjnych wspólnot: od rodziny poczynając, a na narodzie kończąc, ale nie tylko nie uszczęśliwimy go w ten sposób, lecz wręcz przeciwnie. Narastające poczucie anomii, rozpadu więzi społecznych, które pozwalały się człowiekowi zadomowić w jego świecie, rozszerzająca się świadomość kryzysu naszej cywilizacji są tego dobitnym przykładem. W miejsce fundamentalnych zasad pojawia się dowolność, a więc panowanie silniejszego. Z tym również konfrontujemy się na co dzień.

Prawa człowieka, w swojej pierwotnej formie wyrastające z prawa natury, stały się swoim zaprzeczeniem, kultem zachcianki, którą są w stanie przeforsować możniejsi, usprawiedliwieniem dla dowolnych przejawów inżynierii społecznej ze strony dominujących środowisk. Bo casus niemiecki pokazuje nam jeszcze dwie rzeczy. Absolutną kapitulację nominalnie konserwatywnych środowisk, a takim ma być przecież CDU, przed dominującą ideologią, a więc zupełny zanik pluralizmu, bez którego nie funkcjonuje demokracja. I rolę sądów, które stały się dziś głównym instrumentem zaprowadzania nowej ideologii, demonstrującej coraz dalej idące, totalitarne aspiracje. Wykorzenieni z tradycyjnej kultury, która kiedyś tworzyła ich etos, niekontrolowani przez nikogo sędziowie uznają się za władnych dowolnego kreowania rzeczywistości społecznej w myśl nowej ideologii. Będą się odwoływali do jej zasad w rodzaju walki z dyskryminacją czy tolerancji, ale ich interpretacje będą zależały wyłącznie od nich samych. Nazywane jest to państwem prawa.



Fot. Andrzej Wiktor



Fot. Andrzej Wiktor



To już rok wPolsce.pl

Oto kluczowy moment skromnego spotkania z okazji pierwszej rocznicy powstania publicystyczno-informacyjnej telewizji wPolsce.pl, kierowanej przez red. Agatę Rowińską, a tworzonej także przez dziennikarzy naszego tygodnika. Cztery osoby należące do nowego pokolenia uczestników życia publicznego – Małgorzata Wassermann, Kacper Płażyński, Patryk Jaki i Michał Dworczyk – zostały uznane przez redakcję za odkrycia telewizyjne sezonu 2017/2018 i uhonorowane wyróżnieniami Złota Kamera Telewizji wPolsce.pl. Z lewej na zdjęciu stoi Michał Karnowski, po prawej prezes spółki Fratria Romuald Orzeł i członek zarządu Henryk Uzdrowski.

W gronie przyjaciół i twórców stacji redakcja wspominała początki, a były to dwie godziny programu i pokorna prośba do widzów, by wsparli budowę nowej stacji. Udało się! Dzięki społecznemu zaangażowaniu wielu osób i środowisk zdołano dokupić brakujący sprzęt i ruszyła publicystyczno-informacyjna telewizja wPolsce.pl. Dziś nadaje 24 godziny na dobę, w tym 12 godzin programu na żywo.

Stację można oglądać w internecie, na stronie www.wPolsce.pl, na portalu wPolityce.pl, w serwisie YouTube i na Facebooku. Kanał dostępny jest również na platformie Cyfrowego Polsatu na pozycji 196 oraz UPC Polska Mediabox – pozycja 339, Horizon/Kaon – pozycja 121, i w innych sieciach przewodowych.

Jeśli w państwa sieci kablowej nie ma wPolsce.pl, warto poprosić operatora o włączenie jej do oferty, jest dostępna za darmo. Naprawdę warto.

MK

Niemcy

Przez Trumpa zbliżenie z Rosją?

Władimir Jakunin, były wieloletni szef rosyjskiego kolejnictwa, niegdyś oficer KGB i od zawsze bliski współpracownik Władimira Putina, przy tym jeden z najbogatszych ludzi w Rosji (pod Moskwą wybudował sobie pałacyk z 50-metrowym basenem), dostał w Niemczech tzw. niebieską kartę, czyli wizę uprawniającą do pracy w RFN.

Jakunin jest twórcą Instytutu „Dialog Cywilizacji", który właśnie otworzył wielkie biuro w Berlinie. Ma on służyć budowie rosyjskiego lobby w Niemczech i w Europie Zachodniej. Jest też objęty amerykańskimi sankcjami i nie może wjechać do USA. Oczywiście amerykańskie sankcje nie obowiązują w Unii. Ale zgodę władz niemieckich na wydanie objętemu nimi człowiekowi niebieskiej karty trudno rozumieć inaczej niż jako antyamerykańską demonstrację.

Demonstrację czytelną w kontekście nieoczekiwanego spotkania – po raz pierwszy od pięciu lat w formacie bilateralnym – kanclerz Merkel z Putinem w Meseburgu. Kiedy Polacy słyszą o jakichkolwiek kontaktach rosyjsko-niemieckich, na myśl przychodzi im od razu pakt Ribbentrop-Mołotow (pamiętamy, jak Radosław Sikorski, wtedy jeszcze nie w PO, określił tak gazociąg Nord Stream). Nie dziwi więc, że ta fraza znów robi karierę w naszym internecie. Sama atmosfera spotkania (tajemniczość, bardzo skąpe informacje, wreszcie to, że jego część odbyła się dosłownie w cztery oczy, bez udziału tłumaczy) skłania zresztą do podejrzliwości nie tylko Polaków.

Krzyczenie o Ribbentropie i Mołotowie jest oczywiście histerią. Ale zarazem równie oczywiste jest, że przyjęcie przez prezydenta Trumpa zdecydowanie antyniemieckiego (i antyeuropejskiego) kursu przynosi różne efekty. Jednym z nich jest poszukiwanie przez Berlin alternatyw wobec coraz bardziej nadwyrężających się relacji transatlantyckich. Zwróćmy uwagę, że jeszcze wiosną płynęły sygnały rozważania przez Niemcy wycofania się z projektu Nord Stream 2. Nie wiadomo oczywiście, czy gdyby polityka Waszyngtonu poszła w stronę nie aż tak konfrontacyjną wobec Brukseli i Berlina, RFN naprawdę zdecydowałaby się na to. Faktem jest jednak, że Trump skierował swoją politykę tak, jak skierował, po nastrojach sprzyjających zrewidowaniu tradycyjnego niemieckiego podejścia do NS2 nie ma dziś śladu i między oboma tymi faktami jest oczywisty związek wynikania.

W innych niż NS2 sprawach nie widać jak dotąd między Berlinem a Moskwą realnego merytorycznego zbliżenia. Ale zarazem da się zauważyć obustronny wysiłek, aby nad tym pracować, a przede wszystkim – aby owe zbliżenie zademonstrować.

I pewnie dlatego Jakunin może się dziś cieszyć swoją niebieską kartą.

Piotr Skwieciński

Argentyna

Walka z aborcyjną falą

Fala liberalizacji przepisów aborcyjnych, która w ciągu ostatniego półwiecza doprowadziła do głębokich zmian prawnych niemal w całej Europie, zaczyna wzbierać w Ameryce Łacińskiej. Na początku sierpnia mogli się o tym przekonać Argentyńczycy.

W tej chwili w Argentynie obowiązuje kompromis aborcyjny podobny do polskiego, usunięcie ciąży możliwe jest tam w przypadku gwałtu oraz zagrożenia zdrowia i życia matki. Jednak rosnące w siłę środowiska liberalne od lat prowadzą kampanię na rzecz głębokich zmian obyczajowych. W 2010 r. udało im się odnieść pierwszy sukces, gdy Argentyna jako pierwsze państwo Ameryki Południowej zalegalizowała związki homoseksualne. Jednocześnie domagano się pełnej liberalizacji aborcji. Do szeroko promowanej akcji zaangażowano w tym roku wszystkie siły, z Hollywood ściągnięto nawet aktorkę Susan Sarandon, która stała się twarzą kampanii proaborcyjnej.

Akcja okazała się skuteczna, ale tylko częściowo. Bo o ile niższa izba argentyńskiego parlamentu opowiedziała się za liberalizacją przepisów, o tyle senatorowie, po zaciekłej debacie, odrzucili uchwalone przez deputowanych prawo. Formalnie zamyka to na rok możliwość ponownej nowelizacji prawa aborcyjnego. Liberalna lewica nie zamierza jednak tyle czekać. Ma nadzieję, że do tego czasu uda się dokonać zmian w Kodeksie karnym, dzięki czemu aborcja na życzenie – choć nadal nielegalna – nie będzie już przestępstwem.

Kampania w Argentynie jest z uwagą obserwowana w innych krajach Ameryki Łacińskiej. Dziś w żadnym z państw tego regionu (poza Gujaną i Urugwajem) nie jest możliwa aborcja na życzenie. W części z nich obowiązują przepisy zbliżone do polskich (np. w Brazylii), w innych aborcja jest całkowicie zakazana lub ograniczona tylko do przypadku ratowania życia matki. Zwycięstwo w Argentynie z pewnością uruchomi podobne procesy w całym regionie, zwłaszcza w sąsiednim Chile i w Brazylii, gdzie za nieskrępowaną aborcją opowiadają się już nawet liberalne środowiska katolickie. Kościół katolicki, wraz z odsuwanym w ostatnich dekadach od władzy konserwatywnym establishmentem Ameryki Łacińskiej, znalazł się bowiem w głębokiej defensywie. Ilustracją tego zjawiska może być argumentacja biskupów argentyńskich, którzy sprzeciwiając się liberalizacji aborcji, odwoływali się nie do nakazów wiary, lecz do obrony życia jako prawa człowieka.

To zadziwiająca strategia, bo oznacza, że sam Kościół nie wierzy już najwyraźniej w siłę głoszonej Ewangelii. Nic zatem dziwnego, że nie potrafi zahamować zachodzących w regionie zmian.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl ef95b0f035

USA

Twitter wojuje z prawicą?

Donald Trump oskarżył media społecznościowe o cenzurowanie „prawicowych głosów". „Media społecznościowe całkowicie dyskryminują głosy Republikanów/Konserwatystów" – napisał prezydent USA na Twitterze. „W imieniu całej administracji powiem głośno i wyraźnie – nie pozwolimy na to. Oni usuwają prawicowe opinie, podczas gdy nic nie robią z innymi" – dodał. Według niego „zbyt wiele opinii czasami dobrych, czasami złych jest usuwanych, a cenzura to bardzo niebezpieczna rzecz".



Trump zaatakował także nieprzychylne mu mainstreamowe media. „Choć uważam takie stacje telewizyjne jak CNN czy MSNBC za »fake news«, to nie proszę o ich ocenzurowanie. Przyzwyczaiłem się do nich i albo w ogóle ich nie oglądam, albo oglądam z pewną rezerwą" – podkreślił. Jak zaznaczył, wszyscy – dobrzy i źli – powinni mieć dostęp do mediów, gdyż ludzie mają swój rozum i potrafią odróżnić jednych od drugich. W rozmowie z Agencją Reutera Trump dodał, że „dziś ktoś inny jest usuwany, ale jutro to możesz być ty".

Amerykańska prawica od dawna skarży się na cenzurę ze strony liberalnych portali społecznościowych. Konserwatywny autor Doug Wead twierdzi, że Google systematycznie utrudnia dostęp do generowanych przez niego treści na YouTube, a publicysta Dennis Prager procesował się nawet w tej sprawie z Facebookiem, co skutkowało zredukowaniem zasięgu jego strony (jak utrzymuje – w odwecie) z 3 mln do zera. Usunięto także większość jego filmów. Facebook później – jak informuje „USA Today" – przeprosił Pragera oraz przywrócił filmy, ale on uznał to za „daleko niewystarczające" i wytoczył proces Google'owi oraz YouTube, które według niego również ograniczają dostęp do jego treści.

Mainstreamowe media w USA nie odniosły się – jak można było się spodziewać – do meritum sprawy, tylko zasugerowały, że atak Trumpa na portale społecznościowe to próba ich zdyskredytowania przed przesłuchaniem dyrektora generalnego Twittera Jacka Dorseya 5 września przed senacką komisją ds. służb specjalnych w sprawie ingerencji Rosji w wybory prezydenckie w 2016 r. Przed tą samą komisją zeznawać mają także szefowie Google'a i Facebooka.

Aleksandra Rybińska

Fot. Anton Khodakovsky/Shutterstock.com

Fot. WikipediaCommons CC BY-SA 3.0



Robert Koczarian, prezydent Armenii w latach 1998–2008

Armenia

Były prezydent stracił wolność

Nigdy jeszcze w żadnej republice postsowieckiej były prezydent nie znalazł się za kratkami. Micheil Saakaszwili został skazany przez sąd w Tbilisi na sześć lat więzienia za zorganizowanie napadu na działacza opozycji i na trzy lata za nadużywanie władzy, ale wyrok został ogłoszony zaocznie, gdy gruziński polityk przebywał za granicą. Wiktor Janukowycz w ostatniej chwili przed aresztowaniem zdołał uciec z Kijowa do Rosji. Pierwszym przywódcą, który stracił wolność, jest Robert Koczarian, prezydent Armenii w latach 1998–2008, zatrzymany na początku sierpnia razem z gen. Jurijem Chaczaturowem, byłym szefem sztabu generalnego.

Areszt obu mężczyzn jest spełnieniem jednej z głównych obietnic nowego rządu, który został wyniesiony do władzy wiosną na skutek tzw. aksamitnej rewolucji. Tłumy, które w kwietniu wyszły na ulice Erywania, domagały się osądzenia polityków winnych krwawego stłumienia protestów, do jakich doszło w stolicy Armenii w 2008 r. Manifestanci domagali się wtedy powtórzenia wyborów, które uważali za sfałszowane. Do akcji wkroczyło wojsko. Zginęło 10 osób, a ok. 200 zostało rannych. Odpowiedzialni za wydanie rozkazu Koczarian i Chaczaturow znaleźli się teraz za kratami.

Premierem Armenii jest dziś Nikol Paszinian, który po wydarzeniach 2008 r. ukrywał się ponad rok, po ujawnieniu się został skazany na siedem lat, przesiedział w więzieniu dwa lata i zwolniono go w ramach amnestii. Niedawno zapowiedział przeprowadzenie przedterminowych wyborów parlamentarnych. Pociągnięcie do odpowiedzialności niepopularnego Koczariana zapewne przysporzy mu głosów w czasie kampanii. To pokazanie, że w kraju nie ma nietykalnych świętych krów, równych i równiejszych.

Na proces niechętnym okiem patrzy Moskwa. Kreml raczej nie obawia się, że Armenia zmieni swój prorosyjski kurs. Nie podoba mu się natomiast zmiana władzy przez uliczną rewoltę i aresztowanie byłych przywódców. Przykład aksamitnej rewolucji może być bowiem zaraźliwy.

Grzegorz Górny

eprasa.pl ef95b0f035

OGNIEM NA WPROST

Tak przemija sława świata

Holenderski profesor Maurice Crul z Free University w Amsterdamie wraz z zespołem ośmiu naukowców otrzymał niedawno od Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych 2,5 mln euro na przeprowadzenie badań na temat szybkiego wzrostu populacji imigrantów w Rotterdamie, Amsterdamie, Frankfurcie, Antwerpii, Malmö i Wiedniu. Wnioski okazały się dosyć szokujące. Zdaniem naukowców w większych miastach biali Holendrzy już dziś są mniejszością. „W Amsterdamie ta grupa już jest mniejszością. Tylko jeden na trzech młodych ludzi w wieku poniżej 15 lat ma holenderskie pochodzenie" – informuje prof. Crul. Do dyskusji włączyła się prof. Angelika Redder z uniwersytetu w Hamburgu, oznajmiając, że Niemcy powinni się uczyć języka arabskiego, zamiast oczekiwać od nowych migrantów, że nauczą się niemieckiego. „Możemy zrobić coś, co pokazuje, że jesteśmy otwarci na inne języki. Może to być wzbogacające dla obu stron" – wyjaśnia. Zbliża się czas na poważną dyskusję w Parlamencie Europejskim, która ma odpowiedzieć na pytanie, co może być lepsze: demokracja liberalna czy kalifat?



Tych dzielnic, stref no-go zone, jest dość sporo" – zaczął swoją opowieść na antenie TV Republika Polak urodzony w Szwecji i dziennikarz Adam Starzyński. „Tam jako blondyn, jako Szwed to jest dosyć wysokie zagrożenie, gdy się wchodzi: napady, rabunki. Po prostu nie rekomenduję. Tam ostatnio mamy wielki problem ze strzelaninami na otwartej ulicy [...]. Mamy też wielki problem z granatami ręcznymi. Szwecja to jedyny kraj w Europie, gdzie gangsterzy korzystają z granatów ręcznych, więc ta Szwecja to na pewno nie jest ta, która kiedyś istniała". Starzyński pięć lat temu przeniósł się na stałe do Polski, powracając na łono kraju przodków, i nie chce w Szwecji już więcej mieszkać. To wprost nie do wiary. Pamiętam, że za czasów komuny i jeszcze w początkach III RP Szwecja jawiła się jako kraj mlekiem i miodem płynący, najlepsze miejsce do zamieszkania na Zachodzie. O bogactwie tego państwa i niebotycznych zasiłkach wśród chętnych do emigracji rodaków krążyły legendy. Dziś przemijająca europejska liberalna demokracja (w Szwecji była wyjątkowo silna) dobita gwoździem w postaci sprowadzenia sobie na głowę milionów uchodźców kojarzy się tylko z niezbyt optymistyczną łacińską sentencją: sic transit gloria mundi (tak przemija sława świata).

W polskich mediach dość często cytowano fragment artykułu z mołdawskiego dziennika „Telegraph", w którym autor nazywa wydaloną z Polski liderkę Fundacji Otwarty Dialog Ludmiłę Kozłowską wprost agentką wywiadu Kremla. Jednak pomijano to, co zostało napisane dalej. By udowodnić tę tezę, „dziennikarz" posłużył się argumentacją zawierającą trzy fake newsy (po polsku: zwykłe kłamstwa). Im bardziej kłamliwe dowodzenie, tym bardziej podejrzana staje się prawdziwość tezy. Każdy, kto ma trochę pojęcia o działalności moskiewskich specsłużb, wie, iż to ich stary chwyt mający obalić fakt, że Kozłowska rzeczywiście jest agentką. Znamienne pozostaje również to, że artykuł ukazał się już następnego dnia po tym, jak informacja o wydaleniu ruskiej Maty Hari z RP znalazła się w publicznym obiegu. Jej mąż Bartosz Kramek z pełną powagą w głosie stwierdził, że „również przyjdą po niego". Panie Kramek, powiem tak: jeśli pan nic nie wiedział (w co wątpię) o prawdziwej naturze działalności swojej „lepszej połowy", toś pan kiep. Ale przynajmniej, chłopie, teraz możesz spać spokojnie. Jeśli jednak działaliście wspólnie oraz w porozumieniu, to rzeczywiście ma pan powody do obaw. Przyjdą po pana. A od siebie dodam: im szybciej, tym lepiej.

Telewizja CNBC ujawniła, korzystając ze źródeł wywiadu amerykańskiego, że Rosjanie zgubili rakietę. Nie byle jaką. Najprawdopodobniej chodzi o broń najnowszej generacji – pocisk hipersoniczny 9M730 Burewiestnik o napędzie nuklearnym i teoretycznie nieograniczonym zasięgu. Podstawowym zadaniem tej rakiety uzbrojonej w atomową głowicę ma być zwalczanie dużych grup okrętów (lotniskowce) w krótkim czasie. Straszył nią już w marcowym orędziu przed parlamentem Rosji Władimir Władimirowicz Putin. Zapomniał tylko dodać, że choć odbyły się już cztery próby działania tego pocisku rakietowego, to żadna nie zakończyła się sukcesem. Ostatnia była najbardziej spektakularna. 9M730 przeleciał nad morzem 35 km, następnie utracono nad nim kontrolę i runął w głębiny. Szukają go od jesieni 2017 r. i znaleźć nie mogą. Były już superprodukcje filmowe „Włoska robota", „Angielska robota", to teraz mamy „Ruską robotę". Tylko nawet na Kremlu nie wiedzą, jak długo jeszcze potrwają zdjęcia.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef95b0f035

Dla dobra dzieci



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich latach w związku z natężoną migracją Polaków rocznie przedmiotem nawet 100 spraw jest zasadność wydania dzieci za granicę. Skonfliktowani rodzice, nierzadko zwracając się do rodzimego wymiaru sprawiedliwości o pomoc w powstrzymaniu wywiezienia dzieci z kraju, byli zmuszeni długo czekać na orzeczenie, a często dane im było mierzyć się z wyrokami, mocą których wbrew obiektywnym przesłankom decydowano o słuszności wyjazdu dzieci z kraju. Ministerstwo Sprawiedliwości wyszło naprzeciw opisanym dramatom rodzin. Z końcem sierpnia w życie wejdą przepisy, które po raz pierwszy od 1989 r. reformują zasady wydawania najmłodszych obywateli Polski za granicę.

Sprawy o wydanie dzieci za granicę rozpatrywane są m.in. w oparciu o postanowienia tzw. konwencji haskiej z 1980 r. W Polsce formalnie weszła ona w życie w połowie lat 90. Zgodnie z przepisem art. 1a konwencji jej przedmiotem jest zapewnienie niezwłocznego powrotu dzieciom bezprawnie uprowadzonym lub zatrzymanym. Uprowadzenie jest bezprawne, gdy dziecko, mając stałe miejsce pobytu w jednym kraju, zostaje uprowadzone do innego kraju lub tam zatrzymane przez jednego z rodziców, gdy to drugiemu z nich przysługuje prawo do opieki i nie wyraził on zgody na jego zabranie. Sąd kraju, do którego uprowadzono dziecko, ma w takiej sytuacji obowiązek zapewnienia niezwłocznego powrotu dziecka do kraju, w którym miało ono miejsce swojego stałego pobytu, chyba że uprowadzający jest w stanie wykazać istnienie jednej z kilku przewidzianych w konwencji okoliczności wyłączających obowiązek jego wydania. Przesłanką odmowy nakazania powrotu dziecka może być stwierdzenie, że jego uprowadzenie lub zatrzymanie nie było bezprawne (vide: przepisy konwencji). Po ustaleniu, iż uprowadzenie dziecka było bezprawne, sąd musi zarządzić powrót dziecka, chyba że uczestnik postępowania podniesie skutecznie jeden z pięciu zarzutów przeciwko żądaniu orzeczenia powrotu dziecka. Przytoczone regulacje prawne wskazują jednoznacznie, że sprawy o wydanie dzieci mogą być niezwykle skomplikowanymi casusami, wymagającymi doskonałej znajomości postanowień konwencji, orzecznictwa i poglądów doktryny.

Do tej pory w Polsce w sprawach o wydanie dziecka decydowały sądy rejonowe. Odbywało się to zasadniczo bez udziału sędziów wyspecjalizowanych w prawie międzynarodowym, w tym w konwencji haskiej, i z odpowiednim przygotowaniem lingwistycznym, które jest niezbędne w rozpoznawaniu sporów ze stroną powołującą się na zagraniczny wymiar sprawiedliwości. Od 27 sierpnia to się zmieni. W tego typu sprawach decyzję będą podejmować specjalnie przeszkoleni do tego celu sędziowie w sądach okręgowych, a w drugiej instancji Sąd Apelacyjny w Warszawie. Każdy z sądów będzie miał sześć tygodni na wydanie orzeczenia. Termin ten ma charakter instrukcyjny, ale należy zakładać, że przyczyni się do usprawnienia orzekania w sprawach, których przedmiotem jest dobro dzieci. Niezwykle istotnym rozwiązaniem jest wprowadzenie obowiązku pozostawania dziecka w Polsce do czasu uprawomocnienia się orzeczenia. Nowe przepisy ustanawiają także możliwość wniesienia przez prokuratora generalnego, rzecznika praw obywatelskich oraz rzecznika praw dziecka skargi kasacyjnej do Sądu Najwyższego w sprawach bezprawnego uprowadzenia lub zatrzymania dziecka. Rozpatrywanie spraw o wydaniu małoletnich za granicę będzie musiało się odbywać z udziałem adwokata, na którego pomoc będzie można liczyć także z urzędu.

Wprowadzenie przymusu udziału profesjonalnych pełnomocników z pewnością wpłynie korzystnie na tempo postępowań, a przede wszystkim na podwyższenie ich poziomu merytorycznego oraz ułatwienie zrozumienia międzynarodowych uwarunkowań prawnych poszczególnym stronom konfliktu.

REKLAMA





eprasa.pl ef95b0f035

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Przebrane

Dyrektor jednego z przedszkoli w Indonezji przebrał dzieci za bojowników ISIS. Do zdarzenia doszło w mieście Probolinggo na wschodniej Jawie. Przedszkole TK Kartika jak co roku zorganizowało paradę z okazji indonezyjskiego święta niepodległości. W tym roku dyrektor placówki zadecydował, że tematem parady mają być „wysiłki Proroka, aby zwiększyć wiarę, i oddanie Allahowi". Uznał, że najlepszym sposobem będzie przebranie dziewczynek w czarne nikaby i wręczenie im wyciętych z kartonu kałasznikowów, przez co wyglądały jak młodzi bojownicy Państwa Islamskiego. Gdy nagranie trafiło do sieci, wybuchł skandal. Mieszkańcy Indonezji byli zbulwersowani, gdyż ISIS faktycznie wykorzystuje dzieci w atakach terrorystycznych. Na przykład w maju Państwo Islamskie przeprowadziło ataki samobójcze na chrześcijańskie świątynie. Najmłodszy zamachowiec miał dziewięć lat. Poczucie humoru dyrektora przedszkola – xD. Chyba jakoś tak mówi dziś młodzież.



67 mld zł

– taką kwotę przeznaczy rząd na remont szlaków kolejowych. „To jest kwota bez precedensu" – powiedział premier Mateusz Morawiecki.

246 mln euro

– tyle środków w sierpniu Komisja Europejska przekazała Polsce. To efekt rozliczenia Regionalnych Programów Operacyjnych przez kolejnych pięć województw.

Od 101 do 500 zł

– tyle miesięcznie wydaje polska rodzina na szkolne potrzeby dziecka – wynika z opublikowanego raportu Santander Consumer Banku.



Bez stresu

12-latek z Sydney po kłótni z matką postanowił zrobić sobie wakacje. Ukradł rodzicom kartę kredytową, namówił babcię na to, by dała mu paszport, a następnie – zamiast pójść do szkoły – poleciał na wyspę Bali, bo o takiej podróży marzył od dawna. O sprawie informuje m.in.rmf.24.pl. Dość szybko szkoła poinformowała rodziców, że chłopiec nie pojawił się na zajęciach, a ci rozpoczęli poszukiwania. Gdy się okazało, że chłopiec urządził sobie wypad na Bali, matka poleciała go odebrać. W rozmowie z mediami kobieta przyznała, że jej syn nie znosi słyszeć słowa „nie", a na taką podróż nie chcieli się zgodzić rodzice. Czyżby wynik tzw. bezstresowego wychowania?



Daleko od kultury

Skandal w rządzie Macrona – francuska minister kultury niszczyła zabytki. Françoise Nyssen miała zdecydować o nielegalnej rozbudowie dwóch siedzib firmy wydawniczej, której była szefową. Chodzi o budynki uznane za zabytki, znajdujące się w samym sercu szóstej dzielnicy Paryża. O sprawie informuje m.in. wprost.pl. Jedna ze wspomnianych rezydencji została powiększona o 150 mkw. Dobudowano m.in. piętro, a wszystkie prace wykonano bez odpowiednich zezwoleń. Czy problemem z praworządnością we francuskim rządzie zajmie się Frans Timmermans?

eprasa.pl ef95b0f035



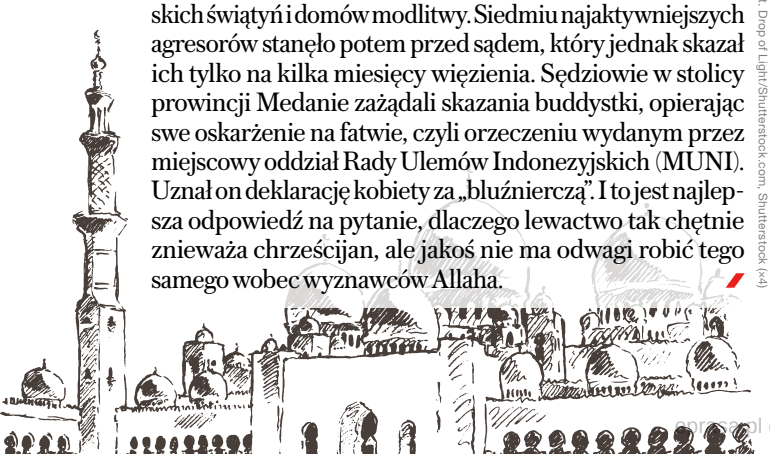
Meble z odzysku

Chińskie władze całkowicie zakazały w niektórych prowincjach pochówków w ziemi. Przepisy wprowadzono pół roku temu, a w związku z nimi nielegalne stało się m.in. produkowanie, a nawet posiadanie, trumien. Hongkoński dziennik »South China Morning Post« donosi, że we wschodnich Chinach po wprowadzeniu zakazu trumny są przerabiane na meble" – czytamy na TVP Info. Wszystko dlatego, że Chińczyków nie ma gdzie grzebać z powodu niewystarczających zasobów gruntów, które można przekształcać w cmentarze. W związku z tym chińskie władze od lat promują spopielanie ciał zmarłych. Lokalne władze zakazały obrotu trumnami, o czym pisze hongkoński dziennik. W miejscowości Suqian w prowincji Jiangsu do jednego z tartaków sprzedano znaczną liczbę trumien, które po przemieleniu zostaną wykorzystane do produkcji mebli. Meble z trumien? Takie rzeczy tylko w Chinach!

„Rafał. Lubię Cię. Ale Ty przegrasz sam ze sobą" – zakpił z kandydata PO na prezydenta Warszawy Włodzimierz Czarzasty. No i to mu się udało.

Za głośno

Mieszkanka Indonezji została skazana na 18 miesięcy więzienia za bluźnierstwo przeciw islamowi. Buddystka skarżyła się, że meczet nieopodal jej domu był zbyt głośny. Lokalne środowiska islamskie twierdzą, że wyrok jest zbyt łagodny. O sprawie informuje TVP Info. Historia ta zaczęła się dwa lata temu, gdy 44-letnia teraz Meiliana – Chinka z pochodzenia, mieszkająca w mieście Tanjung Balai w prowincji Północna Sumatra – ośmieliła się skrytykować „zbyt hałaśliwe" i „szkodliwe" według niej zachowanie miejscowego muezzina. Jej uwaga wywołała natychmiastowe oburzenie miejscowych muzułmanów, którzy oskarżyli kobietę o „znieważenie islamu", a przez całe miasto i okolice przetoczyła się fala przemocy. Ekstremiści islamscy podpalili sześć buddyjskich świątyń i domów modlitwy. Siedmiu najaktywniejszych agresorów stanęło potem przed sądem, który jednak skazał ich tylko na kilka miesięcy więzienia. Sędziowie w stolicy prowincji Medanie zażądali skazania buddystki, opierając swe oskarżenie na fatwie, czyli orzeczeniu wydanym przez miejscowy oddział Rady Ulemów Indonezyjskich (MUNI). Uznał on deklarację kobiety za „bluźnierczą". I to jest najlepsza odpowiedź na pytanie, dlaczego lewactwo tak chętnie znieważa chrześcijan, ale jakoś nie ma odwagi robić tego samego wobec wyznawców Allaha.



Fot. Drop of Light/Shutterstock.com, Shutterstock (x4)

Autopromocja

2018.pl

100. rocznica odzyskania niepodległości

Tak Polska dochodziła do niepodległości...


Dawne czasy


I wojna światowa


Międzywojnie


II wojna światowa


Wiek XX


Współczesność

PARTNERZY:

LOTOS

PZU

niepodległa

POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

onnet.pl ef95b0f035

RZECZY POSPOLITE

Azja Srebro



Tomasz ***Łysiak***

Me too. Ja też... się zdziwiłem. Cały świat zrobił me too ze zdziwienia. „New York Times" napisał (a jak „New York Times" pisze, to wiedzcie, że cicho o tym nie będzie), iż aktorka Asia Argento (po polsku Azja Srebro), gwiazda hollywoodzka, która jako jedna z pierwszych oskarżyła producenta Harveya Weinsteina o molestowanie, sama ma podobny „wybryk". Z molestowanej stała się molestującą, z oskarżającej oskarżaną, z budzącej litość budzącą politowanie. W 2013 r. nie miała oporów, by pójść do łóżka (hotelowego notabene) z młodziutkim aktorem grającym jej syna w filmie „The Heart Is Deceitful Above All Things". Co więcej, gdy chłopak chciał w końcu ujawnić prawdę, widząc, jak pani Srebro błyszczy w mediach, walcząc z Weinsteinem, ta postanowiła zamknąć usta Jimmy'emu za pomocą kruszcu dolarowego w liczbie 380 tys. Sprawa jednak wypłynęła i tak, a obecnie emocjonują się nią wszyscy.

Włoskie gazety piszą o Argento na pierwszych stronach. I nic dziwnego, bo okazało się, że twarz akcji #Me Too ma drugą twarz. Właściwie nie wiadomo, która twarz to twarz pani Srebro – czy ta związana z akcją, która ma na celu doprowadzenie do tego, żeby mężczyzna bał się powiedzieć komplement kobiecie (bo przecież do takich ekstremów dochodzi w tym systemie myślenia), czy też ta ze zdjęć publikowanych w mediach społecznościowych, a przedstawiających panią Srebro leżącą z chłopakiem w łóżku, tuż po igraszkach. Na pewno to twarz stracona.

Co więcej, Asia Argento stosuje klasyczny zabieg lewicowych bojowników o wolność i demokrację – gdy się ich złapie na czymś niezgodnym z prawem lub moralnością, wtedy zaprzeczają wszystkiemu w opór. I tak robi pani Azja – twierdzi m.in., że nie wiedziała, iż chłopiec grający jej syna jest w wieku jej syna. We Włoszech wzięła ją w obronę... Laura Boldrini. Tego już się logicznie wyjaśnić nie da, chyba tylko zasadą „lewa lewą kryje".

Szaleństwo liberalnych elit od lat oplata Europę, która na nasze nieszczęście ma w sobie coraz więcej z Azji. Całkiem jak bazar, który znajdował się kiedyś na Stadionie Dziesięciolecia. Nazywał się Jarmark Europa, ale większość bud i straganów mieli Azjaci.

Półbóg zza krzaka



Piotr ***Cywiński***

Gdyby ktoś pytał, kto i co było hitem sezonu urlopowego, miałbym problem: czy był nim Rafał Trzaskowski, miś na skalę możliwości opozycji, jej kandydat na prezydenta stolicy, czy może słupski prezydent Robert Biedroń, który też chce do Warszawy, lecz nie do ratusza, ale do pałacu na Krakowskim Przedmieściu? Pierwszy niczym Chuck Norris potrafi wszystko, jako jedyny człowiek na świecie umie sam siebie kopnąć z półobrotu, jednym kopniakiem ułożyć kostkę Rubika, a nawet doliczyć do nieskończoności, i to dwa razy. Drugi wydaje się mniej energiczny, ale też wie, jak sobie zabezpieczyć tyły, i tyły już typują, że tylko on jest w stanie oswobodzić Polskę z więzów PiS, wygrać eurowybory i do Sejmu, a na końcu pogonić tego pisowskiego prezydenta. Półbóg Biedroń „ma wiele atutów", co wydobywa „Gazeta Wyborcza", musi się jedynie wychylić zza krzaka.

Któremu ta wakacyjna palma? Trzaskowski jest zdolny zaklajstrować taśmą klejącą drzwi do stołecznego magistratu, aby pisowcy się tam nie dostali. Ba, jak trzeba, to i na ławeczce mleko z byka by wydoił, gdyby jadł węgiel, wydalałby diamenty, a płodny jaki... – jego plemniki byłyby w stanie przebić 13 prezerwatyw nałożonych jedna na drugą, pokonać spiralę przeciwności i zapłodniona przez niego kobieta po jednym stosunku rodziłaby dzieci jedno po drugim przez kolejne 13 lat... – jak takiego nie wybrać? Biedroń też nie w kij dmuchał, wprawdzie nie fanatyk, może taki trochę gąbczasty, za to delikatniejszy, chociaż gdyby co do czego, też potrafiłby kogoś zaskoczyć z półobrotu, a skromny przy tym! Nie eksponuje się z klejeniem i Polskę kocha... „Patrzę na to, co dzieje się w Polsce, i to jest niepokojące. A przecież los Słupska zależy właśnie od tego, co stanie się w kraju" – wyznał z troską „Rzeczpospolitej". Znaczy Słupsk mu nie wisi, skoro jednak być albo nie być tego miasta i innych zależy od losu kraju, to on jest gotów – tak to tłumaczy. I proszę, „Polityka" się o nim rozpisała i „Newsweek", i sondażownie już prognozują, co będzie, gdy się wychyli. Ba, niemieckie „Die Welt" i Deutsche Welle, gdzie uspokajał zaniepokojonych, że Jarosław Kaczyński nie jest wieczny i PiS nie będzie rządziło w następnej kadencji, robią mu klakę.

No to komu ta palma? Nie wyróżnię, tym bardziej że lato się jeszcze nie skończyło, zgodnie z kalendarzem potrwa do 23 września, a może nawet dłużej...

eprasa.pl ef95b0f035

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 102 010 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: PAP/ADAM WARŻAWA, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, PAP/BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI, SHUTTERSTOCK (x4)

eprasa.pl ef95b0f035

Brudna kasa na polski Majdan



Małżeństwo Ludmiła Kozłowska i Bartosz Kramek doskonale dbało o własny PR. Kreowało się na obrońców demokracji w krajach dawnego bloku wschodniego

sa.pl e95b0f035



Z wierzchu to organizacja pomagająca osobom ciemiężonym przez reżimy w krajach byłego ZSRS. Przyglądając się Fundacji Otwarty Dialog wnikliwiej, widać więcej: finansowanie przez podejrzane spółki z rajów podatkowych i niejasne kontakty z oligarchami z postsowieckich republik. Kluczową rolę odgrywa tu firma Bartosza Kramka, który od roku nawołuje do rebelii i obalenia rządu. Ustaliliśmy, dlaczego nasze służby uznały, że jego żona Ludmiła Kozłowska stanowi zagrożenie dla Polski

eprasa.pl e-9500085



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Manifestacja „obrońców demokracji" przed siedzibą Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Warszawie odbyła się w ubiegły czwartek w piknikowej atmosferze. Papieroski, pogaduchy, trochę zdjęć. Rozdawanie wlepek: „Stop deportation. Ludmiła Kozłowska" i domowo wydrukowanych plakatów, którymi aktywiści starali się zasłonić patriotyczną wystawę na ogrodzeniu gmachu ABW. Było też trochę okrzyków. „Hańba! Skandal!" – to w kontekście Ukrainki, którą pisowski „reżim" wypchnął poza Polskę, a nawet Unię Europejską. „Są jakieś nieokreślone wątpliwości i to wystarczy, by Ludmiłę deportować" – grzmiał do mikrofonu mężczyzna w koszulce z napisem „Konstytucja". W odzewie skromne brawa i pozdrowienia dla Ludy, „która ogląda nas teraz w Kijowie za pośrednictwem mediów KOD". Co ciekawe, nawet znakomitości, które podpisały się pod internetowym protestem w sprawie prezes Fundacji Otwarty Dialog i które nawoływały do stawiennictwa na manifestacji... same się nie pojawiły. Lecha Wałęsę można zrozumieć, bo były prezydent zazwyczaj więcej mówi, niż robi, ale ani Tomasz Lis, ani Seweryn Blumsztajn, ani Róża Thun, ani Marcin Święcicki, ani Elżbieta Bieńkowska nie zaszczycili zgromadzonych swoją obecnością. Bardzo aktywny przed manifestacją w mediach społecznościowych płk Adam Mazguła wraz z kilkunastoma osobami protestował w Nysie, gdzie m.in. brawurowo odśpiewał „Odę do radości".

Mimo letniego ciepła, temperatury zabrakło. Po godzinie było po wszystkim. Przez ten czas można było posłuchać trochę inwektyw pod adresem PiS i szefostwa służb specjalnych. Że to opresyjna władza, której wystarczy, iż ktoś wystąpi przeciwko niej, a już nasyła ABW i szykuje retorsje. I to pewnie bez powodu. Czy rzeczywiście? Ludmiła Kozłowska przyleciała 13 sierpnia do Brukseli, gdzie Fundacja Otwarty Dialog ma swoje biuro. Na lotnisku po sprawdzeniu paszportu okazało się, że nie może przekroczyć granicy – została wpisana na listę osób do wydalenia ze strefy Schengen. Dotarliśmy do informacji, które powinny otworzyć oczy wszystkim tym, którzy być może nie mają nawet świadomości, kogo bronią. Przyjrzeliśmy się finansom, szerokim strumieniem płynącym ze Wschodu do Fundacji Otwarty Dialog, a także do firmy Bartosza Kramka, męża Ludmiły Kozłowskiej.

> Po prześledzeniu aktywności FOD w początkach jej istnienia można się pokusić o stwierdzenie, że była to wtedy instytucja lobbingowa do wynajęcia. Broniła zazwyczaj oligarchów z dawnych republik sowieckich

TRUDNE POCZĄTKI

O fundacji zrobiło się w Polsce głośno w 2014 r., gdy mało znana organizacja wykreowała się na lidera pomocy ukraińskiej opozycji podczas Euromajdanu w Kijowie. Z perspektywy czasu widać, że małżeństwo Ludmiła Kozłowska i Bartosz Kramek doskonale zadbało o własny PR, eksponując np. logo FOD w każdym dostępnym miejscu i lgnąc do dziennikarzy oraz polityków wszystkich opcji. Po czasie stało się jasne, że był to moment uwiarygodniania się fundacji w oczach polskiej opinii publicznej. Fajni, młodzi, energiczni ludzie niekończący swojej działalności na wykrzykiwanych hasłach, ale niosący realną pomoc ukraińskim bojownikom o demokrację. To mogło imponować, a na skalę pomocy (transport kamizelek kuloodpornych wysłany dzięki posiadanej koncesji na handel bronią został zatrzymany na granicy) mało kto zwracał uwagę.

Warto tu przytoczyć opinię Agnieszki Romaszewskiej, szefowej TV Biełsat, dobrze zorientowanej w sprawach wschodnich, która jeszcze przed deportacją Kozłowskiej napisała na Facebooku: „Fundacja odznaczała się dość specyficznym modus operandi na tle innych i specyficznym personelem. Nie dlatego, że na pierwszy rzut oka ludzie ci robili coś podejrzanego, tylko dlatego, że w swojej promocji byli niesłychanie wręcz nachalni i w tej nachalności sprawni. [...] Mnie w fundacji cały czas niepokoiły dwie sprawy: specyficzny chłód w funkcjonowaniu, które bardziej wyglądało jak zapewnianie profesjonalnego »pozarządowego« serwisu (wierzcie mi, widziałam wielu ludzi zajmujących się pomaganiem i są to ludzie różni, ale pasję trudno pomylić z czymkolwiek innym) i zdumiewająca (to eufemizm) lista jej sponsorów. Tak czy inaczej, cichutka fundacja w czasie wydarzeń na Ukrainie urosła i stała się ważna, ale jej czołowi działacze, z panem Kramkiem na czele, utrzymywali, by tak rzec »low profile«. Aż tu nagle wyszli przed szereg i ruszyli z radami, jak zrobić polski Majdan. Historia po prostu jak uszyta na miarę prawicowych miłośników teorii spiskowych. Jednym ruchem potwierdzała wszystko: i to, że wszelkie te »majdany« to robota wyspecjalizowanych służb Zachodu, które mają na nie precyzyjny przepis, jak na ciasto z jabłkami; i to, że w Polsce do antyrządowego przewrotu podszczuwają Ukraińcy; i to, że za tym stoi jakaś międzynarodówka lewicowo-liberalna z Sorosem na czele, z którym pani Kozłowska miała tyle wspólnego, że do niego dotarła i się sfotografowała".

Romaszewska zwraca uwagę, że dzięki manifestowi Bartosza Kramka z lipca 2017 r. (w 16-punktowym planie „wyłączenia rządu" postulował m.in. „opór środowisk", który „może sparaliżować funkcjonowanie państwa", strajk

eprasa.pl ef95b0f035

generalny nauczycieli, strajk sędziów, niepłacenie podatków, ciągłe protesty na ulicach, ostracyzm wobec polityków PiS, a nawet nękanie Jarosława Kaczyńskiego przed jego domem) postać ta z dnia na dzień z nikomu nieznanej stała się uczestnikiem życia publicznego. Było to możliwe dzięki rzadko wcześniej spotykanej kampanii w mediach społecznościowych – tzw. astroturfingowi – powielania nośnych haseł poprzez fikcyjne konta. W efekcie z osoby „indyferentnej ideowo", jak mówi Romaszewska, Kramek stał się głęboko zaangażowanym obywatelem (uczestniczy we wszystkich antyrządowych manifestacjach), a fundacja jego żony okazała się istotnym ogniwem frontu „obrońców demokracji" w Polsce.

– Ten plan Kramka należy czytać w jeden sposób: ktoś wtedy poczuł, że to jest świetny moment na bunt społeczny. Cel był jasny: doprowadzić do krwawych demonstracji i obalić władzę. Nie udało się, ale to nie znaczy, że to środowisko z tej drogi zeszło – słyszymy od doświadczonego pracownika służb.

Do 2016 r. fundacja zgromadziła ponad 6,5 mln zł, ale z jej finansami bywało różnie. Zacznijmy od początku, gdy 9 grudnia 2009 r. w pewnej kancelarii notarialnej w Kraśniku pojawiają się Paweł Świderski (rocznik 1981) oraz obywatel Ukrainy Iwan Szerstiuk (rocznik 1980) i rejestrują Fundację Otwarty Dialog z siedzibą w Lublinie. Panowie, co wynika z dokumentów, wnoszą „wkład pieniężny fundatorów" po 5 tys. zł. Dwa miesiące później 10 lutego 2010 r. ustanawiają Radę Fundacji, której członkiem zostaje m.in. Ludmiła Kozłowska (rocznik 1985). Dwa lata później to ona zostaje prezesem zarządu, nominację 19 listopada 2012 r. podpisuje Bartosz Kramek, który w międzyczasie zostaje przewodniczącym Rady Fundacji.

Bardzo ciekawą postacią jest jeden z założycieli organizacji Iwan Szerstiuk, który z Ludmiłą Kozłowską spotkał się kilka lat wcześniej przy okazji tworzenia innej fundacji – Dialog na Rzecz Rozwoju. Jak opisuje w swoim raporcie



Fot. AFP PHOTO / Martin BUREAU/EAST NEWS

Według polskich służb w pewnym momencie głównym finansującym działanie fundacji był Muchtar Abliazow (na zdj.), w Kazachstanie ścigany za wielomiliardowe defraudacje z banku BTA

Marcin Rey, bloger, autor nieistniejącego już dziś profilu „Rosyjska V Kolumna w Polsce" – Szerstiuk prowadził firmę doradczą New Horizons Consulting z adresami w Kijowie, Charkowie i Sewastopolu, skąd pochodzi rodzina Kozłowskiej. W 2006 r. uczestniczył w obserwowaniu wyborów w Kazachstanie, został stamtąd deportowany pod zarzutem stronniczego wspierania partii Muchtara Abliazowa, opozycjonisty, który odegra jeszcze ważną rolę w naszej historii. Szerstiuk podobne kłopoty miał w Gruzji, tam także jako bezstronny obserwator próbował wpływać na wynik wyborczy w 2008 r. Teraz założyciel Fundacji Otwarty Dialog nie ma już z Kozłowską kontaktu, zatrzymano go we Lwowie pod zarzutem zlecenia zabójstwa dłużnika.

Po tzw. okresie lubelskim następuje w życiu FOD okres warszawski, instytucja przenosi się do stolicy, do biura przy ul. Chałubińskiego 8, gdzie mieści się wiele firm, w tym jedna, której wiceprezesem jest Bartosz Kramek (Estero – jeszcze do niej wrócimy). Przez Radę Fundacji przewija się wiele znakomitych postaci, m.in. prof. Marek Chmaj, mec. Jacek Świeca (współpracownik gen. Marka Dukaczewskiego), Andrzej Wielowieyski (były senator, ojciec dziennikarki „Gazety Wyborczej" Dominiki Wielowieyskiej), Bogusław Stanisławski z Amnesty International oraz Wojciech Mądrzycki, przewodniczący Instytutu Lecha Wałęsy.

FRONT OBRONY BOGATYCH

Po prześledzeniu aktywności FOD w początkach jej istnienia można się pokusić o stwierdzenie, że była to wtedy instytucja lobbingowa do wynajęcia. Nawet jako regułę można przyjąć, że broniła zazwyczaj bardzo bogatych ludzi z dawnych republik sowieckich, którzy w swoich krajach byli oskarżani o malwersacje finansowe. Tutaj wracamy do wspomnianego już Muchtara Abliazowa, który w Kazachstanie ścigany jest za wielomiliardowe defraudacje z banku BTA. Fundacja zaangażowała się w obronę biznesmena, który zdążył zbiec do Francji, ale groziła mu deportacja. Kozłowska i Kramek nagłaśniali wtedy kwestię ewentualnych tortur, a może nawet pozbawienia życia, co miało grozić Abliazowowi ze strony reżimu Nursułtana Nazarbajewa. Do ekstradycji ostatecznie nie doszło.

FOD broniła również przed ekstradycją z Austrii do Rosji Naila Maliutina, rosyjskiego biznesmena zamieszanego w wyprowadzenie setek milionów dolarów z państwowej spółki leasingowej FLC. W aferze, która miała swój przebieg w Rosji, Niemczech, Austrii i Hiszpanii, mieli mieć swój udział najwyżsi

eprasa.pl ef95b0f035



Na manifestacji przed siedzibą ABW w obronie Kozłowskiej nie pojawili się sygnatariusze protestu w sprawie jej wydalenia z Polski i strefy Schengen. Nie było m.in. Wałęsy, Święcickiego, Bieńkowskiej, Thun, Lisa

rangą rosyjscy politycy, z Dmitrijem Miedwiediewem, Sergiejem Iwanowem, a nawet Władimirem Putinem. W tym przypadku w końcu do ekstradycji Maliutina jednak doszło.

Według polskich służb, w pewnym momencie głównym finansującym działanie FOD był Muchtar Abliazow – osobiście lub przez inne osoby. Kramek i Kozłowska stanowczo temu zaprzeczają, wskazując jednocześnie, że prowadzą właściwie firmę rodzinną, najwięcej pieniędzy wpłacają sami, dostają od swoich bliskich lub ze zbiórek.

Przyjrzyjmy się więc tym wpłatom. Ciekawie wygląda pozycja opiewająca na 20 tys. dol. od Leili Krapunowej, to matka Ilii Krapunowa, który wziął ślub z Madiną Abliazową, córką Muchtara. Z opinii, którą słyszymy, wynika także, że „Abliazow finansował fundację poprzez Iwana Szerstiuka, a potem przez Petra Kozłowskiego". Ten drugi to brat Ludmiły, który na konto fundacji wpłacał najwięcej pieniędzy, nawet milion dolarów rocznie. Siostra hojnego darczyńcy twierdzi, że pieniądze pochodzą ze zbiórek albo należą do Petra, który miał się dorobić na interesach w rodzimym Sewastopolu na Krymie. Jak podsumował Marcin Rey, brat Ludmiły przejął gigantyczny zakład Majak, kiedyś produkujący oświetlenie dla branży okrętowej, równocześnie skupiając się na wynajmie powierzchni i budowie mieszkań. To osobna historia obfitująca w dramatyczne zajścia, wywłaszczenia, zastraszania lokatorów przez gang taekwondzistów i ochroniarzy. Sprawy trafiają do sądu, który początkowo przyznaje rację lokatorom, ale ta decyzja jest zmieniona po aneksji Krymu przez nowego gubernatora. Petro Kozłowski wychodzi na swoje. Również na produkcji oświetlenia dla objętego sankcjami przemysłu okrętowego (stocznia marynarki wojennej w Kaliningradzie, stocznia okrętów atomowych w Siewierodwińsku, także zakłady w Komsomolsku i Sankt Petersburgu). Mówimy tutaj o kontraktach wartych miliony rubli. To z tych pieniędzy wspierana była obficie Fundacja Otwarty Dialog.

JEDWABNY SZLAK KRAMKA

Po deportacji Kozłowskiej rzecznik ministra koordynatora specsłużb Stanisław Żaryn poinformował: „Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, realizując swoje ustawowe obowiązki, wydał negatywną opinię dotyczącą wniosku Pani Ludmiły Kozłowskiej o udzielenie zezwolenia na pobyt rezydenta długoterminowego w Unii Europejskiej. W rezultacie Pani Ludmiła Kozłowska została objęta zakazem wjazdu na terytorium Polski oraz UE. Negatywna opinia przygotowana przez Departament Kontrwywiadu ABW związana jest m.in. z poważnymi wątpliwościami dotyczącymi finansowania kierowanej przez Ludmiłę Kozłowską Fundacji Otwarty Dialog, które mogą mieć skutki prawne".

Poszliśmy tropem pieniędzy. Najciekawsze informacje wyłaniają się z powiązań biznesowych firmy Silk Road Biuro Analiz i Informacji. Silk Road,

eprasa.pl ef95b0f035

czyli „jedwabny szlak", to spółka z o.o. mieszcząca się pod tym samym adresem, co Fundacja Otwarty Dialog. W czytelni akt KRS przeglądamy jej dokumenty. To dwa tomy akt.

Jak idzie biznes Bartoszowi Kramkowi? Patrząc na podsumowanie rocznych sprawozdań finansowych (do 2016 r., za ubiegły rok jeszcze nie zostało złożone lub nie zostało dołączone do akt – prawo nakazuje zrobić to do połowy lipca), nie najlepiej.

Silk Road wcześniej nazywała się Andalus. Wówczas należała do innej spółki (Nobel sp. z o.o.), a zarządzał nią Piotr Szczepanik, wyjątkowo aktywny przedsiębiorca, którego archiwa KRS wymieniają w 1 023 podmiotach. W 2011 r. zarządzał on też spółką Estero, która również należała do Nobla. Estero jesienią 2011 r. kupił Jakub Fijewski, który został prezesem zarządu, a jego zastępcą – Bartosz Kramek (zrezygnował z zasiadania we władzach tej firmy w ubiegłym roku). Estero miała siedzibę w tym samym biurowcu, co Andalus – przy Chałubińskiego 8 w Warszawie.

15 czerwca 2012 r. Szczepanik sprzedaje Andalusa Bartoszowi Kramkowi. Ten płaci gotówką 11 tys. zł. Trzy tygodnie później podwyższa kapitał zakładowy, dorzucając 45 tys. zł. W listopadzie zmienia nazwę na Silk Road. Na koniec roku spółka wykazuje stratę w wysokości prawie 5 tys. zł (ok. 340 tys. zł przychodów).

W 2013 r. Silk Road przenosi się w al. Szucha 11a (wynajem lokalu kosztuje ją 5 250 zł netto), gdzie część powierzchni podnajmuje Fundacji Otwarty Dialog (za 1 zł – słownie: jeden złoty). Zatrudnia dwóch pracowników. Na koniec roku znów wykazuje stratę – w wysokości niemal 130 tys. zł. (Przychody: ok. 1,6 mln, z czego 1,3 mln za usługi doradcze, a 236 tys. – usługi telekomunikacyjne).

W marcu 2014 r. Kramek ponownie podnosi kapitał zakładowy – o 130 tys. zł, wpłaca je w gotówce. W październiku do zarządu dołącza Mateusz Kramek (brat Bartosza). W sprawozdaniu finansowym za ten rok wreszcie pojawia się zysk (ok. 25 tys. zł, przy przychodach w wysokości 3,6 mln).

W 2015 r. w zarządzie następują zmiany – zamiast brata Bartosza Kramka pojawia się jego żona Ludmiła. Strata za ten rok wyniesie 326 tys. (1,8 mln przychodów), za ostatni rozliczony (2016) – 857 tys. (przy 783 tys. przychodu).

Bartosz Kramek to jeden z hojniejszych darczyńców Fundacji Otwarty Dialog. W latach 2012–2013 przekazał jej 500 tys. zł (jako osoba fizyczna) i 710 tys. zł jako wiecznie notujący straty Silk Road (z czego tylko w 2017 r. – aż 390 tys.). Na marginesie dodajmy, że sama Ludmiła Kozłowska przekazała swojej organizacji 370 tys. zł. Skąd je miała? Tu trop znów prowadzi do Silk Road. Firma ta zatrudnia dwie osoby, a na wynagrodzenia w 2016 r. wydała 360 tys. zł (dwa razy więcej niż rok wcześniej).

> Fundacja Otwarty Dialog finansowana była m.in. przez spółki zarejestrowane w rajach podatkowych, w tym podmioty opisane w tzw. sprawie Panama Papers

MOŁDAWSKA PRALNIA PIENIĘDZY

Sprawdźmy, skąd środki ma Silk Road. Nie udało nam się dotrzeć do danych o wszystkich przelewach spółki Bartosza Kramka. Spora część pieniędzy trafia do jego firmy poprzez przekazy Western Union, a te trudniej śledzić. Uzyskaliśmy jednak informacje o kilku transakcjach, które budzą poważne podejrzenia.

Jako jeden z ważniejszych kontrahentów jawi się podmiot Kariastra Project LP, zarejestrowana w Glasgow (wcześniej w Edynburgu) spółka, która przelała na konto Silk Road 3,2 mln zł (po przeliczeniu na złotówki wpłat w dolarach i euro). Ta firma nie ma nawet strony internetowej, numeru telefonu, nie wiadomo, czym się zajmuje. Znamy tylko jej adres (są pod nim zarejestrowane setki innych firm).

Więcej wiemy o innej spółce z siedzibą w Szkocji. Stoppard Consulting LLP (istniała w latach 2010–2017), zasiliła konto Silk Road kwotą co najmniej 1,5 mln zł. Udziałowcami tego podmiotu były rejestrowane w rajach podatkowych: Erin Group Corp. (Belize), Carberry Investments Ltd (Seszele), Wintor Associates Ltd (Seszele), Maytree Overseas S.A. (Panama). Ta ostatnia pojawia się w aferze Panama Papers. Jej nazwę odnajdujemy w powiązaniach z całą siecią innych podejrzanych firm.

Wspomniane firmy z Seszeli wchodziły w skład spółek partnerskich Harwood United LLP, Harrogate Consulting LP i Rosslyn Trade LP. Podmioty te mogły być elementami sieci przedsiębiorstw, za pomocą których z sektora bankowego Mołdawii wyprowadzono co najmniej 1 mld dol. – to ustalenia amerykańskiej agencji śledczej Kroll. Wynajął ją rząd w Kiszyniowie, aby rozpracować aferę, która zachwiała gospodarką państwa i postawiła je na krawędzi bankructwa.

Mózgiem tej operacji miał być Ilan Shor, wówczas kierujący mołdawskim bankiem Banca de Economii (w wieku 27 lat), jeden z najbogatszych Mołdawian, prezes klubu piłkarskiego Milsami Orhei (w 2015 r. zdobył on mistrzostwo kraju – jako pierwszy zespół spoza Kiszyniowa i Tyraspolu), prywatnie mąż rosyjskiej piosenkarki Jasmin. Shor został nawet osadzony w maju 2015 r. w areszcie domowym w związku z tymi podejrzeniami. Szybko go został jednak zwolniony, by... wziąć udział w wyborach na burmistrza miasta Orhei. Wygrał je, zdobywając 62 proc. głosów. Sprawuje funkcję do dziś – mimo wyroku (nieprawomocnego) z 2017 r. skazującego go na siedem i pół roku więzienia.

Zdaniem Rumuńskiej Służby Wywiadowczej (SRI) Shor powiązany jest z Rosją i reprezentuje jej interesy w Kiszyniowie. Miał on też pomóc „wyprać" ok. 20 mld dol. w latach 2012–2014, które z Rosji – poprzez Mołdawię – trafiły

eprasa.pl ef95b0f035

do spółek zarejestrowanych w rajach podatkowych i do Unii Europejskiej (przez państwa bałtyckie). Jak wykazało prowadzone przez 61 dziennikarzy międzynarodowe śledztwo, część z tych pieniędzy trafiła do Polski (ok. 9 mln dol.), głośno było o dotacji (skromnej przy tej skali przekrętu) w wysokości 21 tys. zł dla Europejskiego Centrum Analiz Geopolitycznych Mateusza Piskorskiego (byłego polityka Samoobrony, aktualnie w areszcie za szpiegostwo na rzecz Rosji).

Jak się okazuje, część podmiotów wykorzystywanych do nielegalnego transferowania pieniędzy z Rosji była zarejestrowana pod tym samym adresem w Szkocji, co wspomniany kontrahent Kramka – Stoppard Consulting Ltd.

Rachunki służące do wyprowadzania środków obsługiwał mołdawski Moldindconbank. Do 2016 r. jego większościowym udziałowcem był powiązany z rosyjskim establishmentem oligarcha Wiaczesław Platon (vel Kobaliew). W ubiegłym roku sąd w Kiszyniowie skazał go na 18 lat więzienia za udział w procederze prania brudnych rosyjskich pieniędzy, w którym do własnej kieszeni miał wziąć 50 mln dol.

W październiku 2016 r. w Kijowie Ludmiła Kozłowska przekonywała, że ekstradycja Platona z Ukrainy do Mołdawii była nielegalna. Pod informacją o tym wydarzeniu na stronach fundacji podpisał się Bartosz Kramek. Adwokatem Platona jest Ana Ursachi, mołdawska prawniczka, która blisko współpracuje z Fundacją Otwarty Dialog. Kilkakrotnie była w Polsce, z członkami FOD odwiedzała Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy, Parlament Europejski, uczestniczyła w konferencjach OBWE w Berlinie (2016) i Warszawie (2017). FOD staje również w jej obronie, jako rzekomo prześladowanej w Mołdawii.

Nasze informacje postanowiliśmy oficjalnie potwierdzić w służbach. Stanisław Żaryn nie odniósł się do szczegółowych danych. W krótkiej odpowiedzi na nasze pytania przekazał jedynie: „Jeden z wątków branych pod uwagę przez Szefa ABW w czasie przygotowywania opinii ws. Pani Ludmiły Kozłowskiej dotyczy finansowania Fundacji Otwarty Dialog m.in. przez spółki zarejestrowane w rajach podatkowych, w tym podmioty zamieszane w wyprowadzanie pieniędzy z mołdawskiego systemu bankowego oraz opisane w tzw. sprawie Panama Papers. Te i inne wątpliwości dotyczące Pani Ludmiły Kozłowskiej oraz kierowanej przez nią Fundacji OD zostały ocenione przez ABW jako przesłanki do wydania negatywnej opinii ws. jej wniosku o zezwolenie na pobyt rezydenta długoterminowego w Unii Europejskiej".

Według naszych informatorów ze służb wnioski ABW są bardzo daleko idące. – Agencja oceniła, że Ludmiła Kozłowska stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. I ma na to sporo dowodów – słyszymy. Polski kontrwywiad nie tylko przeprowadził własne postępowanie. Nawiązano też w tej sprawie współpracę ze służbami specjalnymi innych państw – USA, Ukrainy i Rumunii.

Chcieliśmy porozmawiać z Bartoszem Kramkiem o transakcjach jego firmy z dziwnymi podmiotami ze Szkocji, zamieszanymi w operację prania brudnych pieniędzy. Poprosił o przesłanie pytań mailem. Do zamknięcia numeru „Sieci" nie odpowiedział.

PODATEK DO ZWROTU

Fundacja Otwarty Dialog może mieć także kłopoty z polskim fiskusem. Składając formularze CIT-8, zadeklarowała kwoty wolne od podatku: za rok 2014 – 883 626,80 zł; 2015 – 1 002 779,97 zł; 2016 – 347 698,34 zł. Jeśli w trakcie kontroli okaże się, że fundacja nie miała prawa do odpisów podatkowych, urząd może nałożyć domiar – będzie to co najmniej 19 proc. od zadeklarowanej kwoty, w tym przypadku – ponad 400 tys. zł.

Od sierpnia 2017 r. łódzki urząd celno-skarbowy prowadzi kontrolę finansów Fundacji Otwarty Dialog i firm z nią powiązanych w latach 2014–2016. Została ona właśnie przedłużona do listopada 2018, bo prowadząca w tej sprawie postępowanie Prokuratura Okręgowa w Warszawie podejrzewa popełnienie przestępstwa przez Bartosza Kramka (prokurenta fundacji i właściciela firmy Silk Road). Badane są przepływy finansowe między podmiotami i kwestia zwolnień podatkowych na rzecz fundacji. Przesłuchano już w tych sprawach cztery osoby: Ludmiłę Kozłowską, Bartosza Kramka i dwie kobiety prowadzące w kontrolowanym okresie księgi rachunkowe firm. Ich zeznania nie rozwiały wątpliwości śledczych.

Czy Fundacja Otwarty Dialog oraz kierujące nim polsko-ukraińskie małżeństwo to tylko agentura wpływu w rękach oligarchów z byłego ZSRS, czy coś więcej? W ukraińskich mediach (m.in.



Fot. Andrzej Wiktor

Bartosz Kramek podczas ubiegłotygodniowej manifestacji w obronie żony, która – jak poinformowano – „ogląda nas teraz w Kijowie za pośrednictwem mediów KOD"

prasa.pl ef950f035

42/0718/F

na portalu Antikor tropiącym korupcję za naszą wschodnią granicą) możemy przeczytać, że cały życiorys Kozłowskiej (obejmujący m.in. utworzenie pierwszej ukraińskiej biblioteki na Krymie w wieku 13 lat czy zaangażowanie w czasie pomarańczowej rewolucji w działania organizacji „Czarna pora") to mająca niewiele wspólnego z prawdą legenda wytworzona na potrzeby uwiarygodnienia „śpiocha" – tym terminem określa się agentów obcych służb, niekiedy nawet latami czekających na uruchomienie przez mocodawców.

Jakie naprawdę są związki pomiędzy Ludmiłą Kozłowską a Muchtarem Abliazowem? W internecie bez trudu można odnaleźć kilkunastominutowe nagranie, które ma dowodzić, że łączyły ich relacje intymne. Czy szefowa FOD rzeczywiście posiada rosyjski paszport? Bartosz Kramek zaprzecza tym rewelacjom.

Jak wynika z naszych informacji, polskie służby we wszystkich tych kwestiach nie mają pewności, ale wnikliwie sprawdzają wszelkie pojawiające się doniesienia. Nie formułują na razie podejrzeń o szpiegostwo, choć – zważywszy na działalność i powiązania naszych bohaterów – nie wykluczają tego. Wątpliwości nie mają co do jednego: były pełne podstawy do deportowania Ludmiły Kozłowskiej ze strefy Schengen.

> ABW oceniła, że Ludmiła Kozłowska stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. I ma na to sporo dowodów – słyszymy od naszych informatorów ze służb

Pozostają pytania: dlaczego takim kosztem tworzone narzędzie wpływu, które można określić też mianem agentury wpływu potężnych oligarchów, zostało użyte na polskim terenie? Dlaczego tak ostro i brutalnie ci ludzie weszli do gry, w której szło o siłowe wywrócenie werdyktu demokratycznego z 2015 r.?

Odpowiedzi są dwie. Pierwsza – bo tego chcieli mocodawcy, płatnicy. Zmiany w Polsce naruszyły wiele potężnych interesów, często niewidocznych, i być może któryś z nich stał się przyczyną opisywanych wydarzeń. Tego nie można wykluczyć. Ale jest też druga opcja: Kozłowska i Kramek uważali, że blok opozycyjny, z mediami, biznesem w tle, powiązaniami w całej Europie, jest tak silny, że bez trudu zmiecie obecnie rządzących za pomocą fali protestów. Widzieli to jako kolejną, niegroźną zabawę, dającą potem duże wpływy. Ale wyszło inaczej – państwo polskie umiało się obronić, zareagować, część mediów nie przyłączyła się do gry o pucz czy majdan i zaczęła ich sprawdzać.

REKLAMA



eprasa.pl ef95b0f035

Opozycji mówię wprost: prezes Kaczyński jeszcze nieraz da wam w kość

Michał Karnowski rozmawia z Tomaszem Porębą, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego, szefem sztabu wyborczego PiS na wybory samorządowe

Jarosław Kaczyński będzie bardzo aktywny w tej kampanii, mamy ciekawe pomysły na widoczną obecność prezesa. Już 2 września organizujemy dużą konwencję wyborczą w Warszawie, tam zainaugurujemy ogólnopolską kampanię

Jaki jest plan kampanii Prawa i Sprawiedliwości w wyborach samorządowych? Jaki jest najważniejszy cel?

Tomasz Poręba: Tej kampanii nie można odrywać od tego, co nas czeka w czasie najbliższego roku, dwóch lat. Przed nami cały cykl ważnych wyborów: po samorządowych przyjdą europejskie, potem parlamentarne, następnie prezydenckie. To wszystko zdecyduje, w jakim kierunku będzie się rozwijać Polska, w oparciu o jakie wartości. Dlatego przed wyborami samorządowymi oprócz spraw lokalnych musimy mówić o rzeczach generalnych, o tym, jak sobie wyobrażamy Polskę, jak ją już teraz zmieniamy, jakie ma być jej miejsce w Europie.

Ucieka pan od odpowiedzi na pytanie o cel wyborczy starcia o samorządy?

Ależ skąd, już odpowiadam. Naszym podstawowym celem jest wygrać w jak największej liczbie sejmików, ale tak, by móc realnie tam rządzić, a nie być w opozycji, bo wszyscy się przeciw nam zjednoczą. Jeśli to się uda, zyskamy możliwość poprawy jakości rządzenia także w samorządach. To nie są czcze słowa. Dobrym przykładem jest Podkarpacie, gdzie PiS rządzi już w tej kadencji. Dzięki temu rozwój regionu bardzo przyspieszył. Budowana jest droga Via Carpatia, co długo wydawało się nierealnym snem.

Mówiliśmy obszernie o tym projekcie pół roku temu na łamach tygodnika „Sieci".

To najważniejszy projekt mojego politycznego życia. Cieszę się, że to tak dynamicznie idzie. Na Podkarpaciu wzrosły poważnie nakłady na sport, transport, w tym modernizację linii kolejowych, na kulturę, w tym muzea, biblioteki. Krótko mówiąc, harmonijna współpraca samorządu wojewódzkiego z rządem przyniosła potężny impuls rozwojowy. To samo chcemy zaoferować całej Polsce. Tak to chcemy prezentować w kampanii: głosując na PiS, głosujesz na skokowe przyspieszenie rozwoju swojego regionu, także dzięki dobrej współpracy z rządem.

Rozumiem pańskie słowa w ten sposób, że trochę pan potwierdza twierdzenia polityków opozycji: to będą wybory formalnie tylko samorządowe, ale stawką są sprawy dużo poważniejsze.

To wszystko będzie się przeplatać w tej kampanii – lokalność, samorządność, gospodarka, kierunki polityki państwowej. A czy opozycja mówi to samo? Nie wiem, bo problemem jest brak programu opozycji. Jej politycy generują sprzeczne z sobą komunikaty. Chcą jednocześnie ograniczyć program 500+ i go rozszerzyć, znowu wydłużyć wiek emerytalny i zachować ten skrócony, który rząd PiS przywrócił. I tak dalej. Dlatego będziemy w tej kampanii prosili opozycję, by wreszcie pokazała program. Nie awanturę, agresję, których jesteśmy świadkami w ostatnich latach oraz miesiącach, ale wizję Polski.

Chcecie ich wciągnąć w pułapkę? Grzegorz Schetyna wyznał swego czasu: „Półtora roku przed wyborami prezentować program mógłby tylko samobójca".

eprasa.pl ef95b0f035



Fot. Andrzej Wiktor x2

Partia, która ubiega się o władzę bez programu, ubliża wyborcom, nie szanuje ich. Rozumiem, że po trzech latach obrażania Polaków, którzy wybrali zmianę w roku 2015, donoszenia, zresztą za pomocą nieprawdziwych argumentów, na własny kraj za granicę nie chce im się zabrać do pracy. Ale nie odpuścimy. Muszą pokazać program, muszą Polakom powiedzieć, co ich rządy będą oznaczały dla kraju.

> Chcę powiedzieć naszym kandydatom i zwolennikom: nie patrzcie w ogóle na sondaże. Nie dajcie się ponieść ani złudnemu przekonaniu, że już wygraliście, ani fałszywemu pesymizmowi, że nic się nie da zrobić, że nie da się przebić muru. Czy to Kraków, Gdańsk, Warszawa, czy mała gmina, nie może być żadnego spoczywania na laurach

Opozycja proponuje w zamian rozmowę o rządach PiS. I ma do tego prawo.

Nie, opozycja nie chce rozmawiać o prawdziwych efektach rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego. Wiedzą, że naszą siłą jest dotrzymywanie słowa. W roku 2015 umówiliśmy się z Polakami na konkretne rozwiązania w kwestiach społecznych, gospodarczych, bezpieczeństwa, sprawiedliwości. I słowa dotrzymaliśmy. Dziś opozycja panicznie boi się tego, co w demokracji powinno być normalne: porównania wyborczych zobowiązań z dorobkiem. Wiedzą, że nasz bilans jest dobry, ich z poprzednich rządów dramatyczny.

Wyborcy są w wielu mediach atakowani opisem Prawa i Sprawiedliwości jako partii nieudaczników. Ostatnio wyczytałem w jednym z propagandowych pism obozu III RP taki postulat: zabijmy ich zarzutami o nieudolność, to będzie skuteczniejsze niż hasła o zagrożonej demokracji.

Zawsze trzeba wymagać od siebie jeszcze więcej, pamiętamy o pokorze, ale nie mam poczucia, by takie argumenty mogły przekonać Polaków. Pokazaliśmy skuteczność: od walki z naprawdę groźnymi mafiami VAT-owskimi, od przywracania zlikwidowanych posterunków policji, przez budowę Wojsk Obrony Terytorialnej, po uratowanie takiej firmy jak Autosan. Jest wspomniany już program 500 +, są darmowe leki dla seniorów, niższy wiek emerytalny, a teraz także Wyprawka+. Daj Boże Polsce więcej takiego „nieudacznictwa".

Z nowoczesnym sprzętem dla wojska jednak jest kiepsko, podobnie z odbudową dużego przemysłu stoczniowego.

Przywracamy przemysł, w tym stoczniowy. Czy to może iść lepiej? Zawsze powinno być lepiej. Ale odwrócenie polityki koalicji PO-PSL, która faktycznie dążyła do likwidacji przemysłu, stało się faktem. Do tego mamy repolonizację banków, a teraz Pakt dla wsi, który – mam nadzieję – pozwoli zmniejszyć koszmarne skutki wyprzedaży całego przemysłu przetwórstwa owocowo-warzywnego. Ludzie pamiętają, kto to sprzedawał, ludzie wiedzą, kto Polskę, nasze państwo, zwijał, a kto je rozwija. I to będziemy w tej kampanii mówić: że nie da się we współczesnym świecie funkcjonować bez własnego przemysłu, banków, policji, wojska ani dobrej, budowanej bez łapówek, infrastruktury. Jedna liczba: w 2013 r. rząd PO-PSL przeznaczył na budowę dróg lokalnych 500 mln zł, nasz rząd w roku 2018 – 1 mld 300 mln. A w najbliższych dniach zwiększymy to jeszcze do kilku miliardów.

Inną linią krytyki ze strony opozycji jest przypisywanie rządzącym zachłanności. Całą Polskę Platforma okleiła plakatami przedstawiającymi wykrzywioną twarz Jarosława Kaczyńskiego z zarzutem: „PiS wziął miliony".

Najlepiej odpowiedział na to premier Mateusz Morawiecki: owszem, wzięliśmy, zabraliśmy złodziejom, ale nie miliony, lecz miliardy, i przekazaliśmy je Polakom. Ta akcja opozycji wpisuje się w to, co już o niej wiemy, czyli żadnego pomysłu dla Polski,

eprasa.pl ef95b0f035

żadnego programu, za to Prawo i Sprawiedliwość oraz nazwisko prezesa Jarosława Kaczyńskiego odmieniane przez wszystkie przypadki. Mamy niestety opozycję, w tym główną jej siłę, Platformę Obywatelską, bezideową, bezprogramową, miałką, wyłącznie straszącą Polaków, promującą agresję w życiu publicznym.

Każdy zwolennik opozycji zakrzyknie w tym momencie: były nagrody!

Ale tym się różnimy od wszystkich innych partii i środowisk, że potrafimy dokonać korekty, wycofać się z działań, które nie spotykają się z aprobatą społeczną. Zwrot nagród i dokonane samoograniczenie zarobków ministrów, posłów i senatorów jest dowodem naszej determinacji w tej sprawie. I temat zamknęło. PiS potrafiło też, jako pierwsze rządzące środowisko, poskromić zapędy tych, którzy chcieliby się na służbie publicznej czy pracy w spółkach skarbu państwa nadmiernie bogacić. A jeśli ktoś jednak przekracza granicę przyzwoitości, jest usuwany. Zdrowe reguły obowiązują też w wyborach samorządowych. Prezes Kaczyński wprowadził bowiem zasadę, że jeżeli ktoś zajmuje ważne stanowisko w obszarze gospodarczym, w jakiejś spółce, nie może startować.

Kiedy poznamy listy wyborcze?

Niedługo. Są już prawie domknięte, od wielkich miast, sejmików, przez powiaty i gminy.

Szeroko pojęta wieś wyrasta w ostatnich tygodniach na wyjątkowe pole bitwy politycznej. Zmieniono również ministra rolnictwa. Dlaczego? Prawo i Sprawiedliwość poczuło się na tych terenach zagrożone?

Polska wieś była, jest i będzie jednym z centralnych punktów zainteresowania PiS. Po przejęciu władzy mocno zwiększyliśmy nakłady na wieś, ale przede wszystkim mamy jasną wizję jej rozwoju. Tego dotyka Pakt dla wsi, dobrze przyjęty przez rolników, zakładający m.in. utworzenie holdingu spożywczego, wypłaty odszkodowań za szkody wynikające z ASF, lepszą ochronę w przypadku suszy, dopłaty do paliwa rolniczego. To kolejny dowód, że my polskiej wsi nie zostawimy, będziemy w nią inwestować.

Macie poczucie, że PSL mocno was atakuje?

Politycznie wieś jest oczywiście polem mocnego starcia z PSL, ale to inna forma starcia starego z nowym. Przypomnę, że po 1989 r. PSL rządziło 16 lat. W tym czasie sprzedali zakłady przetwórcze, stworzyli niebezpieczny system umożliwiający złym ludziom wyciąganie środków unijnych przeznaczonych na rozwój. Wtedy minister Sawicki mówił o rolnikach „frajerzy". To PSL, będąc w rządzie, „wynegocjowało" o 5 mld mniejsze środki unijne dla polskiej wsi w ramach obecnej perspektywy finansowej. To oni, podczas polskiej prezydencji w 2011 r., zgodzili się, aby o rolnictwie nie było ani słowa, chociaż trwały wówczas negocjacje wspólnej polityki rolnej UE i toczyła się twarda walka o wyrównanie dopłat do hektara. Konia z rzędem temu, kto pokaże jakąkolwiek strategiczną decyzję podjętą przez PSL, która byłaby korzystna dla polskiej wsi. Nie ma czegoś takiego. Gdy oni rządzili, zawsze wygrywały inne interesy. Zawsze. I to mówią nam rolnicy, także moi znajomi. Twierdzą, że dopiero teraz widzą, iż państwo zaczyna o nich myśleć, zaczyna reagować na realne problemy.

> Na plakaty PO najlepiej odpowiedział premier Mateusz Morawiecki: owszem, wzięliśmy, zabraliśmy złodziejom, ale nie miliony, lecz miliardy, i przekazaliśmy je Polakom. Ta akcja opozycji wpisuje się w to, co już o niej wiemy, czyli żadnego programu, tylko agresja

Wrócę do pytania o wymianę ministra rolnictwa. Coś poszło nie tak?

W polityce bez wątpienia liczy się to, by oprócz dobrej roboty umieć dotrzeć do odbiorców z komunikatem o tej pracy, przekonać ich do swoich działań. Minister Jurgiel wykonał kawał ciężkiej pracy, ale bez wątpienia minister Jan Krzysztof Ardanowski nadał ministerstwu nową dynamikę, mówi też w sposób dobrze przyjmowany na wsi.

Na drugim biegunie politycznej mapy są wielkie miasta. Jak pan widzi tutaj szanse pana partii?

Podstawowym wnioskiem z tych kilku tygodni tzw. prekampanii jest widoczna potrzeba zmiany także tam. Mieszkańcy Wrocławia, Krakowa, Warszawy, Łodzi, ale też innych dużych miast z zainteresowaniem patrzą na propozycje, programy, chcą lepszego życia dla swoich rodzin, chcą ambitnych propozycji, chcą więcej. Wydają się zmęczeni tymi samymi władzami od lat, czasem nawet od dekad. Widać też zniesmaczenie stylem niektórych prezydentów, jakością tych rządów. Tak jest w Krakowie, gdzie widać stagnację, tak jest w Gdańsku, gdzie na prezydencie ciążą poważne zarzuty, czy w Warszawie, gdzie można mówić o mafii reprywatyzacyjnej, która wyrosła pod skrzydłami pani prezydent. Wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom zmiany, mamy dobre propozycje, nowe, ciekawe twarze i wielkie pomysły. Nasi przeciwnicy polityczni już się chyba przekonali, chwilami boleśnie, że walki o wielkie miasta nie odpuszczamy. Bo jeśli chcemy pójść dalej, chcemy, by dobre zmiany objęły jak najwięcej Polaków, musimy walczyć o poparcie Polaków także tam.

eprasa.pl ef95b0f035

Jak pan ocenia kampanię w miejscu najbardziej twardej dziś walki politycznej – w Warszawie?

Aktywność naszego kandydata Patryka Jakiego, jego dynamizm, pomysły, budzą uznanie, ale też pomagają nam w kampanii ogólnopolskiej. Ta kampania skupia uwagę całej Polski, a Polacy widzą młodego, sympatycznego, mądrego kandydata Zjednoczonej Prawicy, któremu się chce. Po drugiej stronie stoi człowiek, który swoim hasłem postanowił uczynić trzy słowa: „taśma, szyba, kit". To pozer, który nie ma pojęcia o prawdziwych oczekiwaniach mieszkańców.

A Gdańsk i Kacper Płażyński?

Trzymam za niego kciuki, bo zderza się też z gigantyczną blokadą medialną. W Gdańsku ten platformerski system medialny jest podniesiony do kwadratu. Nie poddaje się jednak, jest aktywny, spotyka się z ludźmi, wychodzi z propozycjami. Ta świeżość jest dobrym znakiem.

Z Krakowa dochodzą z kolei wieści o zaskakująco dobrych sondażach dla pani Małgorzaty Wassermann.

Bardzo się z nich cieszę, ale zdecydowanie przestrzegam przed hurraoptymizmem. To, że przez kilka dni z rzędu nagłaśnia je duża prywatna i bardzo przychylna opozycji stacja telewizyjna, jest sygnałem alarmowym. To w mojej ocenie próba zdemobilizowania naszych wyborców, pokazania, że czy to w Warszawie, czy w Krakowie już wygraliśmy i że mogą sobie odpoczywać. A to nieprawda. Walka będzie do końca, potrzebny jest każdy głos i każdy wysiłek będzie miał znaczenie. Wszystkie ręce na pokład.

Nie powie pan, że nie patrzycie na sondaże?

Tak właśnie chcę powiedzieć naszym kandydatom i zwolennikom: nie patrzcie w ogóle na sondaże, nie dajcie się zwieść. Nie dajcie się ponieść ani złudnemu przekonaniu, że już wygraliście, ani fałszywemu pesymizmowi, że nic się nie da zrobić, że nie da się przebić muru. Czy to Kraków, Gdańsk, Warszawa, czy mała gmina,



nie może być żadnego spoczywania na laurach.

Nerwy jednak są. Pan podczas spotkania premiera w Sandomierzu pan rzucił do dziennikarza TVN „Ty szczylu". Nie wyszło to dobrze.

Padły z mojej strony niepotrzebne słowa, za które przepraszam, ale zachowanie drugiej strony było nie do zaakceptowania. Prosiłem kilka razy aby redaktor TVN24 odszedł, bo to nie był czas na pytania. W odpowiedzi od początku byłem szturchany i popychany, bo on za wszelką cenę chciał dostać się do Premiera. Nie był to czas na pytania dziennikarzy, szliśmy dopiero na rynek. Inni reporterzy to uszanowali. Nie jestem przyzwyczajony do takiego zachowania mediów. Dla mnie to nie jest dziennikarstwo. Na pewno z tego zdarzenia wyciągnę wnioski.

Kto będzie liderem tej kampanii ze strony PiS? Premier Mateusz Morawiecki? Prezes Jarosław Kaczyński?

Mogę panu ujawnić, że prezes Jarosław Kaczyński będzie bardzo aktywny w tej kampanii, mamy ciekawe pomysły na widoczną obecność prezesa. Już 2 września organizujemy dużą konwencję wyborczą w Warszawie, tam zainaugurujemy ogólnopolską kampanię. A precyzyjniej: zrobi to prezes Kaczyński. Bardzo go potrzebujemy, bardzo na niego liczymy. I mogę już zdradzić czytelnikom tygodnika „Sieci", że tak właśnie będzie. Aktywność prezesa będzie duża. Oprócz prezesa oczywiście premier Mateusz Morawiecki będzie naturalną twarzą tej kampanii. I to też będzie nasz mocny atut. Ma świetne pomysły na Polskę i już sporo sukcesów. Chociażby odbicie kraju z rąk mafii VAT-owskiej. To jego i rządu PiS wielki sukces. O spadku bezrobocia, zbilansowaniu budżetu czy jednym z największych w UE wzroście gospodarczym Polski nie wspominając.

Ciekawe. Opozycja duże nadzieje łączyła z możliwą nieobecnością prezesa Kaczyńskiego w kampanii wyborczej.

Jestem w stałym kontakcie z Jarosławem Kaczyńskim, uzgadniamy wszystkie działania, jakie będziemy podejmować w tej kampanii. Wiemy, że nie wygramy tych wyborów bez prezesa Kaczyńskiego, i cieszę się, że jego aktywność będzie tak duża. Opozycji mogę powiedzieć wprost: prezes Jarosław Kaczyński jeszcze nieraz da wam w kość. Dla dobra Polski.

eprasa.pl ef95b0f035



Pokolenie michnikowszczyzny liże rany po porażce i już się nie podniesie. Czy ktoś może przełamać hierarchię porządków ustanowionych w początkach III RP?

Fot. Andrzej Wiktor

Trzaskowszczyzna



STANISŁAW JANECKI

To, co reprezentuje Rafał Trzaskowski (rocznik 1972), nie jest tylko zespołem jego indywidualnych cech i zachowań, to znacznie szersze zjawisko, które można nazwać trzaskowszczyzną. W polskiej rzeczywistości, a więc także w polityce, trzaskowszczyzna funkcjonuje na wielu poziomach. Można powiedzieć, że jest znakiem czasu, czyli doświadczeniem pokoleniowym (czterdziestolatki), środowiskowym ze względu na status (inteligencja, twórcy), wielkomiejskim, obyczajowym (to nie są obyczajowi eksperymentatorzy, choć nastawieni liberalnie) i kulturowym (tzw. syndrom Europejczyka).

Najwięcej osób spod tego znaku znalazło zajęcie w korporacjach, sporo pracuje w wolnych zawodach (m.in. twórcy), nieliczni w polityce. Nie garnęli się do polityki przede wszystkim dlatego, że nie bardzo do niej pasują: uważają się od przeciętnych polityków za inteligentniejszych, lepiej wykształconych, kulturowo bogatszych, mających lepsze pochodzenie, przygotowanych do bycia elitą. Poza tym w polityce, jak dla nich, legalnie za mało się zarabia. Ta legalność jest ważna, gdyż są zbyt bojaźliwi, także ze względu na wychowanie, by ryzykować swoją pozycją i przyszłością. Wiedzą, że kampanie wyborcze są drogie, potrzebni są sponsorzy, a to rodzi pewne ryzyko.

W polityce takie osoby jak Rafał Trzaskowski pozornie są lubiane, głównie ze względu na swoją grzeczność i układność, lecz w gruncie rzeczy wyborców raczej nie porywają. Dlaczego? Bo przeciętny Kowalski czuje się przy nich niedowartościowany, odstręcza go od takich graczy ich poczucie wyższości, coś, co można nazwać syndromem prymusa. A kto tak naprawdę kocha pry-

eprasa.pl ef95b0f035

musów? „Gdziekolwiek się znajdę, tam będę dobry" – mówił Rafał Trzaskowski w 2009 r. po wygranych wyborach do europarlamentu.

RAFAŁ „DUDUŚ" TRZASKOWSKI

Rafał Trzaskowski jest synem Andrzeja Trzaskowskiego i Teresy z domu Arens, a z pierwszego małżeństwa Ferster (mąż Marian był inżynierem; miała z nim syna Piotra, późniejszego dyrektora Piwnicy pod Baranami). Trzaskowscy to rodzina szlachecka z Galicji. Pradziadek Rafała, Bronisław Trzaskowski (herbu Trzaska), pedagog i językoznawca (przez kilka lat jezuita), większość dorosłego życia spędził w Tarnowie (był tam dyrektorem C.K. Wyższego Gimnazjum), a potem przeniósł się do Krakowa (był tam dyrektorem I Gimnazjum Żeńskiego). Dziadek Rafała, Stanisław Wojciech Trzaskowski, doktor praw Uniwersytetu Jagiellońskiego, był sędzią Sądu Apelacyjnego. Ojciec Rafała, Andrzej Trzaskowski, był znanym muzykiem (pianistą) i kompozytorem, absolwentem muzykologii i teorii muzyki współczesnej na UJ, przez wiele lat prowadzącym Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji Studio S-1. Matka Rafała, Teresa Arens, pochodziła z warszawskiej rodziny: jej rodzice mieszkali przy ul. Rakowieckiej, a przy ul. Rymarskiej mieli sklep z antykami. Starsza siostra Teresy Arens, Anna Izabela, oraz starszy brat Andrzej byli żołnierzami AK, powstańcami warszawskimi (Andrzej zginął w pierwszym dniu zrywu).

Andrzej Trzaskowski poznał Teresę Ferster (z d. Arens) w Piwnicy pod Baranami, gdzie razem z żoną Krzysztofa Komedy, Zofią, prowadziła bar. Teresa (kostiumolog) przeniosła się do Krakowa za pierwszym mężem Marianem Fersterem (skądinąd jego matka, Władysława z Drobnerów, była po wojnie funkcjonariuszką krakowskiego UB). Rafał Trzaskowski urodził się już po przeprowadzce rodziców do Warszawy. Mieszkali przy ul. Freta na Nowym Mieście. Ich mieszkanie było artystyczno-intelektualnym salonem, w którym bywała ówczesna śmietanka towarzyska (warszawska i krakowska).

Rafał Trzaskowski uczył się w warszawskim liceum im. Mikołaja Reja, gdzie był przewodniczącym samorządu uczniowskiego. Przez kilka miesięcy przebywał w Australii, gdzie również chodził do liceum. Gdy miał 17 lat, w warszawskiej kawiarni Niespodzianka pomagał ówczesnej opozycji jako tłumacz z angielskiego (także jako kolporter). Podczas tej pracy poznał Amerykanów, którzy zaprosili go do USA, załatwili mu stypendium i naukę w dobrej szkole średniej.

Po powrocie do kraju zaczął studiować anglistykę na UW, a potem jeszcze stosunki międzynarodowe. Był stypendystą Oksfordu (jak sam przyznał – za pieniądze George'a Sorosa) oraz Instytutu Unii Europejskiej w Paryżu. Skończył Kolegium Europejskie w Natolinie (gdzie słuchał m.in. wykładów prof. Bronisława Geremka po francusku), a potem się doktoryzował. Niejako przy okazji nauczył się angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, rosyjskiego i trochę portugalskiego.

Rafał Trzaskowski spełnia zatem wszelkie kryteria dobrze ułożonego i właściwie prowadzonego dziecka, którego rodzice zadbali o to, by miał najlepszy start do dorosłego życia. I w tym sensie jest wzorcowym przedstawicielem środowiska, które nazwałem trzaskowszczyzną. Oczywiście Trzaskowski dorabia sobie wizerunek podwórkowego urwisa z przygodowych powieści Edmunda Niziurskiego, żeby nie wyjść na lalusia czy choćby Janusza „Dudusia" Fąferskiego z powieści Adama Bahdaja „Podróż za jeden uśmiech". Trzaskowski kreuje się na kogoś więcej niż osobę wychowaną i wykształconą w cieplarnianych warunkach, gdyż to pomaga w polityce. Gdyby robił karierę w korporacji, doklejanie legendy urwisa nie byłoby potrzebne.

MODELOWI KONFORMIŚCI

Biografia Rafała Trzaskowskiego jest ważna, gdyż pokazuje wzorcowy model trzaskowszczyzny – środowiska wyjątkowo asertywnego i przekonanego o swym powołaniu do wielkości. Nieprzypadkowo Rafał Trzaskowski przyjaźni się, a wręcz chwali się związkami ze znanymi ludźmi sukcesu. Lista jest długa. To Michał Żebrowski (rocznik 1972), Tomasz Karolak (rocznik 1971), muzyk Grzegorz Turnau (rocznik 1967), literaturoznawca, pisarz i tłumacz, kiedyś sekretarz poetki Wisławy Szymborskiej – dr hab. UJ Michał Rusinek (rocznik 1972), aktor Piotr Adamczyk (rocznik 1972), dziennikarz Marcin Meller (rocznik 1968), urzędnik państwowy, a potem wicegubernator banku Mikołaj Dowgielewicz (rocznik 1972), menedżerka kultury Małgorzata Wende-Wardyńska (rocznik 1971).

Nieprzypadkowo Żebrowski czy Karolak są przekonani, że ich kolega jest predestynowany do najwyższych stanowisk w państwie (prezydenta i premiera) oraz w UE (przewodniczący Komisji Europejskiej lub Rady Europejskiej), że jest gotowy do ich objęcia. Także dlatego, że oprócz dobrej biografii i wykształcenia ma już niezbędne doświadczenie: doradcy i asystenta Jacka Saryusza-Wolskiego (kiedy ten był sekretarzem Komitetu Integracji Europejskiej, przewodniczącym komisji spraw zagranicznych Parlamentu Europejskiego), posła Parlamentu Europejskiego i koordynatora Komisji Spraw Konstytucyjnych, wiceprzewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej, wiceministra spraw zagranicznych, ministra administracji i cyfryzacji.

Przedstawiciele trzaskowszczyzny to kolekcjonerzy umiejętności, tytułów, dyplomów, certyfikatów, stanowisk, znajomości i koligacji. Ich CV można uznać za pokazówkę. Najczęściej byli za młodzi w czasie rewolucji „Solidarności", więc nie mogą się opierać na kombatanckiej legendzie ani zasługach z tamtych czasów.

Gdy Rafał Trzaskowski zaczynał polityczną karierę, był wprawdzie kandydatem Platformy Obywatelskiej do europarlamentu z okręgu 4 (Warszawa 1), ale dostał dopiero czwarte miejsce na liście. Taki werdykt uznał za niesprawiedliwy. Miał bowiem wynikać z niedoceniania takich fachowców jak on. Dlatego musiał mieć wyjątkową kampanię, ze wsparciem bardzo znanych celebrytów (pod hasłem: „A ty co zrobisz dla Rafała?".), żeby się przebić do opinii publicznej. I ostatecznie się przebił, choć 25 178 głosów nie było imponującym rezultatem. Potem powstały wątpliwo-

eprasa.pl ef95b0f035

ści, czy sukces jego nietypowej kampanii, ufundowanej przez sponsorów, nie spowodował tego, że później musiał się z nimi (sponsorami) rozliczyć. Jak pisał w lutym 2018 r. Tomasz Molga na portalu Wirtualnej Polski: „Dość dziwnie brzmi 6 pytań [europosła Rafała Trzaskowskiego] dotyczących skomplikowanych kwestii podatkowych: zwolnienia od podatku, sposobu naliczania podatków oraz tego, czy Polska złamała reguły prawa unijnego, podnosząc podatek spółkom". „Czy Rzeczpospolita Polska podnosząc z dniem akcesji do Unii Europejskiej, czyli z dniem 1 maja 2004 r., stawkę opodatkowania podatkiem kapitałowym czynności utworzenia oraz podwyższenia kapitału zakładowego spółek z 0,1 proc. do 0,5 proc. naruszyła reguły prawa unijnego?" – pytał w PE Rafał Trzaskowski. „Ze względu na fakt, iż szanowny pan poseł wydaje się odnosić do konkretnych przypadków, Komisja nie posiada wystarczającej ilości informacji, które umożliwiłyby jej analizę problemu, i w związku z tym nie jest w stanie odpowiedzieć na pytania" – czytamy w odpowiedzi dla Trzaskowskiego. Dziwność tych pytań polega na tym, że zdają się one wynikać z troski o interesy konkretnych firm. Tomasz Molga sugeruje, że chodziło o „znaną na rynku agencję public relations" oraz o dewelopera.

Nastawienie na sukces przedstawicieli trzaskowszczyzny oraz ich dążenie do zastąpienia tych, którzy zajęli ważne stanowiska w pierwszych dwóch dekadach istnienia III RP, sprawia, że są wyjątkowo poprawni politycznie, sformatowani na centrum, choć z liberalnym wychyleniem. Z tego powodu w ogromnej większości są też konformistami, bardzo rzadko decydującymi się na ryzykowne wybory. W polityce są równie sformatowani jak w korporacjach, gdzie wychylanie się uniemożliwia awans. Rafał Trzaskowski jest wręcz wzorcowym przykładem modelu konformisty, który chciałby dać „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek", nie przyznając się do wyznawanych przez siebie wartości.

Aktor Michał Żebrowski uważa go za „naturalnego lidera naszego pokolenia", tyle że lider nie powinien być aż tak sformatowany, bo często musi jednak podejmować ryzykowne decyzje. Trzaskowszczyzna ryzyka się boi i unika, choć sam Trzaskowski i tak zrobił postępy, bo jednak porażka w wyborach na prezydenta Warszawy będzie miała znacznie poważniejsze konsekwencje, niż gdyby przegrał w wyborach do europarlamentu. Taka klęska może go wykluczyć z wielkiej polityki. Nie mógł jednak odmówić Grzegorzowi Schetynie walki o stołeczny ratusz, bo gdyby to zrobił, także byłby przekreślony.

> Trzaskowszczyzna jest efektem filozofii ciepłej wody w kranie Donalda Tuska. Tworzą ją ludzie wygodni, przyzwyczajeni do wysokiego poziomu życia, trochę dandysi, którzy nie doświadczyli walki o byt w strukturach partii czy korporacji. To raczej outsiderzy mający o sobie bardzo dobre mniemanie i oczekujący uznania z powodu swojej społecznej pozycji

POSTREWOLUCYJNA MICHNIKOWSZCZYZNA

Trzaskowszczyzna to syndrom pokolenia czterdziestolatków: z wielkich miast, z dobrych domów, dobrze wykształconych, bywałych, mających wpływowych znajomych i kolegów oraz równie wpływowych mentorów. Przez prawie dekadę, a czasem dłużej, byli oni odsuwani od pierwszego szeregu polskiej polityki i wpływu na życie społeczne przez starszą, znacznie radykalniejszą, bardziej rewolucyjną michnikowszczyznę. Teraz michnikowszczyzna straciła znaczenie, więc szanse ma trzaskowszczyzna – jako michnikowszczyzna postrewolucyjna, znacznie bardziej pozytywistyczna, niemająca pretensji do zmieniania świata ani postępowego przeformowania społeczeństwa. To wspólnota raczej działająca na wzór anglosaskich stowarzyszeń alumnów, które bardzo dbają o sukces i życiowe powodzenie swoich członków. Wielu przedstawicieli trzaskowszczyzny zna te metody z czasów swoich studiów w USA czy Wielkiej Brytanii. A poznani wtedy koledzy często pomagają im w robieniu międzynarodowych karier.

Trzaskowszczyzna to nierewolucyjna wersja pokolenia marcowych i pomarcowych komandosów, wykorzystujących pozycję swoich rodziców i ich grupowe powiązania oraz świadczone sobie przysługi. Trzaskowszczyzna jest próbą przełamania hierarchii społecznych ustanowionych przez michnikowszczyznę, choć korzysta ze wsparcia bardzo osłabionej michnikowszczyzny wszędzie tam, gdzie ta się jeszcze liczy.

Trzaskowszczyzna jest efektem filozofii ciepłej wody w kranie Donalda Tuska. Tworzą ją ludzie wygodni, przyzwyczajeni do wysokiego poziomu życia, trochę dandysi, którzy nie doświadczyli walki o byt w strukturach partii, korporacji, instytucji czy organizacji. To raczej outsiderzy mający o sobie bardzo dobre mniemanie, oczekujący docenienia z powodu pozycji społecznej i kulturowo-towarzyskiego zaplecza.

Trzaskowszczyzna jest elitarystyczna i zamknięta, dlatego ma trudności z trafieniem do przeciętnych ludzi. Jest przeciwieństwem tego, co reprezentuje Patryk Jaki – dla niej arywista spoza „dobrego towarzystwa". Trzaskowszczyzna bardzo by chciała być równie ważna i wpływowa jak swego czasu michnikowszczyzna, ale do tego jest chyba zbyt mało radykalna i zbyt mało skłonna do ciężkiej pracy oraz poświęceń. Ale ambicje ma wielkie.

eprasa.pl ef95b0f035

Liberalna opozycja jest niewiarygodna w roli obrońcy „zwykłych Polaków". Ale nie należy bagatelizować jej obecnej kampanii. Bo zbytnia pewność siebie zgubiła już niejedną rządzącą ekipę



Nie lekceważyć billboardów



PIOTR SKWIECIŃSKI

Billboardową kampanię Platformy Obywatelskiej (hasła „PiS wziął miliony, a wszystko drożeje", „PiS wziął miliony, a ludzi nie stać na leki", „...a tanich mieszkań nie ma" „...i chce być bezkarny", „...a prąd drogi jak nigdy") po obu stronach dzielących Polaków politycznych barykad przyjęto bez większego zdziwienia. Jako albo jasne stwierdzenie oczywistych niegodziwości partii rządzącej, albo – po przeciwnej stronie – wynik równie oczywistej niegodziwości opozycji. Jest to symptomatyczne, choć przecież ta kampania stanowi novum i swego rodzaju zmianę jakościową.

Jest to symptomatyczne, bo dowodzi, jak bardzo wszystko, co dzieje się w polityce, znieczuliło nas na demagogię i werbalną agresję. Jest to zmiana jakościowa, bo nie było dotąd wielkiej kampanii propagandowej, tak ostentacyjnie kłamliwej.

Oczywiście jest zbójeckim prawem opozycji uogólnianie wszystkiego i czynienie za wszystko odpowiedzialnych rządzących. Samo PiS przed 2015 r. czyniło to wielokrotnie, i nie zawsze miało rację. Niemniej obecna kampania jest pod tym względem szczególna. Powtórzę – kłamliwa. Nie w sensie nieprawdziwości części zawartych w sloganach opisów sytuacji (np. „wszystko drożeje"), tylko oczywistej sugestii (choć, rzecz jasna, twórcy billboardów zaprzeczyliby z faryzejskim oburzeniem), że między „wzięciem przez PiS milionów" (rozumiem, że chodzi o słynne premie) a słowami po przecinku zachodzi logiczny związek wynikowy. Czyli na przykład, że inflacja ruszyła dlatego, iż ministrowie pobrali nagrody.

Czegoś tak potwornie prymitywnego intelektualnie i odwołującego się do sposobu pojmowania świata przez osoby najmniej rozwinięte umysłowo (tak, to synonim słowa „głupie") w polskiej polityce dotąd nie było, przynajmniej na taką skalę. Nie była taka nawet kampania SLD z 2001 r., uznana wówczas za szczyt demagogii. Nie osiągnęła też – aż do teraz – tego poziomu, trwająca od 2005 r., rąbanina Platformy i PiS.

NIE MA POLSKI POZA...

Rzecz jasna, obie strony obecnej wojny widzą to wszystko inaczej. Dla opozycji kampania „PiS wziął miliony..." to oczywisty efekt eskalacji rozpoczętej w 2005 r. słynnym spotem ostrzegającym, że w wypadku zwycięstwa Platformy lodówka polskiej rodziny opustoszeje, i dziadkiem z Wehrmachtu. Eskalacji, której winne jest Prawo i Sprawiedliwość – „my się tylko bronimy, a zresztą nawet jeśli przegięliśmy, to oni przeginali przedtem sto razy, i na niewinnych nie trafiło". Jeśli – myślą opozycjoniści – „oni" faulują, naginając konstytucję, to sami uchylili konieczność stosowania zasad fair play wobec siebie.

Dla PiS sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie tylko dlatego, że billboardy są dla podzielających wrażliwość polskiej prawicy po prostu kolejnym dowodem na to, że „podłość totalnych nie ma granic". Ważniejsze jest coś innego.

I politycy, i intelektualne zaplecze partii rządzącej postrzega się – i tak, nie bez racji, widzi przeszłość – jako od początku, od głębokich lat 90., obiekt systemowych wręcz fauli oraz prześladowań. Tak działa tzw. głęboka pamięć, ciągnąca się od genetycznego poprzednika PiS – Porozumienia Centrum, ukształtowana przez traumę wałęsowsko-udeckich, urzędowych nagonek lat 1992–1995, a także trwającego znacznie dłużej niszczenia przez

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl ef95b0f035

– wówczas niemal monopolistyczne – media III RP. Z tej perspektywy wszystko, co czyni obecnie PiS, jest jedynie bardzo umiarkowaną reakcją, wręcz samoobroną.

Tym bardziej że właśnie wtedy, już w połowie pierwszego pięciolecia dekady lat 90., w poczuciu szoku zarówno po nocy teczek '92, jak i po powrocie do władzy, przez establishment III RP częściowo wspieranych, a nigdy całościowo nieodrzucanych, postkomunistów, w tej, od której wywodzi się PiS, części polskiej prawicy ukształtowało się przekonanie, że poza szczupłym – do czasu – gronem obrońców przed recydywą PZPR, paktem monopartii Michnik–Kwaśniewski i antytradycjonalnej agresji, w sensie moralnym nie ma Polski. Przekonanie, które po latach, transmitowane personalnie, ale też za pomocą przekazu ideowego, wysublimowało w przepełniające obecnie dusze wielkiej części formacji IV RP przeświadczenie, że „nie ma Polski poza PiS".

Nie jest to, dodajmy nawiasem, konstatacja odosobniona. Do bliźniaczej doszedł, po przegraniu wyborów w 2002 r., Viktor Orbán. Kilka miesięcy potem powiedział, że Fidesz nie czuje się opozycją, bo „naród nie może być w opozycji". Innymi słowy: naród to on i jego zwolennicy, a przeciwnicy Fideszu to nie naród. Podobne aluzje Orbán rzucał wówczas wielokrotnie; jego przeciwnicy konstatowali, że uważa się on za „prawdziwiej węgierskiego" niż oni.

Z przekonania zaś, że nie ma Polski poza Prawem i Sprawiedliwością wypływa logiczny wniosek, iż walka z wrogami PiS jest walką w obronie Polski. A w takim starciu wolno więcej. Można stosować metody, których w normalnym konflikcie politycznym używać nie wolno.

Oczywiście ma to bliźniacze odbicie po stronie przeciwnej. Żeby przypomnieć choćby frazeologię Stefana Niesiołowskiego, który w okresie kiedy był jeszcze ważnym politykiem rządzącej PO, mówił o PiS jako o bolszewikach, wobec których Platforma nie popełni błędu Kiereńskiego – błędu tolerancji...

PLATFORMA SARMATÓW

W opisywanym powyżej stanie ducha liberalna opozycja (pod tym pojęciem rozumiem tu nie tylko polityków, lecz również ich intelektualne zaplecze) ewoluuje w kierunku, który – komuś z przeciwnej strony może zechcieć się zacząć wyzywać mnie od gomułkowskich propagandzistów, ale trudno, i tak użyję tego pojęcia – staje się antypaństwowa w dosłownym sensie. I aby to stwierdzić, nie trzeba podzielać przeświadczenia, że „nie ma Polski poza PiS". Wystarczy śledzić fakty.

Antypaństwowa ewolucja opozycji odbywa się na dwóch płaszczyznach. Jest ta bieżąca, czyli jej obecna działalność, którą można określić mianem anarchizowania kraju. Zwróćmy uwagę na całą opozycyjną linię propagandową, frazeologię związaną z demonstracjami i innymi formami manifestacji publicznych. Nie sposób nie dostrzec pieczołowicie przemycanego przesłania, które można odczytać tak: wobec każdej demonstracji władza ma moralny obowiązek kapitulacji. Skoro jakaś grupa czegoś się domaga, a żądania jej wspiera spora część społeczeństwa, to rządzący mają w zasadzie jeden wybór: wykonać bez gadania to, czego się od nich domaga. A najlepiej oddać władzę.

Oczywiście samo przez się jest zrozumiałe, że chodzi o sytuacje, kiedy czegoś domaga się grupa właściwa. Czyli składająca się z przedstawicieli „kreatywnych, nowoczesnych elit", dialektycznie stanowiących większość, nawet pozostając w arytmetycznej mniejszości, i zawsze będących obrazem przyszłości, nawet jeśli w prozaicznym sensie generacyjnym zaliczających się już raczej do pokoleń schodzących, albo też przez te środowiska doraźnie popierana. Ale tego nie da się przecież powiedzieć wprost, opozycja rada nierada konstruuje więc świat pojęć, w którym moralna konieczność kapitulacji władzy dotyczy każdego protestu. Jeśli kiedyś będzie rządzić, może się zetknąć z bolesnymi społecznymi skutkami tego, upowszechnianego teraz przez siebie, przesłania.

Warto też śledzić sposób, w jaki opozycyjni politycy mówią, a opozycyjne media piszą o kwestii tego, co wolno, a czego nie wolno demonstrantom. Otóż mogą oni w zasadzie czynić wszystko, a policja, jeśli już nawet nie decyduje się na przejście na stronę „demokratycznej rewolty", powinna zmazywać ten swój konformizm, na wszystko im pozwalając. W tej interpretacji obowiązującego prawa opozycja wspierana jest przez, jakoś jak dotąd niezastraszone przez PiS, sądy. Pouczający jest pod tym względem choćby ostatni wyrok warszawski – skład orzekający uznał, że manifestanci próbujący zablokować wyjazd z Sejmu w grudniu 2016 r. nie złamali prawa, bo... nikt z Sejmu nie próbował wyjechać. Tu znów warto się zastanowić nad ponaddoraźnymi skutkami tego rodzaju



Najmocniejszą stroną PiS jest wizerunek ugrupowania broniącego zwykłego człowieka. Billboardy „PiS wziął miliony, a…" mają uderzyć właśnie w ten wizerunek, zdestruować go

Fot. Fratria

eprasa.pl ef95b0f035

pedagogiki społecznej, uprawianej – powtórzmy – jednomyślnie przez opozycyjnych polityków, opozycyjne media i większość sędziów.

Ale jest też druga, bardziej fundamentalna, płaszczyzna antypaństwowej ewolucji opozycji. Chodzi o jej pomysły dotyczące organizacji państwa po swoim ewentualnym zwycięstwie. Są to rozwiązania idące w stronę de facto likwidacji państwa – po to, żeby obecny, z punktu widzenia liberałów, „horror" nie mógł się powtórzyć.

Polskie państwo było bardzo słabe już w wersji kończącej się PRL z lat 80., a przełom '89 r. osłabił je radykalnie – poprzez likwidację jego dotychczasowego administracyjnego kręgosłupa, czyli struktury będącej dotąd właściwym organizatorem i nośnikiem władzy PZPR. Potem proces ten postępował; elity III RP silnego państwa nie chciały – byłoby ono sprzeczne z ich interesami (bo mogłoby wymusić konieczność dzielenia się własnym ekonomicznym sukcesem i uniemożliwić akumulowanie bogactwa kosztem warstw nieuprzywilejowanych) i będącą efektem tychże interesów ideologią. Na to nałożył się akces do Unii, ewoluującej w stronę zagarniania coraz większej władzy, kosztem rządów narodowych, przez instytucje brukselskie.

A teraz opozycja snuje plany dalszego, tym razem już strukturalnego, osłabiania państwa poprzez likwidację bądź zmniejszenie władzy wielu instytucji centralnych lub rządowemu centrum podporządkowanych. Ba, padają deklaracje, że nawet jeśli konkretne, obowiązujące obecnie regulacje prawne, w tym konstytucyjne, nie sprzyjają sprawnemu zarządzaniu czy wręcz czynią je niemożliwym, lepiej to zaakceptować, niż zmieniać tę sytuację – bo sprawniejsza władza może być bardziej niebezpieczna...

Opozycja chce państwa fikcyjnego, z powiązanej na sznurki tektury, bo państwo z tektury nie może się przekształcić w dyktaturę – ani prawdziwą, ani w to, co opozycjoniści, kierując się czy to szczerze wyznawaną ideologią, czy to dążeniem do obrony własnych grupowych interesów, za budującą się dyktaturę uważają. Jest w tym bliźniaczo podobna do XVIII-wiecznej sarmackiej reakcji na ówczesne próby wzmocnienia upadającej Rzeczypospolitej, której przedstawiciele zgłaszali zbliżone postulaty. Tak jak ówcześni anarchizujący kraj magnaci czy ich szlacheccy klienci, dzisiejsi opozycjoniści utożsamiają Polskę ze swoim interesem klasowym. I tak jak oni byliby zdumieni oraz obrażeni, gdyby spróbować im to wytłumaczyć.

> Kampania opozycji ma uderzyć w najmocniejszy punkt PiS – w jego wizerunek jako partii stojącej po stronie klasy ludowej i działającej na jej rzecz

UWSTECZNIENI

Czy strategia opozycji, symbolizowana przez billboardową kampanię, może się powieść? Z jednej strony jest ona efektem dość nowoczesnego myślenia. Kilka lat temu pewien cyniczny amerykański polittechnolog doszedł do wniosku, że pracując przeciw politykowi mającemu ogromny atut – mianowicie będącemu niekwestionowanym bohaterem wojennym – nie należy obchodzić tego niewygodnego tematu, starając się znaleźć inne, słabsze punkty w jego życiorysie i programie, tylko odwrotnie: zaatakować właśnie ów najmocniejszy punkt i starać się zniszczyć go przez zakwestionowanie bohaterstwa. I to się, poniekąd wbrew faktom, udało.

Kampania billboardowa wychodzi z podobnego założenia. Najmocniejszą stroną PiS jest wizerunek ugrupowania broniącego zwykłego człowieka. Billboardy „PiS wziął miliony, a..." mają uderzyć właśnie w ten wizerunek, zdestruować go. Gdybym był sztabowcem partii rządzącej, nie lekceważyłbym tego zagrożenia – właśnie dlatego, że dotyczy ono najmocniejszej strony PiS.

Ale czy ten zabieg może być skuteczny? Można mieć wątpliwości. Bo jest jeszcze kwestia zgodności narracji z własnym wizerunkiem. Nawet jeśli jakaś część klasy ludowej okazałaby się wrażliwa na ten rodzaj propagandy, to aby z punktu widzenia strategów liberalnej koalicji przyniosła ona dobre rezultaty, nie wystarczyłoby wywołanie przez nią efektu rozczarowania wobec PiS. Demobilizacja części elektoratu przeciwnika jest zawsze cenna, ale utrudniać ją może to, że ci, którzy próbują tego dokonać, sami są jako obrońcy klasy ludowej niewiarygodni tak, jak tylko można być niewiarygodnym.

I nie chodzi tu wyłącznie o background, o społeczny bilans rządów PO i – szerzej – liberalnych elit. Również o obecne przesłanie opozycji.

A jest to przesłanie wybitnie zachowawcze społecznie, wybitnie „trzeciorzeczpospolitańskie". Pod tym względem obecna PO (i Nowoczesna) uwsteczniła się w stosunku do siebie samej z okresu drugiej połowy swych rządów, kiedy Tusk mówił o sobie, że jest trochę socjaldemokratą, a Platforma zrywała z wolnorynkową ortodoksją. Dziś nie zostało z tego nic. To poniekąd zrozumiałe – opozycja musi bronić dorobku III RP, co spycha ją na pozycje dogmatycznie balcerowiczowskie. Ale ma to swoje skutki na płaszczyźnie wiarygodności liberałów jako patronów „zwykłych Polaków".

Ponadto jest to kampania wybitnie agresywna. A choć Polacy w polityce reagują chaotycznie i są często nieprzewidywalni, to agresywność częściej im się nie podoba, niż podoba. Nieprzypadkowo PiS wygrało wybory 2015 r., chowając Antoniego Macierewicza, natomiast z forpocztą w postaci kandydata na prezydenta Andrzeja Dudy, mówiącego o jednoczeniu rozdartego przez konflikt społeczeństwa. Większość doświadczeń wydaje się więc niedobrze wróżyć opozycji zachowującej się agresywnie i radośnie robiącej wszystko, co może, by być utożsamiona z ulicznymi zamieszkami.

Ale powtarzam: rządowi stratedzy nie powinni opozycji lekceważyć. Nic nie jest dane na zawsze, a zbytnia pewność siebie zgubiła już wielu polityków. W tym polskich.

eprasa.pl ef95b0f035

PiS, kogut i kot



Fot. Andrzej Wiktor

Zmianą ordynacji do Parlamentu Europejskiego PiS chciało zablokować nacjonalistom najłatwiejszą drogę do wybicia się w polskiej polityce, czyli tę, która prowadzi przez wybory europejskie. Te plany pokrzyżował prezydent Duda



JAN ROKITA

Chociaż przywódcy PiS starają się robić dobrą minę do złej gry, to w rzeczywistości upadek noweli ordynacji europejskiej jest dużą porażką partii.

Rzecz jasna, wybór taktyki maskowania szkód i zagłaskiwania ich sprawcy, czyli prezydenta Andrzeja Dudy, jest wyborem ze wszech miar racjonalnym.

Taktyka ta pozwala trzymać (licznych pośród zwolenników PiS) wyznawców teorii spiskowych w przekonaniu, że cały konflikt między partią a prezydentem to jeden wielki pozór, który w tajnej strategii partyjnych spin doktorów służy oszukaniu przeciwnika i zdobyciu nowych wyborców. Co zabawne, ta oczywiście absurdalna teza została tak dalece upowszechniona przez media opozycyjne, że gdy pewien racjonalnie myślący publicysta „Wyborczej" ośmielił się to zauważyć, wylała się na niego lawina nienawistnych bluzgów na forach internetowych.

Tak więc w demoniczny spisek Dudy i Kaczyńskiego wierzą z jednej strony najbardziej twardogłowi pisowcy, którzy są dumni z przebiegłości w działaniu własnej partii. Ale z drugiej

ef95b0f035

– wierzą weń także ci najbardziej wściekli opozycjoniści, dla których przyznanie, że prezydent robi cokolwiek, co by im się mogło spodobać, stanowiłoby obrazę honoru i cios w ich polityczną pryncypialność. Nawiasem mówiąc, wszystko to świetnie pokazuje, do jakiego stopnia rozum został wygnany z polskiej debaty publicznej i jak łatwo manipulować dziś rozemocjonowanymi partyjnymi fanatykami.

„ODRĘBNY BYT KONSTYTUCYJNY"

Racjonalność taktyki zagłaskiwania polega również na tym, że PiS nie opłaca się podgrzewać nastrojów antyprezydenckich w partii, i tak tu, i tam wybuchających czasem w sposób niekontrolowany. Dość przypomnieć emocjonalne zarzekanie się szefa gabinetu premiera Marka Suskiego, że nigdy więcej nie odda swojego głosu na Dudę, albo (trochę wcześniejsze) uczynione przez Suskiego sławne zestawienie stosunku prezydenta do partii z postawą wojsk sowieckich wobec powstania warszawskiego. „Czekali, aż powstanie się wykrwawi, i przyszli na gotowe" – mówił Suski, sugerując, że taki właśnie plan ma Duda wobec PiS. W demokratycznej polityce jest właśnie tak, że nawet największe namiętności i nienawiści, jeśli tylko nie pozwala się im rozlać po scenie publicznej, nie odegrają istotnej roli w żadnych wyborach. Dla partyjnej polityki istotne jest więc nie to, jak bardzo Nowogrodzka i Pałac Namiestnikowski obecnie się nie znoszą, tylko to, czy potrafią tym namiętnościom nie dawać publicznego upustu. A na razie potrafią. Zasługa w tym niewątpliwie zdrowego rozsądku samego Jarosława Kaczyńskiego, który jeszcze w ogniu poprzednich kryzysów partyjno-prezydenckich jasno zapowiedział, że Duda będzie kandydatem PiS w wyborach 2020 r., co znaczy, że walka z prezydentem jest w istocie działaniem na rzecz Donalda Tuska albo innego konkurenta PiS w przyszłych wyborach.

Efekt okazał się widoczny. Minister Jacek Sasin, który w przeszłości także krytykował weta prezydenckie, tym razem przedstawił w radiu całkiem nową w tej mierze doktrynę. „Musimy zrozumieć – przekonywał – i rozumiemy jako PiS, że prezydent nie jest częścią większości parlamentarnej, ale odrębnym bytem konstytucyjnym, ma odrębny mandat i nic dziwnego, że ma też odrębny pogląd na ważne rzeczy w naszym kraju".

Z ustrojowej perspektywy to są wszystko oczywistości, tyle tylko, że ich polityczny wydźwięk jest mocno sprzeczny zarówno z tym, co jeszcze niedawno mówili na ten temat działacze partii i członkowie rządu (np. Suski), jak i z emocjami partyjnych dołów, oczekujących w obecnej konfrontacyjnej atmosferze politycznej „równego frontu" w walce z przeciwnikami. Dla nich mrugnięcie okiem, że chodzi tu o jakąś „sprytną ustawkę", tłumaczy rzecz o wiele lepiej niźli słuszny, ale mało empatyczny, konstytucyjny wykład Sasina. Niemniej owa niepodważalna konstytucyjna logika „odrębnych aktorów", jakimi są prezydent oraz mające większość parlamentarną PiS, dobrze służy wyhamowywaniu namiętności. Skoro partia uznaje Dudę za „odrębnego aktora", to nawet minister Suski i posłanka Pawłowicz muszą w efekcie co nieco przycichnąć.



Fot. Mateusz Zelnik

eprasa.pl ef

„ODKLEJENIE SIĘ OD PRAWEJ ŚCIANY"

To wszystko nie zmienia faktu, że szkody płynące z weta są dla PiS duże. I to bynajmniej nie dlatego, że (jak pokazują symulacje) po likwidacji tzw. głosu wędrującego partia mogłaby dostać jakieś pięć mandatów więcej w przyszłym Parlamencie Europejskim. Co prawda wiele wskazuje na to, że po majowych eurowyborach PiS będzie się musiało borykać z problemem przynależności do jakiejś poważnej europejskiej rodziny partyjnej, gdyż po Brexicie i wyjściu torysów frakcja EKD utraci raczej status bytu poważnego. Chyba że jakimś cudem uda się do niej wciągnąć nowe, europejskie siły, które w PE pojawią się po raz pierwszy w wyniku majowych wyborów.

To wszystko oznacza, że pięciu europosłów w tę lub w tamtą może mieć dla tych unijnych gier jakieś znaczenie, ale przecież nie na tyle duże, aby miało wpłynąć na kształt polskiej lub brukselsko-strasburskiej polityki. Prawdziwa długofalowa szkoda tkwi w całkiem innym miejscu. To, co PiS naprawdę grozi po maju 2019 r., to bowiem „odklejenie się od prawej ściany" polskiej polityki, zwłaszcza gdyby skutkiem weta stało się zyskanie europejskiej reprezentacji przez polskich nacjonalistów. Długofalowe trendy, jakie możemy obserwować zarówno w Polsce, jak i niemal w całej Europie, działają na wyraźną korzyść ugrupowań nacjonalistycznych. Dlatego można być pewnym, że jeśli polski Ruch Narodowy zaczepi się w maju przyszłego roku o europarlament, potraktuje to jako start do antypisowskiej kampanii mającej jesienią zaprowadzić go do polskiego Sejmu.

Rzecz ma się trochę tak jak w słynnej bajce Trembeckiego o myszy, kogucie i kocie. Kogut, który groźnie krzyczał, potrząsał grzebieniem i trzepotał skrzydłami przeciw noweli ordynacyjnej, nie jest przecież wcale dla PiS groźny. Zagrożeniem jest natomiast przyjazny i niestety bliski sercu wielu pisowców kotek. O noweli likwidującej „głos wędrujący" Paweł Kukiz pisał na Facebooku, że jest ona „śmieszna i straszna", porównywał ją z „wpisaniem do konstytucji kierowniczej roli PO-PiS-u" oraz zapowiadał „nieuchronny upadek tej neokomuny". To Kukiz także był najbardziej widoczny i czynny w akcji nakłaniania Dudy do weta. Ale jego partia, nawet jeśli zdobędzie w maju cztery euromandaty (tak jak Korwin-Mikke w obecnie trwającej kadencji), ani nie odegra tam żadnej istotnej roli, ani też, co ważniejsze, nie potraktuje tego jako trampoliny do polityki krajowej. Ruch Kukiza jest bowiem od lat obecny w polskim parlamencie, a jego mały potencjał polityczny jest już dobrze znany i praktycznie sprawdzony.

Co innego prawdziwi nacjonaliści. Im sprzyja międzynarodowa koniunktura, a w Polsce pomaga zawzięta antypropaganda liberałów i lewicy, którzy domagają się delegalizacji narodowych organizacji (przede wszystkim „neo-ONR-u" odwołującego się do faszyzująco-komunistycznego dziedzictwa Bolesława Piaseckiego). To nie przypadek, że szef narodowców Robert Winnicki z właściwym sobie sarkastycznym cynizmem zwracał się teraz do pisowców takimi słowy: „Zdradziliście nadzieje prawdziwych katolickich i patriotycznych wyborców". Na czym ta zdrada miałaby polegać? Ano na tym, że likwidując „głos wędrujący", PiS chciało blokować nacjonalistom najłatwiejszą drogę do wybicia się w polskiej polityce, czyli tę, która prowadzi przez wybory europejskie. Sam Winnicki jest świadom tego, że sprytny fortel, jaki zastosował przy ostatnich wyborach, aby dostać się do Sejmu (obiecując pakt Kukizowi, by go natychmiast złamać), nie jest możliwy do użycia po raz drugi. Dobrodusznego i nieco naiwnego Kukiza można było nabić w butelkę, ale przecież tylko raz.

> Szkody płynące z prezydenckiego weta są dla PiS duże. I to bynajmniej nie dlatego, że partia mogłaby dostać jakieś pięć mandatów więcej w przyszłym europarlamencie

OSTRZAŁ Z OSTROWA TUMSKIEGO

Przy okazji weta Dudy potwierdziło się jeszcze jedno istotne dla polskiej polityki przypuszczenie – że ścisłe kierownictwo polskich biskupów zaangażowało się w intrygę mającą pogłębić rozziew między prezydentem a PiS. Rzecz idzie tu w pierwszym rzędzie o arcybiskupa poznańskiego Stanisława Gądeckiego, szefa Konferencji Episkopatu, który po raz kolejny uznał za stosowne publicznie zachęcać Dudę do konfliktu z partią. Tym razem uczynił to za pośrednictwem rzecznika, który jeszcze przed wetem wydał pisemny komunikat głoszący, że prawo wyborcze ma dać „możliwość dobrego wyboru reprezentacji" oraz „służyć społeczeństwu, a nie tylko największym partiom". Dla każdego było jasne, że ks. Rytel-Andrianik w imieniu swego szefa wezwał prezydenta do sprzeciwu wobec Kaczyńskiego.

Tymczasem kwestia ordynacji wyborczej, jej większościowego czy proporcjonalnego charakteru, dużych czy małych okręgów albo „głosu wędrującego" – to materie par excellence polityczne, pozbawione jakichkolwiek odniesień moralnych. Trudno by przecież było twierdzić, że Wielka Brytania, która słynie z niereprezentatywnej ordynacji, jest z tego powodu państwem mniej moralnym niźli Niemcy przestrzegające ściśle reguł reprezentatywności. Przywództwo biskupów udaje zatem, że troszczy się o kwestie moralne, w istocie prowadząc grę personalną wewnątrz obozu władzy. Rok temu Gądecki wylewnie dziękował Dudzie za weto do ustaw sądowych (ale uczynił to post factum, a nie ante factum, jak obecnie), a w maju na krakowskiej Skałce wygłosił długie, bardzo prawnicze kazanie, z którego jasno wynikało, że sposób rządzenia przez PiS nie budzi jego zaufania. Wygląda więc na to, że w pałacu na Ostrowie Tumskim Andrzej Duda znalazł swojego oddanego stronnika, gotowego podjąć w razie potrzeby propagandowy ostrzał obozu rządowego. Jako pełnoprawny obywatel lokator poznańskiego pałacu ma do tego absolutnie pełne prawo. Jest tylko wątpliwość, czy istotnie wierni chcieliby, aby z tego prawa czynił tak wyraźny użytek.

eprasa.pl ef95b0f035



15 sierpnia Obywatele RP blokowali III Marsz Zwycięstwa Rzeczypospolitej zorganizowany przez Młodzież Wszechpolską

Fot. Daniel Grap/East News

Ostrożnie z delegalizacją

ONR to organizacja skrajna, ale ciągle mieszcząca się w polskim porządku prawnym. Jej delegalizacja mogłaby stanowić niebezpieczny precedens umożliwiający w przyszłości eliminację każdego niewygodnego ugrupowania. Warto, aby lewica rozgrzana „walką z faszyzmem" przez chwilę pomyślała i wzięła to pod uwagę

eprasa.pl ef95b0f035



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Podczas zorganizowanej przez środowiska narodowców manifestacji w rocznicę Bitwy Warszawskiej doszło do próby zablokowania ich marszu przez Obywateli RP. Dzięki interwencji policji, która skierowała marsz narodowców równoległymi ulicami, udało się uniknąć awantury. Obie grupy – maszerująca i blokująca – spotkały się dopiero na warszawskim pl. Zamkowym, gdzie ci pierwsi odśpiewali hymn, a drudzy skandowali: „Warszawa wolna od faszyzmu", „Znajdzie się kij na faszystowski ryj" oraz „Faszyści, policja – jedna koalicja".

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Patrząc na to z boku, można było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś rekonstrukcją historyczną z lat 30., gdy dochodziło do regularnych (choć w Polsce i tak stosunkowo łagodnych na tle Europy) potyczek skrajnej prawicy ze skrajną lewicą. Nie była to jednak żadna rekonstrukcja. Jedni i drudzy byli w swoim zaangażowaniu śmiertelnie poważni, zarówno narodowcy przekonani, że są ostatnią redutą polskości w walce z żydowsko-bolszewicko-unijnym (czy jakim tam jeszcze) zagrożeniem, jak i ich – równie przytomni – przeciwnicy prowadzący walkę z urojoną w ich głowach faszystowską nawałnicą.

Obie grupy są marginalne i całkowicie niereprezentatywne dla większości społeczeństwa. W Polsce nie ma żadnej mody na faszyzm, dlatego – mówiąc językiem ekonomii – nie ma również popytu na nawiedzonych antyfaszystów. Jednak ci ostatni tłumaczą swoje osamotnienie głupotą społeczeństwa, które – omamione programami socjalnymi prawicowego rządu – nie potrafi wyczuć wokół siebie ciężkiej faszystowskiej atmosfery. Jak bowiem nauczał guru lewicy Herbert Marcuse, dobrobyt usypia czujność i ludzie mogą nawet nie zdawać sobie sprawy z tego, że są faszystami. Nic zatem dziwnego, że Obywatele RP i środowiska „antyfaszystowskie" głęboko wierzą w swoją misję uświadamiania społeczeństwa. Z ich punktu widzenia siedzimy bowiem w Polsce na samym czubku wulkanu, który dosłownie za moment zaleje nas płonącą faszystowską lawą.

> Z zarzutami o faszyzm jest trochę tak jak z oskarżaniem Adriana Zandberga o bolszewizm. Publicystycznie fajnie to wygląda, ale przed sądem trudno to już udowodnić

PROBLEM ISTNIEJE

Czy oznacza to jednak, że środowiska narodowe są zupełnie niegroźne? Że nie ma wśród nich grup, które powinny budzić niepokój? Wywołujący największe emocje Obóz Narodowo-Radykalny (ONR) odwołuje się do faszyzującej organizacji o tej samej nazwie działającej w Polsce przed II wojną światową. Być może trudno zrozumieć zamiłowanie jego członków do militarnej ornamentyki: mundury, opaski, sztandary, ale takie grupki są obecne w całym zachodnim świecie, również w Europie i Ameryce. I nigdzie – Polska nie jest tu żadnym wyjątkiem – ich popularność nie wykracza poza normy podobne do innych marginalnych grup, takich jak neopoganie, miłośnicy parkouru czy tropiciele ufo.

Oczywiście tropiciele ufo raczej nie są powszechnie znani ze swojej słabości do autorytarnych ideologii, zatem nie tylko o liczebność tu idzie, lecz również o społeczną szkodliwość. Nie powinno budzić wątpliwości, że uleganie niskim instynktom, takim jak nienawiść rasowa lub etniczna, czy promocja takich zachowań są nie do przyjęcia. Zarówno z powodów etycznych, jak i czysto politycznych – po prostu tolerowanie takich postaw jeszcze bardziej polaryzuje społeczeństwo oraz podgrzewa istniejące konflikty. Nacjonalizm – w tej właśnie prymitywnej wersji – żywiąc się w dużej mierze stereotypami, podsuwa też fałszywe, by nie rzec prostackie, diagnozy, co utrudnia znalezienie rzeczywistych przyczyn problemów i ich rozwiązanie. Wreszcie bywa całkowicie przeciwskuteczny w polityce międzynarodowej, psując wizerunek państwa i zakłócając prowadzenie skutecznej oraz racjonalnej dyplomacji.

POSZUKIWANIE HAKA

Czy to wszystko upoważnia jednak do tego, aby uznać ONR i podobne mu niewielkie liczebnie grupy za faszystów, a zatem za środowiska realnie niebezpieczne dla państwa i naruszające prawo, które zakazuje propagowania ustrojów totalitarnych oraz szerzenia nienawiści na tle rasowym, etnicznym i religijnym?

Odpowiedź nie jest taka prosta. Owszem, wśród członków tych grup zapewne znajdziemy antysemitów czy rasistów, ale – po pierwsze – nie jest to oficjalna ideologia tych formacji (gdyby tak było, nie zostałyby zarejestrowane), a po drugie – ich członkowie stosują dość sprytną praktykę unikania bezpośrednich skojarzeń z zakazanymi ideologiami. Noszą mundury? Noszą, ale choć stylistycznie nawiązujące do lat 30., to jednak nie faszystowskie. Noszą opaski z krzyżem? Noszą, ale to nie swastyka, tylko krzyż celtycki. Nie udało im się jedynie wmówić, że uniesienie ręki w hitlerowskim pozdrowieniu to nawiązanie do salutu rzymskiego lub gest, którym zamawia się piwo w knajpie. Poza tym, co jest tu najważniejsze, nie stosują przemocy. Próby prowokacji są natomiast specjalnością drugiej strony, że przypomnę choćby wymazanego pastą do butów Jacka Hugo-Badera z „Gazety Wyborczej", który – biedak – sterczał kilka godzin wśród maszerujących

eprasa.pl ef95b0f035



„faszystów", bezskutecznie czekając na jakiegoś kopniaka.

Sami „antyfaszyści" poza rozmaitymi banałami też nie są w stanie udowodnić faszystowskiego charakteru ONR ani pokrewnych grup. Anna Tatar ze Stowarzyszenia „Nigdy Więcej" w rozmowie na antenie Radia Tok FM opowiada, że jej stowarzyszenie już od 2001 r. monitoruje ONR i wylicza grzechy tego ugrupowania: „Organizowanie ksenofobicznych manifestacji, zakłócanie marszów równości, nawoływanie do nienawiści w internecie, zakłócanie spotkań, np. z Anną Grodzką czy Sylwią Chutnik".

Jak na razie jednak w tym zestawie trudno znaleźć przejawy faszyzmu, niemal te same zarzuty (tyle że z innymi nazwiskami) można równie dobrze postawić działaczom KOD czy Obywatelom RP, którzy także hejtują inaczej myślących, zakłócają spotkania swoich przeciwników, blokują legalne manifestacje. Ostatecznie Anna Tatar stwierdza, że ONR to „organizacja bliska faszyzmowi", a rzucane przez jej członków hasło „Polska dla Polaków" jest „skrajnie nacjonalistyczne i uważane za neofaszystowskie". Owszem, hasło to ma prostacki wydźwięk, być może jest też skrajnie nacjonalistyczne, ale pani Tatar nie stawia już kropki nad i. Mówi jedynie, że jest „uważane" za neofaszystowskie. Pewnie dlatego, aby uniknąć procesu w sądzie o zniesławienie.

Nie chcę bronić radykalnych narodowców, ale z zarzutami o faszyzm jest trochę tak jak z oskarżaniem Adriana Zandberga o bolszewizm, i to mimo że parę lat temu rzeczywiście występował publicznie na tle sierpów i młotów. Publicystycznie fajnie to wygląda, ale przed sądem trudno już to udowodnić.

POLITYCZNA GRA

Mając to wszystko na uwadze, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że wielu liberalnym przeciwnikom środowisk narodowych (czy szerzej: prawicy) nie chodzi bynajmniej o walkę z tymi patologiami, lecz – wręcz przeciwnie – o ich nagłośnienie, o ich cyniczne wykorzystywanie we własnym interesie. O to, aby stworzyć – zwłaszcza za granicą – wrażenie, że pod rządami znienawidzonego przez nich PiS podnosi w Polsce łeb hydra faszyzmu. Temu służą kolportowane na zewnątrz brednie w rodzaju tych, którymi raczył zachodnich czytelników Jan Gross, pisząc w zeszłym roku o kilkudziesięciu tysiącach faszystów manifestujących w Warszawie.

> W Polsce nie ma mody na faszyzm, dlatego – mówiąc językiem ekonomii – nie ma również popytu na antyfaszystów. Obie grupy są niereprezentatywne dla większości społeczeństwa

Straszak faszyzmu jest także wykorzystywany w walce na krajowym podwórku. Dwa dni po sierpniowej manifestacji narodowców w Warszawie kandydat PO na prezydenta stolicy Rafał Trzaskowski złożył wniosek do prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry o delegalizację ONR. „Albo jasno powiemy, że nie ma miejsca na tego typu zachowania, nie ma miejsca na faszyzm w Warszawie i w Polsce, albo tak jak niektórzy członkowie rządu PiS będziemy starali się tego typu zachowania usprawiedliwiać" – uzasadnił Trzaskowski.

Trzaskowski mruga tu oczywiście okiem do lewicowego wyborcy, przedstawiając mu się jako jedyny skuteczny (bo mający szansę wygrać wybory) taran w walce ze „sprzymierzonymi z PiS" faszystami. Jednocześnie stawia w niezręcznej sytuacji PiS, które musi przecież jakoś na ten wniosek odpowiedzieć. Gdyby zgodziło się na delegalizację, byłoby to zwycięstwo Trzaskowskiego i opozycji, czego – rzecz jasna – prawica chce uniknąć. Byłby to jednak również prezent dla samych narodowców, którzy otrzymaliby w ten sposób ostateczny dowód na „zdradę" Prawa i Sprawiedliwości oraz znaleźli tym samym fundament do budowania własnej formacji „na prawo od PiS". Inaczej mówiąc, delegalizacja ONR może prowadzić do całkowitego zerwania się radykalnych środowisk ze smyczy, na której trzyma je dziś PiS. No, chyba że właśnie o to chodzi naszym „antyfaszystom".

KAŻDY KIJ MA DWA KOŃCE

Delegalizacja ONR stworzyłaby również, mimo przedstawionych wyżej poważnych zastrzeżeń wobec tej formacji, niebezpieczny precedens. Bo jeśli można zdelegalizować ugrupowanie, które – choć radykalne – jest mieszczące się w porządku prawnym, to dlaczego by nie pójść dalej i nie zdelegalizować każdego innego? I nie chodzi tu nawet o formacje skrajnej lewicy wymachujące sztandarami z sierpem i młotem, które w pełni podpadają pod przepisy zakazujące propagowania ustrojów totalitarnych, lecz również o takie, którym do promowania komunizmu czy faszyzmu całkiem daleko.

Nie przypadkiem w większości krajów Europy Zachodniej i w Ameryce unika się delegalizowania ugrupowań politycznych. Zamiast tego stosuje się infiltrację radykalnych grup przez służby specjalne oraz publiczny bojkot. Delegalizacja musi mieć bowiem solidne podstawy prawne, ich naruszenie otwiera pole do czysto politycznych, arbitralnych decyzji, których ofiarą może paść każdy, zarówno z lewicy, jak i z prawicy. Czy naprawdę nikt wśród „antyfaszystów" tego nie dostrzega? A może raczej właśnie o to chodzi?

eprasa.pl ef95b0f035

Bawarski kornik i wszystko jasne

Nie o Puszczę Białowieską szło „ekologom" i Komisji Europejskiej, gdy jedni przywiązywali się do drzew, a drudzy nakładali na Polskę horrendalne kary. Puszcza była narzędziem pozwalającym się pozbyć z polskiego rządu niewygodnego dla unijnych planów polskiego ministra. Sprawa lasów bawarskich obnaża to doskonale



MARZENA NYKIEL

Ponad połowa bawarskich lasów jest zagrożona. Czwarty rok z rzędu kornik rozmnożył się masowo" – zaalarmował kilkanaście dni temu niemiecki dziennik „Die Welt", ubolewając nad tragicznym stanem drzewostanu. „Co kilka metrów niewidzialna piła rozcina pień, starannie, na kawałki o długości 5,1 metra. Sześć razy słychać dźwięk odgłosu piły łańcuchowej, po czym żniwiarz rzuca się na następne drzewo" – pisze „Die Welt", przekonując wspólnie z niemieckim ministerstwem leśnictwa, że walka z kornikiem jest pilna.

Jak Niemcy walczą z kornikiem drukarzem? Poprzez wycinkę, i to z użyciem tak zdemonizowanych przez „ekologów" w Polsce harwesterów. Według „Die Welt" każda z maszyn musi ścinać aż 70 drzew dziennie. „Dotknięte kornikiem drzewa muszą być natychmiast usunięte, aby chrząszcze nie mogły się rozprzestrzeniać" – podaje niemiecki dziennik.

Przez kilka dni od ujawnienia tego faktu w polskich mediach „ekolodzy" milczeli. Choć na wszelkie sposoby powstrzymywali wycinkę chorych drzew w Puszczy Białowieskiej, nie stają w obronie lasów bawarskich. Dlaczego? Greenpeace Polska twierdzi, że puszcza jest lasem naturalnym, dlatego podlega szczególnej ochronie, a w przypadku lasów niemieckich ważniejszy jest cel ekonomiczny. „W zagrożonych gradacją kornika lasach gospodarczych można stosować wycinkę, szczególnie gdy ich wartość przyrodnicza nie jest duża" – napisano w oświadczeniu, kolejny raz powtarzając pseudoekologiczne kłamstwa o pierwotnym lesie.

Przypomnijmy więc, że na polską część Puszczy Białowieskiej składają się Białowieski Park Narodowy i tereny znajdujące się pod zarządem Lasów Państwowych. Większość puszczy od wieków kształtował człowiek. Wbrew temu, co mówią „ekolodzy", fragmenty lasów o charakterze naturalnym stanowią ok. 20 proc. jej powierzchni i znajdują się pod ochroną: w parku narodowym albo w rezerwatach przyrody na terenie nadleśnictw. Z 60 tys. ha Puszczy Białowieskiej prawie 10 tys. leży na terenie Białowieskiego Parku Narodowego, a 11 tys. ha to lasy chronione na terenach podległych Lasom Państwowym. Nie prowadzi się tam żadnych prac gospodarczych. Wojna wytoczona przez „ekologów" i rozszalałą opozycję dotyczyła więc wycinki mającej zahamować rozprzestrzenianie się kornika drukarza na terenach gospodarczych. Mimo kłamstw rozpowszechnianych przez organizacje sprzeciwiające się wycince minister środowiska Jan Szyszko w 2016 r. zaproponował zaniechanie jakiejkolwiek działalności na 1/3 terytorium Puszczy Białowieskiej zarządzanym przez Lasy Państwowe. Zwiększył tym samym ochronę bierną z ok. 35 proc. do ponad 43 proc. Puszczy Białowieskiej. To także nie satysfakcjonowało tzw. obrońców puszczy. Przy wsparciu opozycji i liberalno-lewicowych mediów pogłębiali kryzys. Nie pomagały apele ministerstwa, leśników ani ekspertów.

„Puszcza Białowieska okaleczona i oszpecona czeka na ratunek. [...] Dalsza bierna ochrona Puszczy Białowieskiej doprowadzi do zniszczenia drzewostanu świerkowego w ciągu dwóch–trzech lat, który to drzewostan stanowi 1/3 powierzchni puszczy" – alarmowali przedstawiciele Stowarzyszenia SANTA, przypominając, że jednym z argumentów przeciwko działaniom prowadzonym w puszczy jest jej rzekomy status lasu pierwotnego, co mija się z prawdą. „Wg prof. Aleksandra Sokołowskiego z Polskiej Akademii Nauk las naturalny i pierwotny to 9 proc. powierzchni Puszczy (aktualnie ok. 6 proc). [...] Tak, Puszcza Białowieska w ponad 90 proc. jest dziełem miejscowej ludności, którego to



eprasa.pl

faktu nikt nie jest w stanie zaprzeczyć" – czytamy w liście. „Dalsze zaniechania działań naprawczych w Puszczy Białowieskiej byłoby tragiczne w skutkach dla jej dalszego istnienia" – podkreślało Stowarzyszenie SANTA.

Głosów próbujących uświadomić powagę sytuacji w puszczy było znacznie więcej. Ministerstwo tłumaczyło, że cięcia są niezbędne ze względu na gradację kornika drukarza, który atakując świerki, doprowadził do ich zamierania. To z kolei spowodowało zanikanie cennych siedlisk i obszarów Natura 2000. Mimo to „ekolodzy" i wspierająca ich opozycja nie chcieli o tym słyszeć. Aktywiści Greenpeace wraz z sześcioma innymi organizacjami złożyli skargę. Na ich wniosek sprawą zajęła się Komisja Europejska. Unijny Trybunał Sprawiedliwości w listopadzie 2017 r. wydał postanowienie. Sędziowie orzekli, że oprócz sytuacji wyjątkowej i bezwzględnie koniecznej do zapewnienia bezpieczeństwa publicznego Polska musi natychmiast zaprzestać wycinki w Puszczy Białowieskiej. Za złamanie tego zakazu grozi 100 tys. euro kary dziennie.

Nie pomogły nawet wizyta przedstawicieli KE w Puszczy Białowieskiej ani rozmowy z ekspertami. „W trakcie wizyt na terenie Puszczy trudno było dyskutować merytorycznie z ludźmi, którzy mają tylko i wyłącznie wizję jakiejś ideologii – ochrona, a co poza tym, to nie wiadomo" – mówił portalowi wPolityce.pl Andrzej Antczak, inżynier nadzoru w nadleśnictwie Białowieża, wcześniej wieloletni pracownik Białowieskiego Parku Narodowego, autor przewodników turystycznych po Puszczy Białowieskiej. „Z inicjatywy Lasów Państwowych i świata nauki park narodowy na tym terenie został w ogóle powołany do życia. Leśnicy pod koniec lat 20. XX w. doprowadzili do tego, że restytuowany został tutaj żubr. To Lasy Państwowe po II wojnie światowej tak modyfikowały gospodarkę leśną w Puszczy Białowieskiej, żeby doprowadzić do tego, aby znaczna jej część, ponad 50 proc. areału, w tej chwili jest to blisko 75 proc. areału, podlegało różnym formom ochrony przyrody. Jednocześnie leśnicy stosowali takie metody, żeby zapewnić możliwość trwałości wielu gatunków i siedlisk, które są ważne z punktu widzenia UE, a jednocześnie Lasy Państwowe zapewniały i starają się zapewnić wypełnianie różnych innych funkcji społecznych. Wykonywanie tej działalności innymi metodami będzie działało w różnych wypadkach na niekorzyść tego, co de facto chcemy chronić" – mówił Andrzej Antczak.

Nawet najbardziej naukowe i eksperckie argumenty były dla KE i pseudoekologów martwe. Nagonka na ministra środowiska narastała. Żądania również. Dziś, gdy mamy do czynienia z takim samym problemem w lasach bawarskich i z taką samą metodą radzenia sobie z kornikiem, wszyscy dotychczasowi „obrońcy puszczy" milczą. „Są dwa standardy. To, co w przypadku Polski jest określone jako »niszczenie pierwotnych lasów«, na terenie Niemiec jest przedstawiane jako »racjonalna działalność«. Niemcy są pragmatycznym narodem. Respektują prawo, a ze względów politycznych potrafią również wywierać pewien wpływ medialny po to, aby swoje interesy promować na świecie" – mówił w rozmowie z portalem wPolityce.pl prof. Jan Szyszko, były minister środowiska.

„W »Die Welt« napisano, że jedyną znaną do tej pory metodą, żeby zminimalizować zagrożenie kornikiem, jest usuwanie zarażonych drzew i wywożenie ich z lasu. To prawda, inaczej nie da się walczyć z kornikiem" – mówi Andrzej Konieczny, dyrektor Generalny Lasów Państwowych.

W Niemczech harwestery nikogo nie przerażają. Trudno się dziwić, skoro jest to najbardziej bezpieczny dla człowieka środek pozyskiwania stojących, obumierających drzew. Pił używa się tylko tam, gdzie nie sposób zastosować harwesterów. „W Puszczy Białowieskiej harwestery pracowały tylko tam, gdzie była taka potrzeba i konieczność" – zapewniał prof. Jan Szyszko. Dodał, że i w tym roku powinna być hamowana gradacja kornika drukarza. Jak na razie skutecznie spacyfikowano działania ochronne.

Skąd te podwójne standardy? O co naprawdę chodziło? „Celem było to, aby poniżyć Polskę w układach międzynarodowych" – tłumaczył Jan Szyszko. Obserwując sytuację z boku, widać wyraźnie, że Puszcza Białowieska była tematem na tyle nośnym i medialnym, że stała się łatwym narzędziem do wyeliminowania go z zarządzania resortem. Kompetentny minister, który ma mocną wizję ochrony środowiska, zabezpieczającą polski interes narodowy, nie podobał się międzynarodowym gremiom grającym własną grę. Zbyt wiele udało się ministrowi Szyszce wynegocjować dla Polski, by pozwolić mu kontynuować działania. Wygląda na to, że najbliższe miesiące i szczyt klimatyczny COP15 obnażą prawdziwe cele oraz pozwolą odkryć jeszcze więcej podwójnych standardów. Oby polski rząd potrafił się temu przeciwstawić.



Fot. Fratria

prasa.pl ef9500

Z Antkiem przez historię

Jak rozmawiać z dziećmi o historii? Odpowiedź na to pytanie znaleźli historycy z Instytutu Pamięci Narodowej

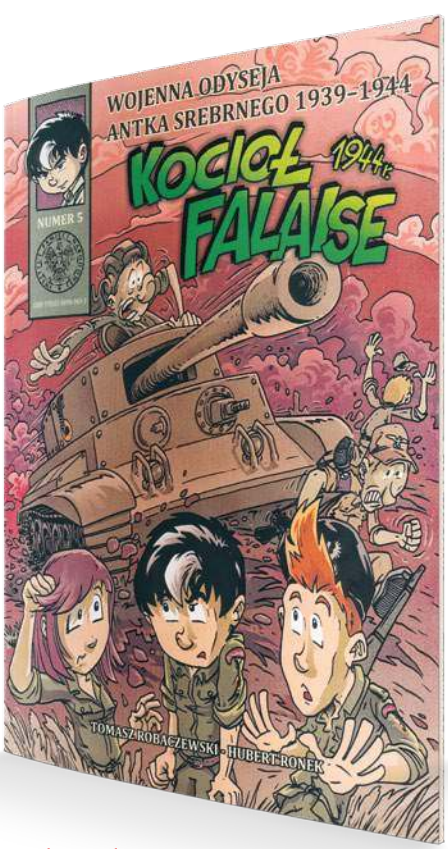


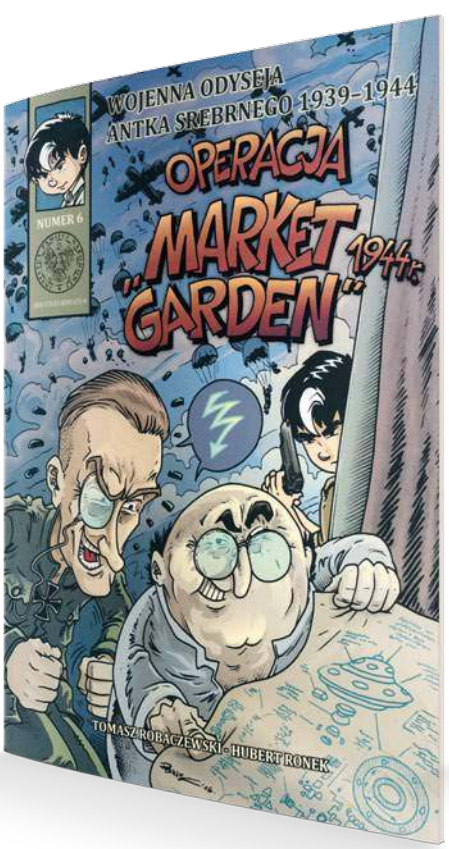
DOROTA ŁOSIEWICZ

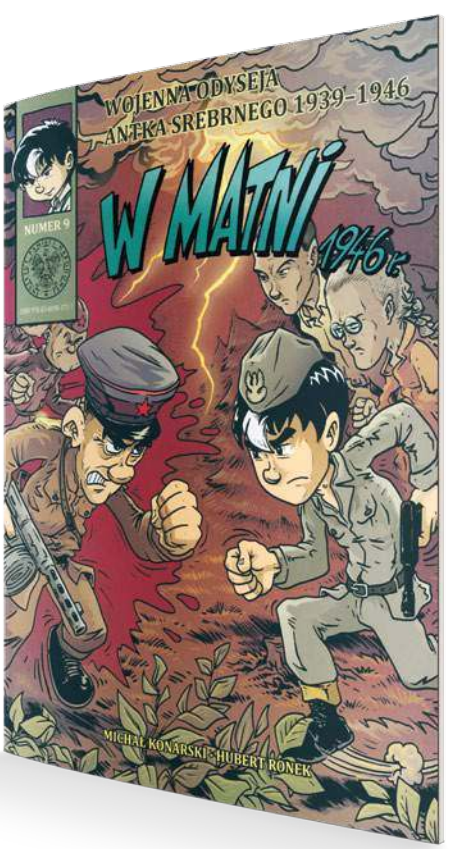
Masz tego więcej? – usłyszałam konspiracyjny szept syna za plecami. I nerwowo zaczęłam się zastanawiać, co takiego mogę mieć, co wywołało takie wypieki na twarzy mojego 11-latka. – Ale czego? – zapytałam niepewnie. – No tych komiksów o Antku, które mi przyniosłaś kilka dni temu – odpowiedział mój syn. – Już wszystkie przeczytałem. – Nie mam więcej. – Dobra, to zacznę czytać od nowa – wzruszył ramionami syn i podreptał do swojego pokoju.

POMYSŁ NA KOMIKS

Zainteresowanie syna komiksami Instytutu Pamięci Narodowej wywołało z kolei moje zainteresowanie publikacją, ponieważ – powiedzmy to sobie szczerze – czytanie jest jedną z ostatnich czynności, którą mój 11-latek podejmuje dobrowolnie. Konieczność przyswajania przez niego kolejnych lektur wymaga od nas sporego wysiłku – próśb, gróźb, obietnic, nerwów, a często i przypomnienia sobie książek znanych z dzieciństwa we wspólnej lekturze. Tak więc to, że syn samodzielnie przeczytał kilka tomów „Wojennej Odysei Antka Srebrnego 1939–1946" i chciał więcej, wywołał u mnie niemałą euforię i zainteresowanie całą serią, składającą się w sumie z dziewięciu zeszytów: „Obrona Grodna 1939", „Ucieczka z nieludzkiej ziemi 1940 r.",







eprasa.pl ef95b0f035



„Szczury Tobruku 1941 r.", „Bitwa pod Monte Cassino 1944 r.", „Kocioł Falaise 1944 r.", „Operacja »Market Garden« 1944 r.", „Kierunek Wilhelmshaven 1945 r.", „Na partyzanckich ścieżkach 1946 r.", „W matni 1946 r.".

Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, pilotując z powodzeniem od kilku już lat dwie komiksowe serie wydawnicze: „Wilcze tropy" oraz „W imieniu Polski Walczącej", postanowiło przygotować ofertę tym razem dla młodszego czytelnika – uczniów szkół podstawowych. Pomysłodawcą serii jest dr Tomasz Łabuszewski.

– Pomysł historii linearnej opisującej całą II wojnę światową chodził mi po głowie od dawna. Szczególnie intensywnie od czasu, kiedy uruchomiliśmy dwie serie komiksowe: „Wilcze tropy" i „W imieniu Polski Walczącej". Każdy zeszyt tych dwóch serii to zamknięta historia bohatera lub zdarzenia. Nie ukrywam, że chciałem w ten sposób zainteresować historią moją córkę. W momencie powstania pierwszego zeszytu przygód Antka miała 10–11 lat. To, że z planów pomysł przemienił się w rzeczywistość, nie byłoby możliwe bez wsparcia pani Ani Obrębskiej, która pilotowała ten projekt. Zaczęło się od planowania tematów poszczególnych zeszytów. Ja od początku uparłem się na Grodno – głównie z powodów sentymentalnych. Od kilkunastu lat zbieram materiały do pracy o konspiracji grodzieńskiej i zwyczajnie chciałem poświęcenie oraz patriotyzm tej zbiorowości uhonorować. Podobna motywacja dotyczyła zresztą także zeszytów ósmego i dziewiątego, to znaczy konspiracji wileńskiej oraz podziemia winowskiego w Warszawie – tłumaczy dr Tomasz Łabuszewski.

Gdy czytelnicy poznają Antka Srebrnego, ma on zaledwie 14 lat. Jest grodzieńskim harcerzem. Od początku II wojny światowej razem z kolegami szykuje się do walki z Niemcami. Los sprawia jednak, że przychodzi mu się zmierzyć z innym śmiertelnym wrogiem Polski – Sowietami. Podobnie jak wielu jego rówieśników bierze udział w obronie swojego rodzinnego miasta – Grodna – przed Armią Czerwoną.

W przeciwieństwie do wspomnianych serii kierowanych do młodzieży i osób dorosłych, opartych na precyzyjnie odtworzonych faktach historycznych, tym razem przedstawione historie konsumują raczej zbiorczą wiedzę dotyczącą losów Polaków w czasie II wojny światowej. W komiksach pojawiają się wprawdzie postacie historyczne, takie jak gen. Kopański, gen. Anders lub gen. Rommel, całość ma jednak charakter „baśniowy" osadzony tylko w ramach prawdziwych zdarzeń. Podstawowym założeniem serii było bowiem zachęcenie młodych czytelników do sięgnięcia po inne źródła wiedzy, a nie zastępowanie w nowej, atrakcyjnej formie istniejących już podręczników.

– Generalnie praca wyglądała tak, że my, historycy, ustalaliśmy temat, fakty i postacie historyczne, które na tym poziomie percepcji dziecka były do przełknięcia, tworzyliśmy ramowy scenariusz oparty na faktografii, przygotowywaliśmy materiały źródłowe i fragmenty opracowań, a także ikonografię i to wszystko dawaliśmy scenarzystom z sugestiami dotyczącymi uwypuklenia takich, a nie innych pojęć czy wartości. Wszystko miało być podane bez nadmiernej martyrologii, za to z dużą dozą humoru. Dostało się nam za to od hurrapatriotów, ale z doświadczenia wiem, że do smutnych opowieści dzieci nigdy nie sięgają po raz drugi, a nam zależało na powtarzalności i zainteresowaniu ich historią. Oczywiście końcowego efektu nie uzyskalibyśmy bez Huberta Ronka – rysownika, i scenarzystów – Tomasza Robaczewskiego oraz Michała Konarskiego. Chwała im za to – relacjonuje dr Łabuszewski.

DZIEWIĘĆ ZESZYTÓW

Historia serii „Wojenna odyseja Antka Srebrnego" nieprzypadkowo zaczyna się w 1939 r. w Grodnie. Autorom chodziło o jednoznaczne podkreślenie, że II wojna światowa zaczęła się w wyniku zmowy i agresji dwóch państw – III Rzeszy Niemieckiej oraz Rosji sowieckiej. Główny bohater, podobnie jak wielu jego rzeczywistych pierwowzorów (np. 13-letni bohaterski obrońca Grodna Tadeusz Jasiński), bierze udział w obronie swojego rodzinnego miasta. Później zaś pada ofiarą pierwszej sowieckiej deportacji obywateli polskich z 10 lutego 1940 r. Drugi zeszyt „Ucieczka z nieludzkiej ziemi" opisuje jego losy najpierw w miejscu deportowania – w Kazachstanie, a następnie w prawdziwym „piekle na ziemi" – sowieckim łagrze. Spotyka w nim bezprizornych i urków, będących prawdziwym postrachem więźniów politycznych gułagu. Dzięki pomocy jednego z więźniów udaje mu się uciec i wzorem prawdziwej historii Witka Glińskiego przedrzeć do Syrii. W trzecim zeszycie zatytułowanym „Szczury Tobruku" bohater jest już żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, biorącej udział w jednej z najważniejszych batalii na froncie afrykańskim – w obronie twierdzy Tobruk. Stąd po połączeniu SBSK z Armią Polską w ZSRS główny bohater, już jako żołnierz II Korpusu Polskiego, trafia do Włoch, by wziąć tam udział w bitwie o klasztor Monte Cassino. W kolejnych dwóch zeszytach Antek żegna się definitywnie ze współtowarzyszami broni (także z misiem Wojtkiem) z oddziałów polskich dowodzonych przez gen. Andersa. Nie oznacza to jednak końca jego

eprasa.pl ef95b0f035



wojennej odysei. Trafia on na dopiero co utworzony przez aliantów drugi front we Francji, gdzie po udanym lądowaniu w Normandii od wielu tygodni trwają zacięte walki z Niemcami pod Caen. Działając w ramach 1. Dywizji Pancernej dowodzonej przez słynnego gen. „Bacę", Antek ma teraz za zadanie rozpoznać siły nieprzyjaciela przed decydującym atakiem. Jego przyjaciele – Piroman i Janka – przechodzą zaś pod komendą kpr. Puzona przyspieszony kurs pancerniacki. Ich ścieżki spotykają się podczas jednej z najważniejszych bitew we Francji w 1944 r. pod Falaise. Kolejna odsłona przygód Antka prowadzi nas do „małpiego gaju" w Szkocji. Młodzieniec przechodzi tam przyspieszony kurs spadochronowy, by wraz z 1. Brygadą dowodzoną przez gen. Sosabowskiego wziąć udział w największej operacji powietrzno-desantowej II wojny światowej „Market Garden". W następnym zeszycie Antek razem z 1. Dywizją Pancerną gen. Maczka „Bacy" wiosną 1945 r. rusza w kierunku niemieckiej bazy marynarki wojennej w Wilhelmshaven. Po drodze – w Oberlangen – odnajduje dawno niewidziane bliskie osoby. Dostaje od dowódcy nowe zadanie specjalne – schwytania oficera SS, złodzieja dzieł sztuki, Könessera, odpowiedzialnego za rabunek skarbów z Wawelu. W ósmej części „Wojennej odysei" Antek razem z Romanem Pirytem otrzymują od gen. Maczka zadanie udania się do opanowanej przez Sowietów Polski, gdzie mają rozkaz nawiązać kontakt z ppłk. Antonim Olechnowiczem „Pohoreckim" – komendantem eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK. Misja od początku obfituje w niebezpieczne i nieprzewidziane zdarzenia – na drodze obydwu bohaterów staje bowiem nie kto inny jak Timur – stary wróg Antka jeszcze z łagru, teraz w nowej roli oficera NKWD ścigającego polskich konspiratorów. Dziewiąta część komiksu opisuje ostatni fragment przygód głównego bohatera i jego przyjaciela Romana. Po wyrwaniu się z zasadzki NKWD w Gdańsku nawiązują kontakt z działaczami Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Z rozkazu ppłk. „Lotnego" biorą udział w niebezpiecznej misji ukrycia organizacyjnego archiwum, a następnie w przerzucie do ONZ memoriału opisującego zbrodnie sowieckie na terenie Polski. Wciąż ścigają się z czasem i tropiącym ich bez wytchnienia Timurem.

> Podstawowym założeniem serii było zachęcenie młodych czytelników do sięgnięcia po inne źródła wiedzy, a nie zastępowanie w komiksowej formie istniejących już podręczników

– Komiksy przez nas przygotowywane nie mają za zadanie zastąpienia podręczników, ale z założenia tylko i aż mają wzbudzić zainteresowanie historią. Musi to być historia dynamiczna i na tym etapie wiekowym niosąca jednoznaczny przekaz pozytywny – mówi Łabuszewski. – Nie wiem, dlaczego tak mało jest na polskim rynku historycznych publikacji dla dzieci. Genialne tematy leżą wprost na ulicy i nikt ich nie chce podnieść – najlepszy dowód to nasz komiks o zamachu na Kutscherę. Zwyczajnie nie potrafimy wypromować własnej historii, stosując współczesne popularne środki wyrazu. Nie uwierzy pani, ale na początku drogi proponowaliśmy współpracę firmie Egmont i zwyczajnie nas zlekceważyła. Dotyczyło to serii „Wilcze tropy" – dodaje dr Łabuszewski.

PRZYGÓD CIĄG DALSZY

Zeszytom o Antku Srebrnym towarzyszy gra planszowa oparta na fabule komiksowej, uzupełniona wsadem historycznym i ikonograficznym poszerzającym wiedzę o zdarzeniach przeżywanych przez głównego bohatera. Fani Antka mogą też sięgnąć po dwustronne puzzle. To jednak nie koniec jego przygód. – Z uwagi na tegoroczny jubileusz szykujemy trzykomiksowy prequel Antka „Srebrni na szlakach niepodległej" oraz dla starszych odbiorców, raczej dorosłych, komiks „Pochód zimowy" o 5. Dywizji Syberyjskiej – kończy dr Tomasz Łabuszewski.

Ci rodzice, którzy stwierdzili, że lekkie publikacje to dobry początek rozmawiania z dziećmi o historii, mogą także sięgnąć po książki wydawnictwa eSPe, które z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości przygotowało dla uczniów szkół podstawowych publikacje „Kocham Ojczyznę" z krzyżówkami, łamigłówkami i zagadkami o tematyce historycznej oraz „Niepodległą" z patriotycznymi krzyżówkami dla dzieci. „Wspólne rozwiązywanie krzyżówek i poznawanie związanych z historią Polski ciekawostek będzie nie tylko świetną okazją do znakomitej zabawy dla całej rodziny, lecz także nietuzinkowym sposobem na kształtowanie w młodych Polakach postawy patriotycznej, opartej na dumie z dokonań naszych wielkich przodków" – zachęca eSPe.

eprasa.pl ef95b0f035

SIECI

Odc. 8/12

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość



Kapłani wiodący ku wolności

niepodległa

POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PARTNERZY DODATKU

PZU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

FOT. NAC (2), MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI / EAST NEWS

eprasa.pl ef95b0f035

Kto nie rozłoży życia na siedem cnót, ten nie ujrzy bohatera

Tomasz Łysiak

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało. W Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła”

Początek Ewangelii wg św. Jana mówi o Słowie, które nadaje sens i bieg reszcie spraw. Słowo, ale także Porządek, Logos, zasada porządkująca i kierunkująca. Temat często rozważany przez teologów i filozofów. A co, gdyby przyjąć, że Słowo leżało u podstaw ruchu, który spowodował odzyskanie niepodległości? Słowo, któremu bieg nadaje Bóg, ale które niesie za sobą wiele treści, paradygmat polskości, które stwarza i kształtuje Polaka, wypełnia polskim katechizmem jego serce, uczy przeszłości i kształtuje wzorce moralne, napełnia odwagą i wiarą w zwycięstwo?

Otóż przyjmując to Polskie Słowo jako swego rodzaju „pierwszego poruszyciela” irredenty polskiej, trzeba spojrzeć i na tych, którzy tego Słowa byli szafarzami, którzy je przekazywali, głosili. Na matki i ojców, na nauczycieli, na profesorów uniwersyteckich, dziennikarzy i historyków, pisarzy i poetów. Wreszcie, last but not least, na polskich księży. Polski Kościół był ostoją narodowego ducha przez wieki – księża krzewili patriotyzm przez kontakt duchowy z wiernymi i parafianami, dawali nauki moralne w trakcie spowiedzi, wskazywali drogę światła przez mroki dziejów, uczyli, jak trwać w dobrym mimo pokus, czasem sami stawali z krzyżem w ręku w pierwszych szeregach bojowników, często – jak św. Andrzej Bobola – ginęli z rąk wroga w bolesnych męczarniach, nigdy się nie poddawali i byli pierwszymi nauczycielami wiary oraz polskości. Ich wkład w odzyskanie niepodległości był olbrzymi. Niniejszy odcinek „Bohaterów Niepodległej” będzie poświęcony kilku takim wspaniałym kapłanom, którzy przez Słowo i Czyn stawali się nie tylko najpiękniejszymi uczniami Chrystusa, lecz również najpiękniejszymi Polakami.

Ks. Władysław Bandurski

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy na krakowskiej Skałce. Jest 16 listopada 1903 r. Dwa lata po premierze „Wesela” i dwa lata przed wybuchem rewolucji w Królestwie. Trwa celebrowana uroczyście msza św. z okazji 300. rocznicy urodzin o. Augustyna Kordeckiego. Homilię w kościele oo. Paulinów wygłasza kapłan, który już kilkanaście lat później ma być jednym z dobrych duchów ruchu strzeleckiego i Legionów Piłsudskiego – ks. Władysław Bandurski.

Urodził się 25 maja 1865 r. w Sokalu. Dwa dni po tym, jak na rynku w Sokołowie Podlaskim Rosjanie powiesili ks. Stanisława Brzóskę, kapelana powstania styczniowego, ostatniego żołnierza wyklętego styczniowej walki o niepodległość.

„»I tak stąpasz ofiar polem« – powiada Krasiński, jakoby w wieszczem przeczuciu i widzeniu żołnierza polskiego, który stąpa ofiar polem i ofiarę wielkiej służby spełnia bez spoczynku od dnia 6 sierpnia 1914 roku, kiedy pierwszy oddział piechoty strzeleckiej przekroczył granicę i wszedł do Królestwa, by pędzić Moskali z rdzennie polskiej ziemi”

Bp Władysław Bandurski

eprasa.pl/e/95b0f035



Marszałek Polski Józef Piłsudski i biskup Władysław Bandurski

FOT. NAC

Bandurski szkołę średnią kończył we Lwowie i tam też był w 1887 r. wyświęcony na kapłana. Potem studiował w Rzymie, pracował jako katecheta lwowski, a następnie w Krakowie został kanclerzem kurii biskupiej. To on 19 sierpnia 1901 r. poświęcił na Giewoncie krzyż, który do dzisiaj jest dla nas symbolem polskości Tatr. W 1903 r. udzielił ślubu Wojciechowi Korfantemu (na co nie chcieli zezwolić niemieccy księża na Górnym Śląsku). Trzy lata później został konsekrowany na biskupa.

I tenże właśnie kapłan, który już wyrasta na jednego z najbardziej uzdolnionych kaznodziejów polskich, mówi w homilii na Skałce o innym wielkim słudze Bożym, o ks. Kordeckim, a zaczyna ją tak: „Od najdawniejszych lat walka złego toczy się z dobrem. Od najdawniejszych lat stoją te dwie siły naprzeciwko siebie. I jeśli z jednej strony istnieje krzywda, złość, upodlenie, kłamstwo, zbrodnia, zdrada... – to z drugiej strony stoi sprawiedliwość, prawda, szlachetność, miłosierdzie, opieka litościwa. Jeśli z jednej strony rozwija ogromne, czarne skrzydła ptak śmierci i zguby – z drugiej wyciąga anielskie, promienne pióra duch pokoju i zgody...". Te rozważania idą dalej w stronę narodów i ich losów: „Lecz czemuż ledwie kiedy niekiedy biją wielkie godziny chwały i tryumfy dobra... a tak długo i tak ciągle zło chce się pić łzami krzywd i nieszczęść strasznych? Czemuż tyle razy zwyciężają ludzie dobre w złem... i spychają ideały dobre pod nogi szatanów?... Straszna, haniebna, jak noc czarna, jak upodlenie brzydka historia ludów tego świata, ludów niszczycieli, ludów zbrodniarzy, ludów krzywdzicieli idzie krok za krokiem, wiek za wiekiem...".

Gdy nam dzisiaj na myśl przychodzą od razu obrazy II wojny światowej, piece krematoryjne w niemieckich obozach czy sowieckie gułagi – to te smutne, prorocze słowa o ludach krzywdzicieli robią wrażenie.

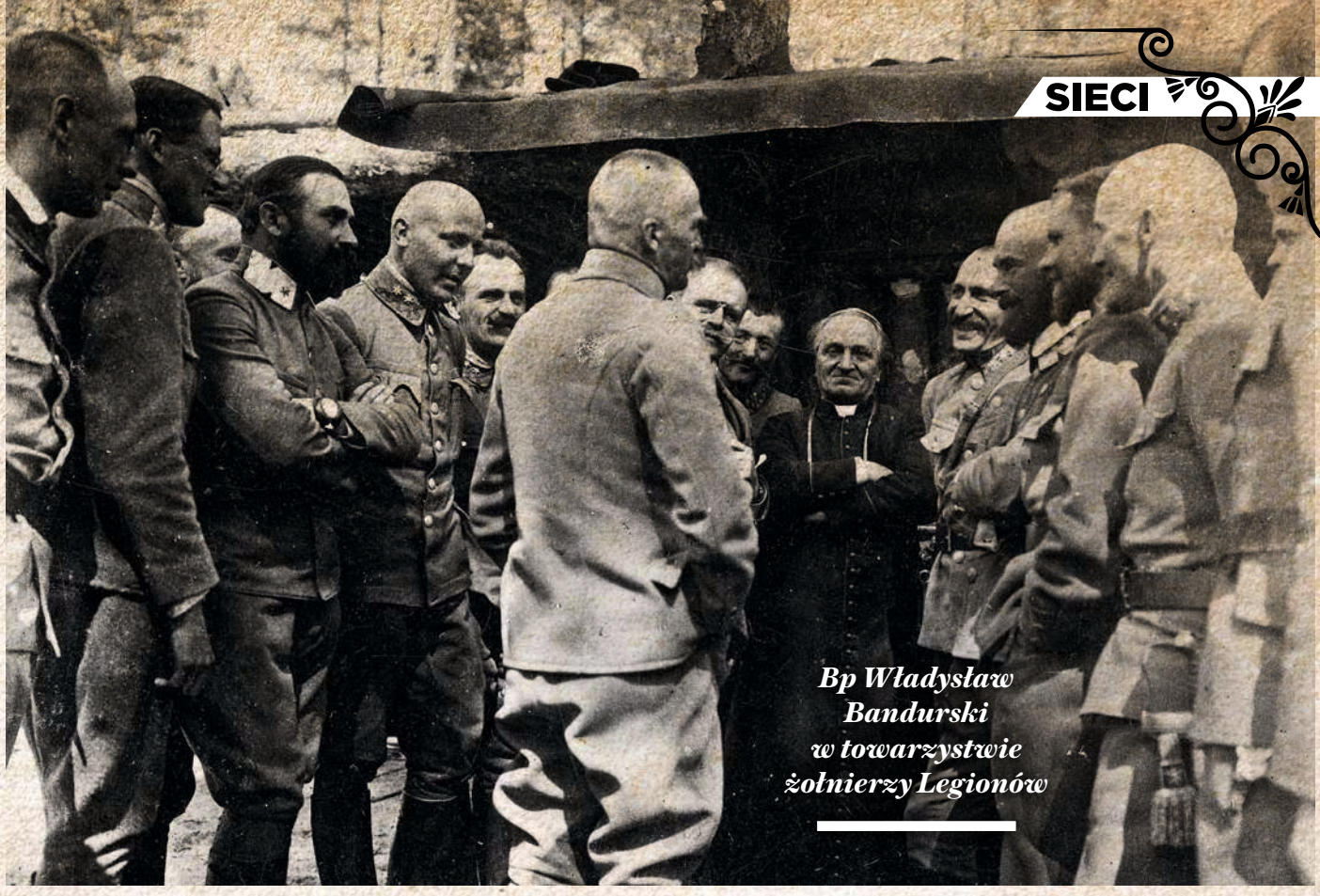
Nie ujrzy tęczy...

„Zawsze prawie zwycięstwo wiodło przed sobą tłumy zbrodniarzy" – mówił Bandurski, a potem się zastanawiał, co stwarza bohatera, co się składa na to, że człowiek wyrasta na rycerza. Innymi słowy: w tymże kazaniu odpowiada trochę na pytanie o wagę Słowa, które rodziło rzesze bohaterów bijących się o ojczyznę, to pytanie, które postawiłem na wstępie. Bandurski, kierując uwagę wiernych na postać ks. Kordeckiego, podąża za słowami Krasińskiego: „Kto nie rozbije białego koloru na siedm – nie ujrzy tęczy, kto się nie rozdwoi, nie roztroi, nie rozerwie krwawą pracą tej nicości, nie dozna życia! [...] Tak i nam rzec potrzeba, iż kto nie rozłoży życia na szereg cnót, ten nie ujrzy bohatera – kto się nie rozdwoi, nie roztroi, nie rozerwie krwawą pracą na czyny olbrzymie, ten nie pokona złego w dobrem, nie stanie się zwycięzcą, nie będzie żył wiecznie w pamięci narodu, choć



FOT. NAC

Legiony na froncie wschodnim nad Styrem – wizyta bp. Władysława Bandurskiego



Bp Władysław Bandurski w towarzystwie żołnierzy Legionów

FOT. NAC

> ***Gdy żołnierz legionowy poszedł w bój, towarzyszyli mu kapłani niosący posługę i obdarowujący Słowem***

zamknie oczy, dłoni martwej nie ruszy – sercem zastygłem ogrzewać nie może". I dodał jeszcze: „Nie ujrzy tęczy, kto nie rozbije białego koloru na siedm – nie zrozumie bohatera, kto nie pozna, z jakich walk pojedynczych, ciągłych, drobnych, bezustannych walk ze sobą i złem, stwarza się owo wielkie, nieskończenie piękne imię: »Zwycięzcy«".

Odważnie za Boga walczyć

Ojciec Klemens Kordecki, paulin, przeor klasztoru na Jasnej Górze i dowódca jej obrony w trakcie potopu szwedzkiego w 1655 r., stał się polskim bohaterem narodowym i wprost ikoną patriotyzmu. Sam w „Nowej Gigantomachii", swoim pamiętniku z oblężenia Częstochowy, pisał: „Pilnie na to zważać potrzeba, żeśmy się podjęli bronić Kościoła Bożego i dobra całej najdroższej Ojczyzny. […] Milczymy o najpiękniejszym, a zarazem koniecznym obowiązku obstawania przy Bogu i oddania za Niego ochotnie naszego życia. A zatem – chociażbyśmy wiedzieli, że nieprzyjaciel przemoże nasze siły, przecież jak długo sposobność pozwoli i duch w ciele pozostanie, będzie to zawsze chlubną i zbawienną rzeczą odważnie za Boga walczyć". Pisali o nim i Kraszewski, i Sienkiewicz, ale także Lenartowicz, Pol, Norwid, Kasprowicz oraz Wyspiański. Adam Mickiewicz w trakcie swoich słynnych paryskich wykładów o literaturze i historii Polski wspominał go tak: „Polska nie wydała geniusza czynnego o takiej potędze, jaką miał geniusz bierny owego mnicha. Wznosi się on do tej wysokości, z której przenika się w przyszłość […]. Kordecki jest jednym z tych ludzi, których Opatrzność zsyła od czasu do czasu jako wzory dla następnych pokoleń. Nigdy idea polska nie znalazła równie pełnego wcielenia jak w nim". Złapmy myśl wieszcza i idźmy za nią – oto takich ludzi jak ów ksiądz „Opatrzność zsyłała jako wzory dla następnych pokoleń".

Najczystsza z dusz polskich

W kazaniu z 1903 r. ks. Bandurski mówił do wiernych, że gdy słowo patriotyczne przekazywała dziatwie matka w każdym polskim domu, to częstokroć sięgała właśnie po przykład ks. Kordeckiego, dając go dzieciom za wzór do naśladowania. Bandurski zacytował także Mickiewicza: „Był to jedyny podobno wówczas mąż, co umiał się znieść ponad rachuby polityczne i militarne i pozostać wiernym sprawie Ojczyzny... Była to dusza najmocniejsza i najczystsza z dusz polskich, w nią bijąc, nieprzyjaciel wydobył na jaw, co stanowi ukrytą potęgę w narodzie. Walka pod murami Częstochowy wzniosła się tak wysoko, że cała Polska mogła ją widzieć i spostrzec w niej ideał narodowego oporu: miarę, ile każdy Polak powinienby zdołać".

Cytat został przywołany nie bez kozery, a ostatnie słowa są podkreślone w zapisie, jakby wymawiający je na Skałce ks. Bandurski chciał je szczególnie zaznaczyć, że

eprasa.pl/e/95b0f035



FOT. NAC

Uczniowie i nauczyciele szkoły rzemieślniczej w towarzystwie członków Zarządu Miejskiego goszczą Józefa Piłsudskiego i bp. Władysława Bandurskiego

Jasna Góra powinna być w sercu Polaków, że ona daje siłę, że ona może stworzyć potęgę, która w końcu odrodzi Polskę. Gdy więc mówił potem, opisując oblężenie, o ponurych czasach mroku, o tym, że garstka jedynie się broniła przeciw armii szwedzkiej, to wedle jego słów Jasna Góra z ks. Kordeckim na wałach stawała się symbolem, metaforą naszej ojczyzny nieugięcie walczącej z zaborcami. A pod koniec wrócił do samego kapłana, porównując go do innych polskich zwycięzców, do największych wodzów, Sobieskiego i Kościuszki: „On – bez broni, bez szkoły wojennej, bez pasowania na rycerza, bez dział i wojska, z krzyżem, z pieśnią błagalną wychodzi na mury i szańce, otulony płaszczem opieki Cudownej Matki... Biały duch Polaka-Kapłana... cicha postać mnicha zakonnego... który nie ma innej siły, innej broni, innego pasowania, jak tylko gorącą miłość Boga, miłość Ojczyzny i cześć dla Najśw. Maryi Panny!”.

Różaniec i pistolet

Podobnych kazań, do cna patriotycznych, wzniosłych, pięknych, mądrych wygłaszał ks. Bandurski mnóstwo – a to z okazji rocznicy przysięgi Kościuszki na rynku krakowskim, a to znowu na rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Początkowo był związany z endecją we Lwowie, potem patronował powstającym tam Drużynom Strzeleckim. Należał do polskich tajnych organizacji niepodległościowych. W jego mieszkaniu spiskowcy szykowali się do zamachu na sobór na placu Saskim w Warszawie, symbol panowania rosyjskiego, by nie dopuścić do przyjazdu cara do stolicy Królestwa i ugodowych manifestacji. Wreszcie kapłan złączył swą drogę z Józefem Piłsudskim, z powstającym ruchem strzeleckim i ze Związkiem Walki Czynnej. Został właściwie swego rodzaju patronem duchowym Legionów. Mając oparcie w Naczelnym Komitecie Narodowym, pełnił funkcję honorowego kapelana I Brygady. Najważniejsze jednak było niesienie krzepiącego, pięknego Słowa, które budziło do czynu, dawało nadzieję i odwagę. Chłopcy, którzy ruszyli z Oleandrów walczyć o wolną Polskę, od takich jak on kapłanów czerpali siłę. Niektórzy z tych kapłanów, jak ks. Karol Kosma-Lenczowski, nie tylko dawali wsparcie duchowe, lecz dosłownie towarzyszyli legionistom w walkach. Ks. Kosma, słynny kapelan legionowy, przepasywał się sznurem, na którym z jednej strony miał różaniec, a z drugiej przytroczony w kaburze pistolet. To on odprawiał msze w Kielcach, w tym tę pamiętną na rynku, 30 sierpnia 1914 r., gdy obchodzono Święto Wojska. Przeszedł cały szlak bojowy I Brygady i doświadczył losu legionistów, niosąc posługę kapłańską, spowiadając, pokrzepiając, sprawując także te najtrudniejsze z ludzkiego punktu widzenia, ostatnie sakramenty przy umierających, a na koniec towarzysząc zmarłym kolegom w ich ostatniej drodze. Został mianowany na stopień kapitana w styczniu

aprasa.pl/a/95b0f035



3%

na Koncie Oszczędnościowym Premium w skali roku na **6 miesięcy**[1]

Wejdź do **Świata Premium**

0 zł

- za opiekę Doradcy Osobistego
- za prowadzenie rachunku płatniczego **Konto Świat Premium**[2]
- za obsługę złotej karty debetowej (karty wielowalutowej do konta)
- prowizji banku za wypłatę gotówki z bankomatów w Polsce i za granicą

Bank Pekao Premium

[1] Promocyjne oprocentowanie 3% w skali roku do 100 tys. zł na 180 dni kalendarzowych od dnia zawarcia umowy o rachunek Konto Oszczędnościowe Premium, dostępne dla klientów, którzy w okresie 2.07–29.09.2018 r. otworzą nowe Konto Oszczędnościowe Premium razem z Kontem Świat Premium. Z promocji mogą skorzystać osoby, które w okresie 1.01–30.06.2018 r. nie były związane z Bankiem Pekao S.A. umową rachunku bankowego, oraz osoby, które były posiadaczami rachunku bankowego, o ile spełnią warunki określone w Regulaminie promocji. Promocja obowiązuje w oddziałach własnych banku. Szczegółowe warunki są zawarte w Regulaminie Promocji „3% na Koncie Oszczędnościowym Premium".

[2] Brak opłaty w danym miesiącu, jeżeli łączna kwota aktywów klienta w poprzednim miesiącu kalendarzowym była równa lub wyższa niż 200 tys. zł. W przeciwnym razie opłata w danym miesiącu wyniesie 50 zł. Szczegółowa definicja aktywów klienta znajduje się w Taryfie opłat i prowizji w części dotyczącej Konta Świat Premium, która jest dostępna w oddziałach banku oraz na www.pekao.com.pl/indywidualni/taryfa.

Pojęcia użyte w niniejszym materiale mają znaczenie nadane im przez Rozporządzenie Ministra Rozwoju i Finansów z dnia 14.07.2017 r. w sprawie wykazu usług reprezentatywnych powiązanych z rachunkiem płatniczym (Dz.U.2017.1437).

Bank Pekao S.A.

eprasa.pl/ef95b0f035

1915 r. (otrzymał rangę urzędnika wojskowego IX klasy). Gdy doszło do kryzysu przysięgowego, tak jak inni legioniści I Brygady odmówił złożenia przysięgi na wierność cesarzowi niemieckiemu i został skierowany do Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Budowanie w krwi

Zostawmy na chwilę ks. Kosmę i wróćmy do kazań bp. Bandurskiego, szczególnie do tych, które dotyczyły powstań narodowych. Szacunek dla powstańców i kult powstań budowały bowiem siłę duchową, na której wyrosło pokolenie roku 1914. Tuż przed wyruszeniem na bój, 5 sierpnia 1914 r., odbyły się w Krakowie msze za dusze Traugutta i jego współtowarzyszy z Rządu Narodowego, w 50. rocznicę ich egzekucji na stokach Cytadeli. I Kompania Kadrowa miała w noc po tej rocznicy wyruszyć, aby zacząć walkę o Polskę – czyż można było znaleźć silniej mówiącą zbieżność dat? A zatem mamy kazanie wygłoszone w katedrze lwowskiej 29 listopada 1907 r. Cóż to był za popis oratorski, co za uderzenie duchowe, jaka erupcja siły Ducha! Ks. Bandurski odniósł się w homilii najpierw do biblijnego przekazu o budowaniu Jerozolimy, opisał budowanie świątyni, dźwiganie kamieni, cegieł i głazów, a potem nawiązał do czynu z 1830 r. „A jednakże czemże to wszystko w porównaniu z tą pracą, którą przodkowie nasi wykonywali, gdy ofiarą krwi budowali mury Jeruzalem polskiego, wolnej, silnej i niepodległej Ojczyzny? Ładnie brzmiącą frazeologią wydaje się to zdanie; »iż ofiarą krwi budowali pradziadowie Polskę«. A jednak, gdybyśmy dłużej myśl naszą przy tem zdaniu zatrzymali, zrozumielibyśmy, iż istotnie inaczej przeszłości naszej nazwać nie możemy, jak budowaniem w krwi. […] A potem, od Piasta białej szaty, która jaśnieje w słońcu nowej ery – czyż cały pochód pokoleń, przez pięć wieków pracujących nad budową polskiej Jerozolimy, nie jest służbą rycerskich walk? Nie sąż to pracownicy, którzy wśród burz, gromów i nieszczęść podtrzymują wyłomy i naprawiają zwaliska?”.

Nowe pochodnie Nerona

Potem biskup postawił diagnozę upadku przedrozbiorowego, opisał próby reformowania przez Konstytucję 3 maja, czas rozbiorów. Krzyczeć musiał w katedrze lwowskiej: „Ruiny i noc, okropna, ciemna noc, przygnębiająca i zabijająca ducha!”. Wyobrazić sobie można, że jest się uczestnikiem takiej mszy i słucha się, jak w nawach, pod sklepieniami unoszą się słowa: „noc przygnębiająca i zabijająca ducha!”. Za chwilę cytat z „Kordiana”: „Brat się wściekł carowi, więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!”. Ksiądz mówił dalej, w pasji, w uniesieniu, które czuć w zapiskach homilii: „[…] woła Kordian w podziemiach, bo istotnie lepiej

Ks. Kosma, słynny kapelan legionowy, przepasywał się sznurem, na którym z jednej strony miał różaniec, a z drugiej – przytroczony w kaburze pistolet. To on odprawiał msze w Kielcach, w tym tę pamiętną na rynku, 30 sierpnia 1914 r., gdy obchodzono Święto Wojska. Przeszedł cały szlak bojowy I Brygady i doświadczył losu legionistów, niosąc posługę kapłańską

i wyraźniej nie można było określić tego, co się w Polsce działo... Obłąkanego szałem nienawiści wszystkiego, co polskie, Konstantego w Warszawie i Nowosilcowa w Wilnie postawił car, ażeby zabijać każdą myśl o Polsce, ażeby knutami i prześladowaniem tłumić życie Polski, Jerozolimy w gruzach i ruinach... Lecz oto...”. Tu musiał głos zawiesić, zaczekać, aż ludzie w świątyni do cna poruszeni, oczy podniosą i spojrzą mu w oczy. I zacytował Słowackiego: „Lecz oto... »Są ludzie tknięci nieszczęść ciosem, ludzie z bijącym sercem i z duszą płomienną, których włosy bieleją w jednę noc bezsenną...«”. Potem ciągnął przejmująco w pięknym, duchowym stylu opowieść o powstańcach listopadowych. O bitwach, o odwadze, o najpiękniejszych polskich bohaterach. „Są to obrazy nowych pochodni Nerona, są to sceny zda się z termopilskich bohaterów odtworzone, są to pełne blasku i aureoli czyny ducha, które dowodzą, iż przemoc fizyczna i materyalna siły ducha nie złamie i nie zabije!”.

Bandurski mówił też o oświacie, pracy u podstaw, dobrym życiu społecznym Polaków. I radził: „Budowę nowej Polski zacząć potrzeba od wychowania młodego pokolenia w zdrowych narodowych zasadach. Narody wolne dbają o młodzież. O ileż większa powinność spada na naród w niewoli!”. Pod koniec płomiennego kazania nawoływał m.in.: „Budujcie Polskę w sercach waszych!... Budujmy serce iście polskie i duszę prawdziwie i żywotnie polską!”.

Ducha wolności nikt nie zagrzebie

Niecałe półtora roku później w tej samej katedrze we Lwowie wygłosił kazanie o powstaniu styczniowym, w rocznicę zrywu z 1863 r. I znowu zamieniło się ono w wykład programowy walki o odzyskanie niepodległości. „Cienie Trauguttów, Żulińskich, Padlewskich, Sierakowskich, Maćkowskich nie zgasną, chociaż liczba lat oddalających nas od roku 1863 rośnie i powiększa się. […] I śmiało możemy powiedzieć: Zwyciężyliśmy, choć wolności słońce nie zawitało nad nami! Zwyciężyliśmy, choć kibitki wywoziły tysiące, a na tułactwo szły tłumy, choć żałobą okrył się kraj, a szubienice rosły jak krzyże cmentarne. Zwyciężyliśmy, bo dla idei wolności umieliśmy cierpieć i udowodniliśmy wobec ludów Europy, iż żywi jesteśmy, bo »Ducha wolności nikt nie zagrzebie. Chyba on sam siebie«”. A potem jeszcze dodawał: „Zwyciężymy i teraz – tylko bądźmy żywymi! Żywymi przez wiarę i miłość, czyn dobry a wytrwały! Niech słowa nieudolnymi usty rzucone z tego miejsca świętego wystarczą, by nas dźwignąć z obojętności, bezczynności i niewiary w odrodzenie nasze i w przyszłość naszą! A odchodząc z tej świątyni Boga Ojców naszych do domów i spraw naszych, weźmy sobie na pamiątkę dnia dzisiejszego te słowa wieszcze: »Kto żyć umie – ten nigdy nie umiera!«”.

aprasa.pl/a95b0f035

58/0118/F

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

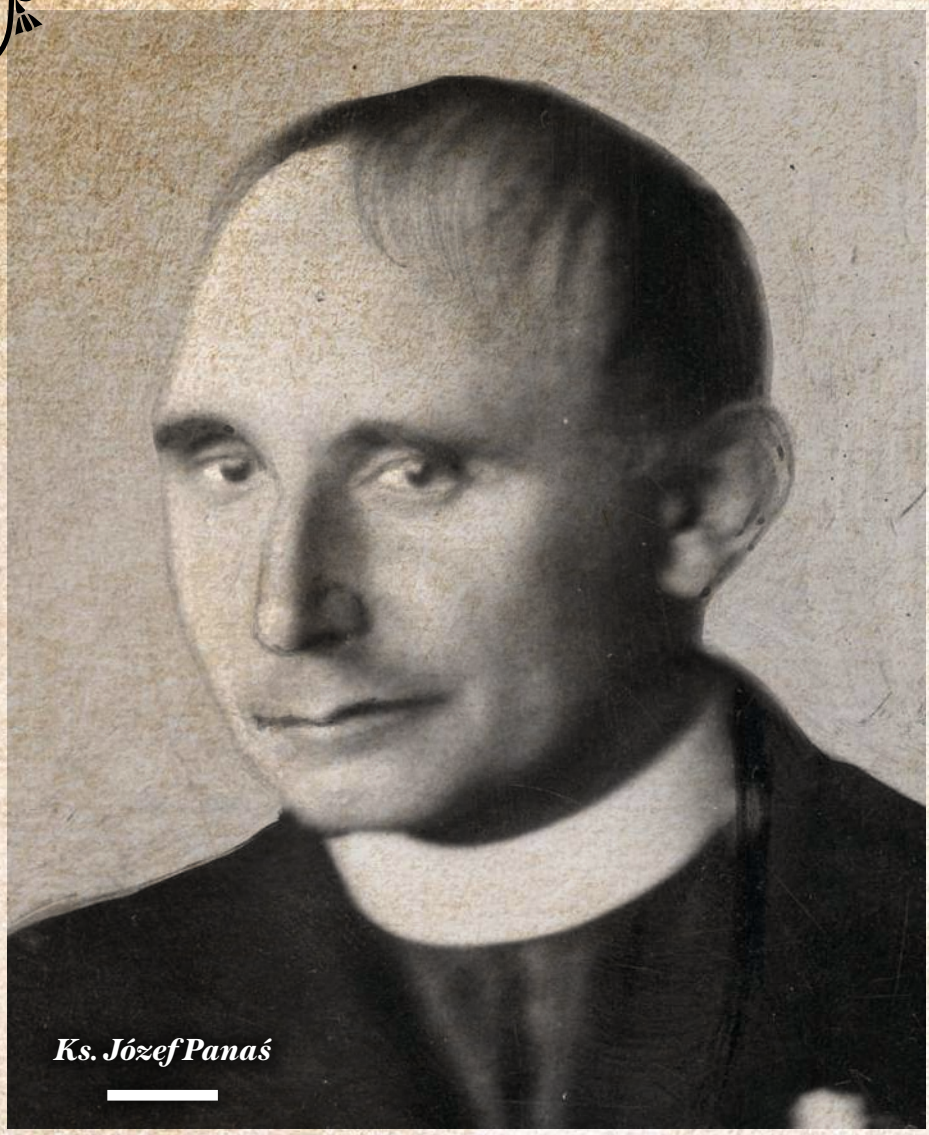


PZU Mecenasem Muzeum Powstania Warszawskiego

PZU od lat z dumą wspiera ważne działania na rzecz kultury i zachowania pamięci historycznej. Pomagamy w odzyskiwaniu obiektów muzealnych, dzieł sztuki. Sprawujemy mecenat nad najważniejszymi i najcenniejszymi instytucjami pielęgnującymi kulturę i dziedzictwo narodowe Polski.

pzu.pl

eprasa.pl ef95b0f035



Ks. Józef Panaś

FOT. NAC

W wieczór styczniowy roku 1909 wychodzili z katedry mieszkańcy Lwowa. Może śnieg chrzęścił im pod stopami? Może ktoś poślizgnął się na bruku? Ale dzięki ks. Bandurskiemu wracali do domu z piękną duchową pamiątką. Wśród nich byli młodzi ludzie, ci sami, którzy już za pięć lat mieli się stawić w Krakowie na wezwanie Piłsudskiego, by pójść śladem „Trauguttów, Padlewskich, Sierakowskich". Tak jak ten kapłan, który szedł śladem swych poprzedników.

I tak stąpasz ofiar polem

Gdy żołnierz legionowy poszedł w bój, towarzyszyli mu kapłani niosący posługę i obdarowujący Słowem. W zbiorze opowieści legionowych wydanych w latach 30. XX w. w Warszawie odnajdujemy kolejne genialne kazania bp. Bandurskiego. Jedno z nich zostało wygłoszone w Leśniewce 27 grudnia 1915 r. Odkrywamy w nim ten sam przewód myśli, który był tak widoczny w homiliach wcześniejszych – oto jest mowa o walce światłości z ciemnością: „Prastara, nieprzerwana, nicią grozy tocząca się prawda – potęga Złego stojąca naprzeciw Dobra – niewola wobec wolności – nienawiść wobec miłości – niewiara wobec ufności nieugiętej – zemsta wobec przebaczenia – krzywda wobec miłosierdzia!...". Kapłan odniósł się też do rzeczywistości wojny: „Świat stanął w ogniu i krwi". Nawiązał do wieszczów narodowych: „»I tak stąpasz ofiar polem« – powiada Krasiński, jakoby w wieszczem przeczuciu i widzeniu żołnierza polskiego, który stąpa ofiar polem i ofiarę wielkiej służby spełnia bez spoczynku od dnia 6 sierpnia 1914 roku, kiedy pierwszy oddział piechoty strzeleckiej przekroczył granicę i wszedł do Królestwa, by pędzić Moskali z rdzennie polskiej ziemi". Wreszcie Bandurski uderza w rzeczy bolesne, w doświadczenie, które spotkało strzelców wchodzących do Królestwa – odrzucenie i niezrozumienie: „I tak idziecie, żołnierze wyzwalającej się Polski, ofiar polem, dwa lata... Wielka część narodu stanęła wobec Was obojętnie... gorzej, niechętnie na Was patrzy... jeszcze gorzej; przeciw Wam staje i w upodleniu służalczem, w niewolniczym upojeniu woła: »Szaleńce!«. My nie z Wami, lecz przeciw Wam!". Ksiądz mówił tu o słowach, które bolą, które ranią mocniej niż bagnet wroga, gdyż wychodzą z ust nierozumiejących czynu rodaków: „A wy idziecie ofiar polem dwa lata. Ciężej, aniżeli kula wroga, ranią Was rodaków słowa. Głębiej, niż bagnety moskiewskie, kaleczą Was uwagi i spostrzeżenia tych przyjaciół, którzy chcą udowodnić, iż obraza lżejszą jest od kajdan, a ten, który koryto da pełne, lepszym jest przyjacielem od innych, znających nie tylko żer i picie... Żołnierze polscy idą polem ofiar niestrudzeni i niezniechęceni...".

Ks. Józef Panaś

Ks. bp Bandurski i ks. Kosma byli kapelanami I Brygady. II Brygada również miała w swoich szeregach wspaniałych duchownych. Jednym z nich był ks. Józef Panaś. W swoich wspomnieniach wydanych w 1929 r. („My II Brygada") opisywał chwile spędzane z legionistami i posługę kapłańską wplecioną w los legionowy: „Ze świtem rozpoczęła się bitwa. Trzynastka złożona wyłącznie z żołnierzy dobrze wyćwiczonych w dawnym Legionie wschodnim biła się dobrze i Moskale musieli w popłochu uciekać. Mieliśmy zaledwie kilku rannych, ale transport ich przez te wszystkie karpackie wertepy był prawie niemożliwy. Na szczycie Pantyru spotkałem sanitariuszy, niosących na noszach rannych. Całe kilometry brnęli po kolanach w topniejącym śniegu. Rannym udzieliłem ostatnich Sakramentów, wątpiąc, czy któregokolwiek z nich dowloką żywcem na doliny, skąd już łatwiej, bo drogą kołową można dostać się do szpitala".

44/0118/F

aprasa.pl/a95b0f035

ALIOR BANK

USŁUGA WIELOWALUTOWA

OBIERZ KURS I NIE MARTW SIĘ PRZEWALUTOWANIEM



Z Usługą Wielowalutową nie płacisz za przewalutowanie. W zależności od tego, gdzie jesteś, pieniądze są pobierane automatycznie i rozliczane w USD, EUR lub GBP.
I to bez konieczności zamawiania nowej karty.

www.aliorbank.pl

Usługa Wielowalutowa jest dostępna dla klientów posiadających Konto Jakże Osobiste lub Konto Elitarne. Włączenie i używanie usługi jest bezpłatne.

„Ks. Skorupka zwrócił się do mnie z prośbą, abym mu pozwolił pójść na front z batalionem młodzieży gimnazjalnej warszawskiej, w którym znajdowała się jego szkoła. Zgadzam się, rzekłem, ale pamiętaj, abyś ciągle przebywał z żołnierzami w pochodzie i w okopach, a w ataku nie pozostawał w tyle, ale szedł w pierwszym rzędzie. Właśnie dlatego, odrzekł, chcę iść do wojska…”

Kard. Aleksander Kakowski



FOT. MUZEUM NIEPODLEGLOSCI / EAST NEWS

Ale też, co oczywista, głównym elementem sprawowanej posługi były msze św., które odbywały się nie tylko w niedziele i święta, lecz również w najważniejsze rocznice patriotyczne. Ks. Panaś tak wspominał jedną z nich: „Z wielką uroczystością obchodziliśmy na froncie Boże Ciało. Na dużej polanie za pozycjami ustawiono cztery ołtarze i ubrano zielenią; w nabożeństwie brało udział dwa tysiące żołnierzy ze wszystkich oddziałów, reszta została w okopach. Po mszy św. rozpoczęła się procesja z Najśw. Sakramentem w monstrancji wśród tłumu zbrojnej młodzieży, która całą piersią śpiewała: »On ludu swego odwiedza ściany, bo nawykł bawić się między ziemiany«. Przy końcu procesji na Te Deum rosyjska artyleria oddała kilka strzałów, Bogu dzięki nieszkodliwych”.

Ks. Ignacy Skorupka

W roku 1918 odzyskaliśmy niepodległość, ale bardzo szybko Rzeczpospolita została wystawiona na próbę. W Bitwie Warszawskiej przyszło nam tej niepodległości bronić, ratować i Polskę, i Europę przed zagrożeniem bolszewickim. Rola kapłanów w przygotowaniu społeczeństwa do walki, a także w poprowadzeniu narodowej modlitwy, była przeogromna. Pośród nich znalazł się sługa Boży, którego nazwisko miało się trwale zrosnąć z historią zwycięstwa warszawskiego roku 1920 – ks. Ignacy Skorupka. Młody kapłan (ks. Skorupka urodził się w 1893 r. w Warszawie) został mianowany kapelanem 236 pp. Armii Ochotniczej. Tak zgodę na tę posługę opisał kard. Kakowski: „Ks. Skorupka zwrócił się do mnie z prośbą, abym mu pozwolił pójść na front z batalionem młodzieży gimnazjalnej warszawskiej, w którym znajdowała się jego szkoła. Zgadzam się, rzekłem, ale pamiętaj, abyś ciągle przebywał z żołnierzami

aprasa.pl/a95b0f035

42/2018/F



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS – TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.
Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.
Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl

LOTOS

w pochodzie i w okopach, a w ataku nie pozostawał w tyle, ale szedł w pierwszym rzędzie. Właśnie dlatego, odrzekł, chcę iść do wojska...".

I faktycznie, ks. Skorupka z żołnierzami przebywał cały dzień, spowiadał ochotników, odprawiał msze św. i pomagał w pracy kancelaryjnej pułku. Jego dowódca, kpt. Słowikowski, wspominał: „To był nie tylko kapłan z powołania o pełnym poświęceniu się służbie, lecz również gorący patriota i obywatel dobrze pojmujący swe obowiązki do ojczyzny i narodu. Był on przeniknięty głęboką wiarą w zwycięstwo, w słuszność naszej świętej sprawy. Wierzył, że Bóg jest po naszej stronie, a przede wszystkim ufał w opiekę Królowej Polski, Matki Boskiej Częstochowskiej".

Krzyż od matki Matyldy Getter

Batalion ks. Skorupki otrzymał nazwę batalionu I/236 Pułku Piechoty Armii Ochotniczej im. Weteranów 1863 r., a na linię frontu wyruszył 9 sierpnia. Nad ranem 13 sierpnia w kaplicy pw. Bożego Ciała na Kamionku ks. Ignacy odprawił swoją ostatnią mszę. O 16.00 wyruszył do boju. Szedł w czarnej narzutce nałożonej na sutannę, ze stułą na szyi i z krzyżem inkrustowanym kością słoniową. Krzyż ten otrzymał od matki Matyldy Getter, późniejszej matki przełożonej klasztoru sióstr franciszkanek, która w trakcie II wojny ratowała dzieci żydowskie przed niemiecką zagładą. To niezwykły i poruszający symbol.

Kompania Słowikowskiego nacierała na bolszewików pod Ossowem 14 sierpnia. Według relacji dowódcy kapłan brał udział w natarciu, biegnąc z krzyżem w ręku. Nagle upadł ugodzony kulą. Inne wersje (choćby ta podana przez Pobóg-Malinowskiego) mówią o śmierci w trakcie udzielania ostatniego namaszczenia jednemu z rannych. „Kula nieprzyjacielska zabija świętego kapłana. Któż podejmie się opisać, co na ten widok powstaje w sercach żołnierzy? Ile żądzy się zrodziło odwetu, pokarania wroga za ten zgon przejasny? Na okrytym chwałą polu dziesiątej dywizji pełen nieśmiertelnej glorii pozostał trup księdza Ignacego Skorupki. To miejsce jest uświęcone" – pisał z kolei Grzymała-Siedlecki.

17 sierpnia 1920 r. nad trumną ks. Skorupki, w kościele garnizonowym przy ul. Długiej, przemawiał ks. kan. Antoni Szlagowski. Mówił pięknie i porywająco. Znów popłynęło w świątyni Słowo, ponad trumną kapłana, górujące nad śmiercią i mrokiem, niosące światło: „O nie na próżno się polała krew jego, nie na marne poszła jego ofiara; przykładem swoim zagrzał serca młodocianych żołnierzy, rozpalił ich męstwo, oswoił z niebezpieczeństwem, nauczył umierać za Ojczyznę – on przez nich i w nich zwycięża: więc gdzieś wysoko u Boskiego celu, chwała dla Ciebie, o serc wskrzesicielu. [...] Ta postać świetlana pozostanie dla nas kapłanów jako wzór niedościgły miłości i poświęcenia; my nim się chlubić i nim umacniać i nim zagrzewać będziemy. Szkoło polska, niech na ścianach twoich obok imion zasłużonych Polaków świeci imię tego kapłana bohatera, niech młode pokolenia nasze wiedzą, że prefekt rycerz nad życie umiłował Ojczyznę, bo dla niej na śmierć się wydał".

W „Kurierze Warszawskim" tak opisano panujący podczas pogrzebu nastrój: „Cichy szloch kobiecy miesza się ze śpiewem żałobnym i melodią Mazurka Dąbrowskiego, który gra orkiestra wojskowa. Mnóstwo duchowieństwa z biskupem Gallem na czele, władze wojskowe z gen. Hallerem, władze cywilne, komendantura miasta, delegacje obcych wyznań, między innymi delegacje rabinów i gmin starozakonnych, delegacje żołnierskie weteranów 1863 r., stowarzyszeń, związków".

Warszawo, będziesz ty o tym pamiętać?

Ks. Skorupka niósł krzyż. Ten sam, który wcześniej nad głowami obrońców Polski i polskości podnosili ks. Augustyn Kordecki, ks. Marek Jandołowicz, ks. Stanisław Brzóska, ks. Kosma, ks. Bandurski, ks. Panaś i wielu, wielu innych wspaniałych kapłanów Polaków. To ciągle był ten sam krzyż. Trzymany nad głowami żołnierzy i przekazywany w dziedzictwie kolejnym pokoleniom. I te pokolenia go podjęły. Ileż to razy o ks. Skorupce pięknie mówił bp Józef Zawitkowski na mszach w Radzyminie. Wspomnę jedynie fragmencik kazania z roku 1995: „Ks. Skorupka z generalskimi honorami został pochowany na Powązkach, a jego krzyż jest



w Muzeum Wojska Polskiego. Warszawo, kiedy ty wystawisz pomnik księdzu Skorupce i bohaterskim obrońcom Warszawy? Warszawo, będziesz ty o tym pamiętać? Czy świat i Europa będą pamiętać?".

A więc Słowo ciągle żyje, nadal dociera do nas z ambon. Jakże poruszało, gdy wypowiadał je najczcigodniejszy przedstawiciel kapłańskiego stanu, nasz święty

eprasa.pl/e/95b0f035



„Cud nad Wisłą”, mal. Jerzy Kossak

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO / EAST NEWS

papież Jan Paweł II. W trakcie pielgrzymki w 1999 r. na cmentarzu w Radzyminie powiedział: „Chociaż na tym miejscu najbardziej wymowne jest milczenie, to przecież czasem potrzebne jest także Słowo. I to Słowo chcę tu zostawić. Wiecie, że urodziłem się w roku 1920, w maju, w tym czasie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę. I dlatego noszę w sobie od urodzenia wielki dług w stosunku do tych, którzy wówczas podjęli walkę z najeźdźcą i zwyciężyli, płacąc za to swoim życiem. Tutaj, na tym cmentarzu, spoczywają ich doczesne szczątki. Przybywam tu z wielką wdzięcznością, jak gdyby spłacając dług za to, co od nich otrzymałem”.

Za to Słowo i za wiele innych, za to, że Duch ciągle zstępował na ziemię i pomagał nam odmieniać jej oblicze, my dzisiaj również winniśmy wdzięczność. Winniśmy wdzięczność za tyle pokoleń wspaniałych księży, prawdziwych uczniów Chrystusa, pięknych kapłanów Polaków, bez których nie doszlibyśmy do niepodległości. Bóg zapłać!

eprasa.pl/a/95b0f035



PODPIS ELEKTRONICZNY

BEZPIECZNY KROK W PRZYSZŁOŚĆ

- Od lat nieustannie poszukujemy innowacyjnych rozwiązań i dynamicznie dostosowujemy naszą ofertę do zmieniającego się świata usług cyfrowych.
- Centrum Usług Zaufania Sigillum jest naszą odpowiedzią na potrzeby nowoczesnego biznesu.
- Od 2002 roku Centrum oferuje podpis elektroniczny wszystkim, którzy cenią swój czas, bezpieczeństwo i wygodę pracy.
- Podpis elektroniczny jest wykorzystywany w kontaktach z administracją publiczną i w relacjach biznesowych, m.in. do zdalnego zawierania umów cywilno-prawnych, udziału w przetargach, elektronicznego obiegu faktur, uwierzytelniania i szyfrowania korespondencji.

Twoje trzy kroki w przyszłość:

1. Wejdź na stronę **sigillum.pl** i zarejestruj się
2. Umów się na wizytę z inspektorem i potwierdź swoją tożsamość
3. Zacznij korzystać z podpisu elektronicznego

Minimum formalności

Bezpieczeństwo i wygoda

Zaufany i doświadczony dostawca

PWPW
CENTRUM USŁUG ZAUFANIA
SIGILLUM

eprasa.pl ef95b0f035



Po brytyjskim spojrzeniu na rolę polskich lotników w bitwie o Anglię teraz do boju o widza wkracza „Dywizjon 303. Historia prawdziwa". To w całości polska filmowa produkcja

Dywizjon 303: odsłona druga

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl ef95b0f035

Oni tę bitwę wygrali



Piotr Adamczyk podkreśla rangę granej przez siebie postaci i opowiadanej na ekranie historii. Maciej Zakościelny mówi o przygodzie i spełnieniu chłopięcych marzeń. Tę przygodę przeżyło przed kamerami kilku interesujących aktorów, którzy na potrzeby filmu przywdziali mundury polskich lotników z legendarnego Dywizjonu 303



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W ostatni weekend sierpnia wejdzie do kin zapowiadany od wielu miesięcy film o legendarnym Dywizjonie 303. Producent dopełnił tytuł podkreśleniem, że to „historia prawdziwa". Dystrybutor dodał na części plakatów uwagę: „Nie pomyl filmu", bo też dwa tygodnie wcześniej polską premierę miał obraz „303. Bitwa o Anglię" (z udziałem m.in. Marcina Dorocińskiego, ale brytyjskim spojrzeniem na rolę naszych lotników w kluczowej dla losów II wojny światowej powietrznej kampanii). Teraz do boju o widza wkracza „Dywizjon 303. Historia prawdziwa".

NAZYWANO GO „KOBRĄ"

Scenariusz, który wyreżyserował ostatecznie Denis Delić (twórca urodzony w Zagrzebiu, ale wykształcony w łódzkiej Filmówce i od lat zadomowiony w Polsce), powstał na podstawie książki Arkadego Fiedlera. Lektury, na której wychowywało się parę uczniowskich pokoleń, przez wiele lat budującej emocje związane z bohaterskimi wyczynami polskich pilotów i kształtującej świadomość naszego niedocenianego wkładu w bitwę o Anglię. Projekt tego filmu od najwcześniejszego etapu realizacji cieszył się poparciem rodziny autora „Dywizjonu 303".

W obsadzie nie zabrakło głośnych i popularnych nazwisk. Rolę dowódcy Dywizjonu 303 Witolda Urbanowicza otrzymał Piotr Adamczyk. Aktor rozpoznawalny na świecie i przez zewnętrznego widza kojarzony z postacią wciąż ważną dla świata, ale dla własnego rozwoju od lat szukający zadań różnorod-



eprasa.pl ef95b0f035

nych, przyjmowanych często w kontrze do tego najgłośniejszego zawodowego wyzwania, czyli ekranowej postaci Karola Wojtyły.

W imponującym dorobku Adamczyka nie brak ról określanych przez mundur (także wrogich formacji). Realizowany przez kilka lat serial „Czas honoru" (2009–2014) łączył go z Obersturmbannführerem gestapo Larsem Reinerem. Człowiekiem w pierwszym odbiorze jednoznacznie zimnym i wyrachowanym, jednak parę sezonów pozwoliło aktorowi na pogłębienie rysunku postaci. Mimo niewątpliwego komediowego talentu (i dystansu zaznaczanego na różnych etapach zawodowej drogi) nie udało mu się wybronić postaci Hermanna Brunnera w filmie Patryka Vegi „Hans Kloss. Stawka większa niż śmierć" (2012). Najnowsze zadanie miało jednoznaczny wydźwięk.

W „Dywizjonie 303. Historii prawdziwej" Adamczyk zbudował swojego bohatera bardzo serio, chwilami (sądząc po zwiastunach) w bardzo podniosłym tonie. Pokazał się w tej roli zarazem jako wojskowy dowódca oraz jeden z najskuteczniejszych pilotów najlepszego dywizjonu myśliwskiego bitwy o Anglię, jak i jego patriotyczny przywódca.

Aktor tak opisuje swojego bohatera: „Nazywano go »Kobrą«. Myślę, że był to pseudonim związany z jego sposobem latania i walki, ale także charakterem. Urbanowicz potrafił być niebezpieczny, zwłaszcza w powietrzu, ale dla swoich podopiecznych, pilotów swojego oddziału, był dobrym, bardziej doświadczonym kolegą. Surowym, wymagającym, ale takim, na którego można liczyć".

GRA O ROLĘ

„Dywizjon 303. Historia prawdziwa" znacznie mocniej eksponuje postać Witolda Urbanowicza niż film „303. Bitwa o Anglię", w którym Marcin Dorociński stanowi ledwie dopełnienie dwóch głównych postaci, obsadzonych przez nazwiska szerzej kojarzone wśród zachodnich widzów: gwiazdę serialu „Gra o tron" Iwana Rheona (w głównej roli Jana Zumbacha ps. Donald) oraz syna Mela Gibsona, Milo, jako kpt. Johna Kenta „Kentowskiego".

Szkoda, że mimo starań Marcin Dorociński funkcjonuje w brytyjsko-polskiej produkcji jedynie tak, jak to zostało ujęte w napisach: „z udziałem". W głównej obsadzie zabrakło też miejsca dla innych polskich aktorów. Zresztą nie tylko umykają uwadze na filmowej liście płac. W szeregu pobocznych wątków nie udało się wybić bardzo ciekawemu, skądinąd, Filipowi Pławiakowi. Tu grającemu Mirosława Fericia. A jak potrafi być wszechstronny, pokazał i w „Bilecie na Księżyc" (Jacek Bromski obsadził go u boku Mateusza Kościukiewicza i Anny Przybylskiej), i w „Czerwonym pająku" Marcina Koszałki, „Prostej historii o morderstwie" Arkadiusza Jakubika czy „Wołyniu" Wojciecha Smarzowskiego.

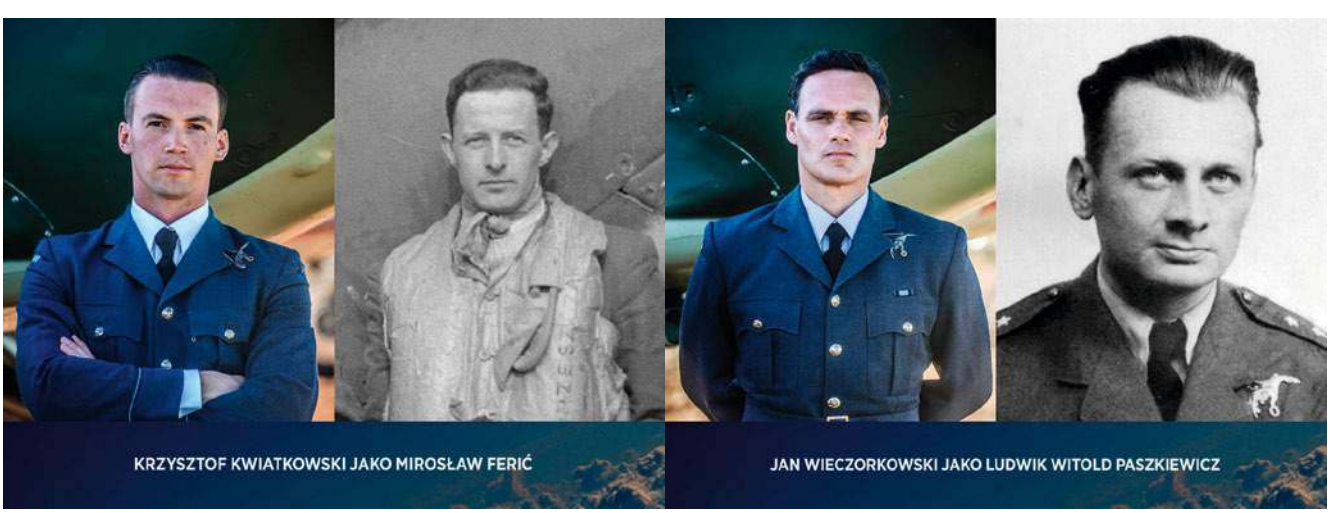
Wśród młodej, polskiej obsady najbardziej zapada w pamięć postać fikcyjna – Gabriela Horodyszcza, w którego wciela się Adrian Zaremba, przez telewidzów kojarzony dzięki serialowi „Dziewczyny ze Lwowa" (gra w nim zakochanego w jednej z bohaterek informatyka).

ŻYĆ CHWILĄ

Wracając do nadchodzącej premiery: jednym z ciekawszych pojedynków może się okazać starcie Zumbacha, Zakościelnego i Rheona.

Nie bez powodu w tym przypadku na równi postawić warto te trzy nazwiska. Jan Zumbach to wyzwanie nie tylko aktorskie. Z tak wyrazistym charakterem i fantazją – za sprawą których historia jego życia (nie tylko ta pełna spektakularnych bojowych lotniczych akcji, lecz i powojenna, gdy prowadząc na Zachodzie różne interesy, ustalał własne zasady; uciekając od uporządkowanego, statecznego życia, nie zawsze działał zgodnie z prawem) – jest gotowym scenariuszem na film sensacyjny.

Iwan Rheon wypełnił tę postać przytłaczającymi Zumbacha wspomnieniami z przedwojennego życia. Maciej Zakościelny w czasie budowania roli zapowiadał tworzenie bohatera pełnego ułańskiej fantazji, zarazem szarmanckiego (co tłumaczyło łatwość, z jaką zdobywał przychylność Brytyjek), ale też żyjącego chwilą, wyciskającego maksimum z kolejnych – wygranych w powietrznych bitwach – dni.



KRZYSZTOF KWIATKOWSKI JAKO MIROSŁAW FERIĆ

JAN WIECZORKOWSKI JAKO LUDWIK WITOLD PASZKIEWICZ

eprasa.pl ef95b0f035



Zakościelny niemal w każdej wypowiedzi podkreśla, że dzięki Zumbachowi przeżył niezwykłą zawodową przygodę i spełnił swoje chłopięce marzenia. Nie tylko zasiadł za sterami bojowego samolotu. Miał też okazję, u boku mistrza powietrznych akrobacji, poczuć na własnej skórze przeciążenia, jakie pojawiają się podczas podniebnych ewolucji. Doświadczenia te dołączył do wcześniejszych, również imponujących. Bo choć w dorobku ma parę romantycznych komedii, to na planach seriali „Kryminalni", „Czas honoru", „Strażacy", a nawet „Diagnoza" mógł się zmierzyć z ekstremalnymi wyzwaniami.

Warto przy tym zauważyć, że uwielbiany przez żeńską część widowni aktor jest znacznie przystojniejszy niż pierwowzór granej przez niego postaci. Trudno jednak winić producenta za taki wybór.

CELNE TRAFIENIA

Obsada „Dywizjonu 303. Historii prawdziwej" została zgrabnie przykrojona na miarę oczekiwań widzów oraz potrzeb producenta i dystrybutora. Obok najmocniejszych nazwisk – Piotra Adamczyka i Macieja Zakościelnego – na ekranie pojawiają się inni rozpoznawalni oraz lubiani aktorzy. Dla każdego z nich udział w tym filmie jest wygraną w zawodowej loterii.

Jan Wieczorkowski – od rozstania z „Klanem" i przejścia m.in. przez wojenny „Czas honoru" – udowadnia, że wie, jak się zawodowo rozwijać. Umie też dobrze wybierać. W tej produkcji gra Ludwika Paszkiewicza, kolejnego z lotniczych asów Dywizjonu 303, którego życie mogłoby zainspirować filmowych scenarzystów (w kraju zostawił rodzinę: córeczka nie przeżyła okupacji, zmarła na błonicę rok po tym, jak jej ojciec został zestrzelony w 1940; żona brała udział w powstaniu warszawskim, po wojnie wstąpiła do zakonu niepokalanek w Szymanowie).

Antoni Królikowski – od szansy, jaką dał mu serial „Bodo", mądrze inwestujący w kolejne role – wcielił się w Witolda Łokuciewskiego ps. Tolo. To jeden z nielicznych, któremu udało się dożyć sędziwego wieku (zmarł w 1990 r., został pochowany na Powązkach), ale i wiele po wojnie doświadczyć. Gdy wrócił do Polski w 1947 r., został aresztowany. Po uwolnieniu pracował jako warszawski taksówkarz. Rehabilitowany w 1956 r., w latach 1969–1971 pełnił funkcję attaché wojskowego w Londynie, po przejściu na emeryturę przez wiele lat działał w ZBoWiD-zie.

Krzysztof Kwiatkowski (kojarzony przez publiczność m.in. dzięki serialom „Hotel 52", „Na dobre i na złe", „M jak miłość") przyjął rolę Mirosława Fericia (urodzonego w Chorwacji, skąd pochodził jego ojciec; od 1919 r. zamieszkałego z matką i braćmi w Polsce; absolwenta – jak pozostali członkowie Dywizjonu 303 – Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Ferić zginął w 1942 r.).

I jest jeszcze w obsadzie filmu, który trafi do kin 31 sierpnia, m.in. Marcin Kwaśny. Od czasu głośnego reżyserskiego debiutu Łukasza Palkowskiego, czyli „Rezerwatu", do którego napisał scenariusz i w którym zagrał główną rolę, zaznaczający kolejne ważne miejsca na zawodowej ścieżce. W „Dywizjonie 303. Historii prawdziwej" zagrał kpt. Johna Kenta „Kentowskiego". W konkurencyjnym filmie w tę postać wcielił się Milo Gibson.

ABYŚMY PAMIĘTALI

Jeden dywizjon, wiele ludzkich losów, dwie produkcje. Można się spierać, czy to dobrze, że trafiają do widza w tak krótkim odstępie czasu, albo – pozostawiając te spory – przyjrzeć się zarówno historii, którą każdy z nich pokazuje, jak i współczesnej perspektywie, którą współtworzy.

Producenci najbliższej premiery zauważają: „W czasach, gdy każdy dzień mógł być ostatnim [lotnicy Dywizjonu 303 – przyp. red.] nie wahali się wykonywać ewolucji powietrznych na granicy szaleństwa. Nikt nie latał tak jak oni. Ich ponadprzeciętne umiejętności i niezwykły patriotyzm mogą być przykładem dla kolejnych pokoleń Polaków, czym jest prawdziwe bohaterstwo". A Hubert Zumbach (syn Jana) po premierze brytyjsko-polskiej podkreślał: „Dobrze, abyśmy pamiętali (i przypominali), że Polacy odegrali wielką rolę w bitwie o Anglię".

eprasa.pl ef95b0f035

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Rodzina w mroku

Ostatni wakacyjny remanent – za to jaki! „Mrok" Mariusza Bielińskiego, współczesnego dramaturga, Artur Tyszkiewicz wystawił w Teatrze Narodowym przed dziesięciu laty. Niedawno przystosowano go do potrzeb Teatru Telewizji. Widowisko chwalono na tegorocznym festiwalu Dwa Teatry w Sopocie, acz nie doczekało się nagrody.

Tyszkiewicza ganiłem niedawno za natrętną aktualizację „Trans-Atlantyku" Gombrowicza w Ateneum. Ale tam, gdzie nie włącza mu się polityczna lampka, umie być artystą pierwszej ligi. Jego „Nikt" Hanocha Levina sprzed roku, też z Narodowego, uczy nas, że teatr potrafi zupełnie autonomicznym, całkiem niedosłownym językiem opowiadać nam przerażające prawdy o człowieku. O „Mroku" da się powiedzieć to samo.

Już samo odkrycie współczesnego, nadającego się do grania tekstu polskiego autora zasługuje na respekt. Czy to przełomowa opowieść? Można by się zżymać, że klimat zbyt przewidywalny w swojej straszności; że już nieraz silono się na taką dekonstrukcję rodziny; że współczesny dramaturg nie opowie nam ciekawej historii, nie sięgając po motyw śmierci, mordu, zagłady – nawet jeśli cokolwiek umownej, bo nie wiemy, co naprawdę tu się zdarzyło, a co jest zrodzone w umyśle głównego bohatera-narratora.

Równocześnie coś tę opowiastkę wyróżnia. To nie rodzina jest źródłem zła. Przeciwnie – ona jest normalna, pokazana przez pryzmat zdarzeń codziennych i w gruncie rzeczy, gdy je oddzielić od finału, optymistycznych. Mrok czai się w pojedynczym człowieku. Nie spoilerując, można mieć pretensję do Bielińskiego, że niczego nie objaśnia, nie zagląda w ludzką duszę głębiej, nie podsuwa nam przyczyn – jak nie podsuwał ich Roman Polański, pokazując nam rodzinne zdjęcie w finale sławnego „Wstrętu", gdzie wyobcowana Catherine Deneuve robiła straszne rzeczy. Że pozostawia nas z pytaniami.

Ale ja nie mogłem przez te pytania zasnąć. Czy ten mój niepokój zda się na coś? Może na to, żeby wcześniej łowić ostrzegawcze sygnały? Sztuka wygrała konkurs na dramat inspirowany twórczością Karola Wojtyły, organizowany przez warszawskie Centrum Myśli Jana Pawła II. Gdzie papieski dyskurs, a gdzie studium człowieczej depresji, dołu, nieszczęścia? A jednak ktoś znalazł link.

Opowiedziane jest to teatralnymi skrótami, ale w gruncie rzeczy dość tradycyjnie. Nie przytłacza efektami, dławi w gardle. Wszystko koncentruje się na aktorach rozprawiających na prawie pustej scenie, z pomocą kolorów, świateł, muzyki o swoich bohaterach. Z typową dla najlepszego współczesnego teatru podwójnością. Raz po raz stają obok postaci, by w odpowiedniej chwili w nie wskoczyć.

Marcin Hycnar dostał szansę na stworzenie kreacji. Jest w grze tego aktora swobodna nonszalancja, upodabniająca go trochę do młodego Jana Englerta (który podobno widzi w nim swego następcę). A zarazem potrafi wziąć tę nonszalancję w karby, podporządkować tekstowi. Przykuwa uwagę każdym gestem, słowem, zmrużeniem oka. Pomaga w tym świetna praca kamer.



Wypada też wymienić innych: ulubionego przez Tyszkiewicza aktora Przemysława Stippę, który jest złowrogim alter ego głównej postaci, a także Kamilę Baar (żona), Sławomirę Łozińską (matka), Leszka Zdunia (brat). Osobne słowa uznania wypada poświęcić zmarłemu dopiero co Andrzejowi Blumenfeldowi grającemu ojca. Potrafił podnieść zwyczajność do rangi wielkości. Może za mało miał ku temu okazji? Tyszkiewicz dał nam wszystkim okazję obcowania z teatrem prawdy o człowieku, jakkolwiek banalnie by to brzmiało.

Piotr Zaremba

Realny koszmar

Do kin wszedł właśnie horror oparty na internetowej postaci Slendermana. Kilka lat temu dwie nastolatki próbowały przez niego zamordować rówieśniczkę. Dziś w sieci istnieją jeszcze groźniejsze zjawiska niż wymyślony upiór. Budzą większą fascynację



ŁUKASZ ADAMSKI

Momo. Co wam mówi to imię, tudzież nazwa? Kilka miesięcy temu pisałem dla „Sieci" recenzję francuskiej komedii „Momo". Do niedawna tajemnicza nazwa kojarzyła mi się wyłącznie z bezpretensjonalnym i ciepłym filmem z Christianem Clavierem. Momo oznacza jednak coś znacznie mroczniejszego. To symbol czasów, w których koszmary produkowane przez speców w Hollywood zostały zastąpione internetowymi demonami. Niekontrolowanymi. Krwiożerczymi. Zachłannymi na kolejne ofiary.

Lalka Momo miała stać za samobójstwem 12-letniego argentyńskiego dziecka. Czym jest Momo? To przerażający potwór stworzony przez japońskiego artystę Midoriego Hayashi. Hybryda człowieka i ptaka z wyłupiastymi oczami została w formie zdjęcia pierwszy raz opublikowana na Instagramie „between. mirrors". Potwór szybko trafił w ręce internautów, rozpoczynając oddzielny żywot. Jednak nie w formie memów ani niegroźnych żartów. Na komunikatorze WhatsApp powstał profil Momo, na który można zadzwonić i dostać określone zadanie do wykonania. Jednym z nich jest samobójstwo. Jeżeli dzwoniący nie wykona różnych zadań, jest szantażowany groźbami. Na takie groźby trafiła prawdopodobnie dziewczynka w Argentynie, która popełniła samobójstwo. Policja w kilku krajach (w tym w Hiszpanii) przestrzega przed zabawą w Momo. Postać upiornej laleczki pojawiła się nawet w mutacji szalenie popularnej gry dla dzieci Minecraft. Ludzie z Microsoft obiecali niezwłocznie zająć się sprawą.

Lalka Momo szybko zaczęła się kojarzyć z internetowym wyzwaniem pod nazwą „Niebieski Wieloryb", który kilka lat temu doprowadzał nastolatków do samookaleczeń, depresji i w końcu samobójstw. – Momo to rak internetu – mówi mi mój nastoletni chrześniak. – To coś gorszego niż Slenderman sprzed kilku lat – dodaje. Gorsze niż Slenderman? Już tamta creepypasta pokazała mi, że jestem lamusem i zgredem z moją znajomością sieciowych trendów. Pewnie wielu z państwa zastanawia się, czym jest creepypasta. Już tłumaczę.

KOPIUJ-WKLEJ POTWORA

„Creepy" to po angielsku „straszny". „Pasta" pochodzi od słowa „paste", czyli „kopiować-wklejać". Creepypasty to kopiowane przez internautów przerażające opowieści. Początków tego procederu upatruje się w 2007 r. Te opowieści wpisują się w rodzaj „miejskich legend". Za pomocą internetu nabierają jednak realnych kształtów. Najsłynniejszą creepy pastą jest opowieść o Slendermanie, która właśnie została zekranizowana przez Hollywood.

Postać Slendermana pojawiła się na zdjęciu osoby podpisującej się pseudonimem Victor Surge (w rzeczywistości Eric Knudsen), który w 2009 r. brał



udział w fotograficznym konkursie o zjawiskach paranormalnych. Na czarno-białym zdjęciu widać w tle wysoką postać mężczyzny bez twarzy. Ma nienaturalnie długie ręce i nogi. Zdjęcia przedstawia bibliotekę, która spłonęła w Stirling City w 1984 r. Surge tak opisał swoje zdjęcie z rzekomo odkrytym potworem: „Jedno ze zdjęć ocalałych z pożaru biblioteki miejskiej w Stirling City, spalonej doszczętnie tydzień po zniknięciu dzieci. Postać z tyłu została przez lokalne władze opisana jako wada filmu. Oryginalne zdjęcie zatrzymane jako dowód w sprawie w 1986 r., autorka: Mary Thomas, zaginiona od 13 czerwca 1986". Surge stworzył klasycznego fake newsa, zanim to określenie spopularyzował prezydent Trump. Spreparowane zdjęcie szybko zostało „przejęte" przez internautów i tworzyło jedną z najbardziej przerażających internetowych opowieści.

Slenderman jest też zwany Panem Wysokim albo Panem Chudym. Gargantuicznie wysoki, w krawacie i gar-

eprasa.pl ef95b0f035

niturze pojawia się gdzieś w oddali na zdjęciach publikowanych w internecie. Widoczny jest też na znakomicie spreparowanych filmikach na YouTube. Realistycznych, surowych i przypominających słynny, przełomowy półamatorski horror „The Blair Witch Project" z 1999 r. Postać nie ma twarzy, co tylko wzmacnia jej oddziaływanie. Każdy może w białą twarz monstrum wstawić własne lęki. Dla każdego będzie on innym rodzajem popularnego w popkulturze boogeymana.

Może wyjść z lasu albo z szafy. Może być pod łóżkiem albo odbić się w lustrze. Zawsze będzie polował na dzieci. Czy jednak jest to nowy Freddy Krueger tnący pazurami młodych ludzi w snach? A może to obrońca dzieci przed ich problemami z rówieśnikami i rodzicami? Mitologia Slendermana jest bardzo eklektyczna. Wzmianki o wysokiej postaci z długimi mackami pojawiają się w mitologii mezopotamskiej, babilońskiej, egipskiej i u Majów. Porywała ona dzieci do Tartaru i polowała na najmłodszych jak słowiańska Strzyga. Knudsen, tworząc na zdjęciu Slendermana, inspirował się powieściami H.P. Lovecrafta i Stephena Kinga. Jego „żart" prędko odniósł gigantyczny sukces. W 2012 r. powstały darmowe gry wideo o Slendermanie, które tylko w ciągu pierwszych miesięcy zostały ściągnięte ponad 2 mln razy. Postacią fascynowały się dzieci i nastolatki pod każdą szerokością geograficzną. Szczególnie te wyjątkowo wrażliwe. W tym roku na ekrany wszedł produkowany przez Sony film „Slender Man".



OFIARA DLA WYSOKIEGO PANA

31 maja 2014 r. 12-letni Morgan Geyser i Anisse Weier spędzali czas ze swoją przyjaciółką Payton Leutner. Dziewczyny od dawna trzymały się razem. Morgan miała dzień wcześniej urodziny i przyjaciółki spędziły razem noc. Po śniadaniu udały się do parku, gdzie „zabawa" przybrała zupełnie inny wymiar. Anisse i Morgan 13-centymetrowym nożem kuchennym zadały Payton 19 ciosów. Miały to zrobić już nocą, gdy spała (Morgan na przesłuchaniu rzekła, że wtedy nie widzi się oczu ofiary), ale postanowiły „dać jej jeszcze jeden poranek". Wybrały więc publiczną toaletę w parku, bo tam „była studzienka, do której mogła spłynąć krew" – wyznała Morgan. Dziewczyny zostawiły koleżankę krwawiącą w lesie. Miała być ofiarą dla Slendermana, który dzięki temu miał w końcu im się ukazać. Payton cudem przeżyła. Wyczołgała się z lasu i została znaleziona na poboczu drogi przez rowerzystę. Jedno z dźgnięć minęło o milimetr serce. Slenderman nigdy się nie zjawił.

W przerażającym dokumencie „Strzeż się Slendermana" (dostępny w Polsce na HBO GO) można obejrzeć zeznania dziewczynek i wypowiedzi ich rodziców. Poraża to, że obie były spokojnymi, normalnymi dziećmi. Obie były wycofane, ciche i nieśmiałe. Nie nawiązywały zbyt łatwo przyjaźni. Ten spokój miał złowieszczą wymowę podczas przesłuchań. Jedna z nich beznamiętnym głosem pytała, czy trafi do więzienia i jak „tam jest". Druga teatralnie chlipała, opowiadając ze szczegółami o dźganiu koleżanki nożem. Żadna z nich nie miała wątpliwości, że dostrzeżony w internecie wysoki człowiek bez twarzy pojawi się w podzięce za przelaną przez nie krew. W 2017 r. Anisse została skazana na 20 lat w zakładzie psychiatrycznym za próbę morderstwa drugiego stopnia. Morgan, która zadawała ciosy nożem, została uznana za schizofreniczkę i trafiła do zakładu na 40 lat.

Po tragedii w Waukesha w stanie Wisconsin człowiek, który wprowadził Slendermana do internetowej popkultury, odmówił udzielania wywiadów. Przemocy wywołanej fascynacją Wysokim Panem było więcej. Matka 13-latki z Cincinnati wyznała, że córka pod wpływem boogeymana z lasu zaatakowała ją nożem. Na Florydzie 14-letnia dziewczyna podpaliła dom, w którym była jej matka z dziewięcioletnim bratem. Podpalaczka była gorliwą czytelniczką historii o Slendermanie.

JAKI BĘDZIE NASTĘPNY POTWÓR?

Nie jestem osobą, która winą za przemoc na świecie obarcza krwawe kino i popkulturę. Nóż może służyć do krojenia chleba albo zabicia człowieka. Przecież „Buszujący w zbożu" Jerome'a Salingera był ulubioną książką psychopatycznych zamachowców na prezydenta Ronalda Reagana i Johna Lennona. Czy to oznacza, że klasyczną powieść należy wycofać z bibliotek?

Jednak przypadek Slendermana czy Momo jest inny niż najbardziej kontrowersyjne książki czy filmy. Filmy są tworzone przez sztab ludzi. Twórcy odpowiadają za przekaz ich dzieła. Muszą się liczyć z opinią dystrybutorów, telewizji czy serwisów streamingowych, które mogą nie kupić ich filmów ze względu na odrażającą wymowę. A kreatorzy postaci na YouTube? Bez żadnej cenzury, kontroli, bez hamulców wrzucają swoje twory do sieci i bez żadnej oceny natychmiast zaczynają infekować nieukształtowane umysły masowego odbiorcy. Nie są przed nikim odpowiedzialni. To anonimowi twórcy, którzy mogą napisać i zmontować każdy koszmar. Rodzice dziewczyn skazanych za próbę zamordowania koleżanki pokazują w dokumencie „Strzeż się Slendermana" archiwalne nagrania VHS, na których dziewczynki dostają swoje pierwsze iPady. To z nimi zamykały się w pokojach i chłonęły opowieści o Slendermanie. Czy to wina iPadów? A może rodziców, którzy nie dostrzegli, kiedy nastąpił przełom w zachowaniu ich pociech?!

eprasa.pl ef95b0f035

Bez oddechu



Przemysław Skrzydelski

Jan Klata w „Miarce za miarkę”, wystawionej w praskim Divadlo pod Palmovkou i zaproszonej na 22. Festiwal Szekspirowski w Gdańsku, pokazuje wszystko to, czego u Stratfordczyka można się domyślić. Efektem spektakl, w którym wszystko jest proste, jasne i przewidywalne.

Chyba najgorsze przedstawienia wychodzą Janowi Klacie, gdy chce pokazać, że przeciwko czemuś się buntuje. Wówczas natychmiast jego teatr traci to, co bywa w nim najcenniejsze i co zresztą ostatnio stało się bardziej w nim widoczne. Mówię o ironii i poetyckim skrócie – nawet jeśli na scenie dominuje również, jak zawsze u Klaty, publicystyka. „Wesele” sprzed ponad roku i niedawny „Wielki Fryderyk” to – mimo licznych niedociągnięć obu realizacji – zupełnie inna tonacja rozmowy z widzem. Klata w tych spektaklach daje do myślenia na paru poziomach, ale też nie pozwala, by jego pazur buntownika się stępił.

W praskiej „Miarce za miarkę” jest dokładnie na odwrót i jak dawniej (przychodzą na myśl najgorsze propozycje Klaty, czyli te z czasu jego dyrekcji w Starym Teatrze, które miały premiery przed „Weselem”). Szekspir ma tu chyba być tylko zachętą na afiszu, bo za pomocą tak dobranej poetyki równie dobrze o hipokryzji sprawujących władzę można opowiedzieć w 20 minut. Klata intrygę odczytuje na poziomie najprostszych skojarzeń; nikt nie zaprzeczy, że mocny erotyzm daje się w „Miarce” wyczuć w co drugim dialogu i jest to erotyzm, który burzy trzymaną na wodzy moralność, ale po co zdradzać każdy detal własnej interpretacji już od samego początku.

Dla Klaty właściwie każdy na scenie myśli o jednym, jest taki sam jak ten, który stoi obok, no i jeszcze afiszuje się z tym wszystkim, tak by widz nie miał wątpliwości, jak dziś świat wygląda. A jeśli to za mało – reżyser podbija stawkę i dorzuca transowe hity. Szekspir zyskuje komentarz. Byle głośno, byle dosadnie, do znudzenia. Kulminacyjny moment, gdy brutalnie wychodzi na jaw prawdziwa natura Angela sprawującego rządy pod nieobecność Księcia, Klata zapowiada w tak oczywisty sposób, że sama scena wytraca moc. Za to słyszymy „Angel” grupy Massive Attack. Prawdopodobnie dlatego, że świetnie to przecież współgra. Samozwańcze anioły zawsze mają mroczną twarz.



William Szekspir, „Miarka za miarkę”,
reż. Jan Klata; premiera: 27 stycznia 2018
Divadlo pod Palmovkou w Pradze (pokazy na 22. Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku, 2 sierpnia 2018)

Smak sukcesu



Adam Ciesielski

Agata Zubel, której najnowsza kompozycja „Fireworks” miała prawykonanie na XIV festiwalu „Chopin i jego Europa” w Warszawie, a zaraz potem zbierała oklaski w Berlinie i na londyńskich The Proms, otrzymała za ten utwór Europejską Nagrodę Kompozytorską.

Radosne, energetyczne „Fajerwerki” powstały na zamówienie Instytutu Adama Mickiewicza w ramach programów „Polska 100” oraz „Niepodległa”. Współzamawiającym była European Union Youth Orchestra, która pod batutą Gianandrei Nosedy 13 sierpnia w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej po raz pierwszy zagrała 8-minutowy utwór cenionej kompozytorki i wokalistki.

Obejmujący 50 koncertów XIV festiwal miał motto „Od Chopina do Paderewskiego” i na stulecie odzyskania niepodległości silnie eksponował muzykę polską: od wspomnianych patronów do twórców współczesnych. Wieczór inauguracyjny 9 sierpnia otworzył nowy Polonez napisany przez Krzysztofa Pendereckiego na zamówienie Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. W dalszej części imprezy szczególnie często rozbrzmiewała muzyka Ignacego Jana Paderewskiego. Długo zapomniana, jest konsekwentnie przywracana przez NIFC do światowego obiegu koncertowego. Dzieła wielkiego Polaka słyszymy teraz w ujęciach tak znamienitych artystów jak m.in. pianiści Kevin Kenner, Dang Thai Son, Garrick Ohlsson czy śpiewacy – jak słynny tenor Christoph Prégardien.

Nie mogło zabraknąć Stanisława Moniuszki. Jego „Halka”, z librettem po włosku, zyskała entuzjastę w osobie Fabio Biondiego i jego legendarnej formacji Europa Galante z chórem Opery i Filharmonii Podlaskiej i międzynarodową stawką solistów.

Finał XIV festiwalu „Chopin i jego Europa” nie oznacza końca wielkich emocji. Już 2 września startuje w Warszawie I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych.



XIV Międzynarodowy Festiwal „Chopin i jego Europa”
9–31 sierpnia 2018, Warszawa

11/0718/F

eprasa.pl ef95b0f035



POD PATRONATEM „NIEDZIELI”

KSIĄŻKA DLA CIEBIE

Reporterskie śledztwo w sprawie duchowego serca Polski. Czy modlitwa przed obliczem Matki Bożej Jasnogórskiej ma rzeczywiście wyjątkową moc? Czy to właśnie przed tym obrazem zapadały najważniejsze decyzje dla historii Polski?

30 zł + KOSZT WYSYŁKI

CUDA DZIEJĄ SIĘ PO CICHU

O JASNOGÓRSKICH CUDACH I ŁASKACH

Od ponad 600 lat na Jasną Górę przybywają pielgrzymi po pomoc, nadzieję i otuchę. W trudnych momentach przed Cudownym Obrazem Matki Bożej klękali królowie i dowódcy.

Jasna Góra – maryjna twierdza, strażniczka polskiej niepodległości, której nie pokonały ani potop szwedzki, ani nienawiść rosyjskich namiestników, ani niemiecka eskadra bombowców.

Książka „Cuda dzieją się po cichu. O jasnogórskich cudach i łaskach” jest efektem wnikliwych badań nad nigdy nieopublikowanymi jasnogórskimi dokumentami oraz rozmów ze strażnikiem cudów – kustoszem głównego Archiwum Zakonu na Jasnej Górze o. Melchiorem Królikiem OSPPE. Od ponad 40 lat spisuje on świadectwa ludzi, którzy doznali cudów bądź doświadczyli łask za przyczyną Matki Bożej Częstochowskiej. Książka zawiera również osobiste, nieoczekiwane przeżycia autorki, których doznała w wyniku spotkań z częstochowską Madonną.

Anita Czupryn w 300-lecie koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej postanowiła odwiedzić jasnogórskie sanktuarium i sprawdzić, w czym tkwi sekret tego wyjątkowego dla Polaków miejsca.

Anita Czupryn, „Cuda dzieją się po cichu. O jasnogórskich cudach i łaskach”. Wydawnictwo FRONDA PL Sp. z o.o.

ZAMÓWIENIA:
Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52**
koszty wysyłki pokrywa zamawiający
www.ksiegarnia.niedziela.pl pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl ef95b0f035



Wojciech Stanisławski

Historia szaleństwa w dobie komunizmu

O Chinach wiadomo zwykle, że był głód i była „Czerwona książeczka". Rytualne zjadanie wrogów klasowych jakoś nam umknęło

Pierwsza nauczycielka została zakatowana przez uczniów w sierpniu 1966 r.: uczennice z Czerwonej Gwardii oblały ją tuszem i tłukły na miazgę pałkami. Jeszcze wcześniej rozpoczęło się rabowanie prywatnych mieszkań, darcie pergaminów, kruszenie laki. Tabliczki z portretem przewodniczącego umieszczano nie tylko na froncie lokomotyw, lecz również na rowerach. Na wewnątrzkrajowych trasach lotniczych (innych nie było) stewardesy czytały pasażerom, nieraz przez kilka godzin bez przerwy, „Czerwoną książeczkę". By ją drukować w odpowiednim, wielomilionowym nakładzie, tylko w Szanghaju wzniesiono siedem nowych papierni. Ministerstwo handlu ograniczyło produkcję butów, klapek i zabawek, by starczyło plastiku na jej okładki. Żołnierze i studenci rozpoczęli niszczenie nazw ulic, wnętrz sklepów i wszelkich zabytkowych murów: runęła spora część starego Pekinu, tysiące zabytków w całym kraju. Masowo zabijano zwierzęta domowe, przystąpiono do niszczenia cmentarzy. Tratowano ogrody i kwietniki, na wieś, bez środków do życia, wywożono fryzjerów i fizyków.

Tak, o Litwie, wbrew cytatowi z klasyka, wiemy jednak zwykle więcej niż o Chinach. Kiedy wyjdziemy z partykularza polskich obolałości, okazuje się, że pamiętamy czołgi sowieckie na ulicach Kowna, partyzantów walczących w lasach z oddziałami NKWD dłużej niż wyklęci i wywiezione za Ural wioski, po których została dzwonnica w zarośniętym perzem kołchozowym polu: dla dziedziców Rzeczypospolitej to doświadczenie niemal własne, dla entuzjastów Polski plemiennej i piastowskiej – pokrewne, z przemocą w znajomych dekoracjach, pod wspólnymi obłokami. O Chinach wiadomo zwykle, że był głód i była „Czerwona książeczka", czyli zbiór drętwych fraz.

Nawet jeśli pamiętamy kilka podręcznikowych faktów, że wiemy kto, kiedy i jak, niewiele nam pomaga: tak, możemy powtarzać, że faktyczny przywódca kraju i lider KPCh Mao Zedong obawiał się skierowanej przeciw sobie krytyki za Wielki Głód oraz „restytucji kapitalizmu". Wiemy, że w maju 1966 r. powołana zostaje w KC KPCh Grupa ds. Rewolucji Kulturalnej, podlegająca bezpośrednio Mao; że rozpoczyna się wówczas mobilizowanie „dołów": hasło „zwrócenia broni przeciwko sztabom" posiada, szczególnie w hierarchicznych Chinach, gigantyczny potencjał burzący. Tak, można wymieniać kolejne nazwiska, podglądając ukradkiem ich zapis fonetyczny w kwadratowych nawiasach, ale nie przybliża to nas ani trochę do zrozumienia dlaczego.

W chińskich wydarzeniach lat 1966–1976 rozpoznajemy, jak w koszmarze sennym, praktyki kolejnych rewolucji wcielonych. Samokrytyki i akty denuncjacji? Piętnowanie wrogów klasowych? Pędzące po mieście ciężarówki najeżone sztykami? Znamy to, znamy. Wioska Dazhai, siłą woli mieszkańców odbudowana po powodzi i przynosząca rekordowe zyski, odwiedzana przez delegacje z całego kraju? Tak, znamy i to, i zobowiązania produkcyjne, zaorane stepy, z których cienka warstwa czarnoziemu spłynęła w kilka sezonów, pozostawiając słoną pustynię oraz zasypane kamieniami jeziora, które zamieniły się w bagna. Znamy kilkupiętrowe gazety ścienne, sławiące bohaterów pracy, gorączkę wojenną w obliczu nieuchronnego ataku imperialistów (Breżniewa i Nixona) oraz huty wznoszone na ugorze urzędniczym ukazem i obozy reedukacyjne zakładane w śnieżnej pustce. Znamy bicie stalowym prętem, wyludnione głodem prowincje, w któ-

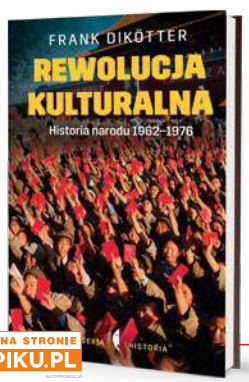
eprasa.pl ef95b0f035

rych zdarto całą korę z drzew, oraz nieoczekiwane zwroty doktryny i niełaski, na mocy których wczorajszy sojusznik dziś piętnowany jest jako zdrajca, czy nazywał się Zinowiew, czy Lin Biao.

A jednak tak wiele wymyka się naszemu zrozumieniu. Sypanie na równinie wzgórz z lessu, żeby upodobnić swoją komunę do wzorcowej wioski. Rozbijanie łomami obrabiarek i nadajników radiowych w nadziei, że uda się z nich wytopić aluminium, podstawowy surowiec do produkcji znaczków z portretem przewodniczącego. Rytualne spożywanie wrogów klasowych, podczas którego starannie zachowywano hierarchię: „Miejscowi przywódcy jedli serce i wątrobę ofiar, pomieszane z wieprzowiną i lokalnymi przyprawami, zwykłym wieśniakom pozwalano jedynie skubać mięso z ramion i z ud". Uczniowie gotujący mięso nauczycieli w małych, okopconych garnkach. W państwie, w którym oficjalnie zniesiono handel, istniał czarny rynek popiersi przewodniczącego. Pacjenci szpitali co rano zwlekali się z łóżek, by oddać hołd jego portretowi, i twierdzili, że zdrowieją. Domowe ołtarzyki przodków zastąpione zostały przez tryptyki: Mao oskrzydlony cytatami. Rodziny wieczorem zbierały się przed nimi na krótką modlitwę i sprawozdanie z dnia. Na scenach, akademiach i ulicach wykonywano taniec lojalności: kilka prostych ruchów rąk od serca ku portretowi, którym towarzyszyła w tle pieśń „Ukochany przewodniczący" (można i bez melodii).

Do tego retoryka, w której łączy się retoryka i egzotyczne obrazowanie, co która rodzi frazy w rodzaju: „Kampania czterech bezbrzeżnych miłości" lub „Czerwone słońce w naszych sercach". Do tego skala, w której nie potrafimy się odnaleźć: prowincje wielkości naszych krajów objęte walkami różnych frakcji Czerwonej Gwardii, katastrofy górnicze, w których ginie półmilionowe miasto. Do tego poczucie, że nad kontynentem Chiny w latach rewolucji kulturalnej nikt do końca nie panuje: fale kolejnych kampanii uderzają w pustkę, różne ziemie tkwią na uboczu, restytuując na własną rękę handel, tradycyjne uprawy czy szkoły, przewodniczący podejmuje decyzje pod wpływem kaprysu, donosu, plotki.

Frank Dikötter, holenderski historyk, który zaczynał od badań nad „opiumową rewolucją" i fascynującym historyków Trzeciego Świata zjawiskiem „konstruowania tożsamości rasowej", kończy swoją trylogię poświęconą Chinom epoki Mao chłodno oraz beznamiętnie, składając opowieść z kilkunastu poszatkowanych na odpowiednie okresy relacji, fachowo rekonstruując narastanie i wygasanie gorączki, praktyki przystosowania, ogniska skupionego wokół wspólnot religijnych podziemnego oporu. To prawdopodobnie jedyny sposób, żeby nie oszaleć.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

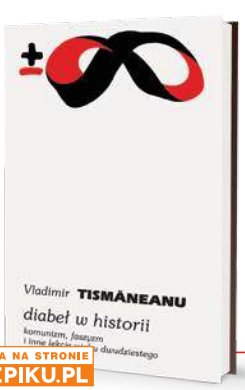
Frank Dikötter, „Rewolucja kulturalna. Historia narodu 1962–1976", tłum. Barbara Gadomska, Czarne, 2018

Dziennik lektur sowietologa

Tę książkę długo się czyta, choć pewnie nie tak długo, jak powstawała: Vladimir Tismăneanu, czyli najwybitniejszy rumuński badacz komunizmu, wspomina we wstępie, że umowę wydawniczą na pierwszą wersję „Diabła w historii" podpisał przed 14 laty. Rozważania nad totalizmem, jakie prowadził od chwili emigracji na Zachód w roku 1981, konfrontował jednak z kolejnymi autorami.

„Diabeł w historii" jest w znacznej mierze pokłosiem tych lektur, meandrującym zbiorem przemyśleń na temat źródeł utopijnej nadziei i genezy zapaści, która dokonała się jesienią 1917 r., świat jednak potrzebował dziesięcioleci, by zdać sobie z niej sprawę. Nie jest to rozprawa łatwa w lekturze: Tismăneanu przywołuje kolejne opinie, zderza Kena Jowitta z Tonym Judtem, mnoży przypisy i wypisy, krąży wokół kilku kwestii. Można niemal namacalnie dostrzec wysiłek, z którym – jak w gorączce czy koszmarze sennym – rumuński politolog powraca do podstawowego pytania: czy komunizm wolno zestawiać z nazizmem? Skąd brał się błąd poznawczy antyfaszyzmu, który nie pozwalał dostrzec piekła łagrów?

Dawny rewizjonista dochodzi do konkluzji, która w „Głównych nurtach marksizmu" stała się już udziałem Kołakowskiego: bez radykalizmu i pogardy Lenina stalinizm byłby niemożliwy, „Czarna księga komunizmu", wbrew oburzonym francuskim recenzentom, nie była pamfletem. Zasadniczą różnicą między faszyzmem a komunizmem nie jest różnica intencji, skali czy estetyki, lecz mniejsze znaczenie, jakie faszyzm przywiązywał do doktryny: gwarantem linii partii mieli być wodzowie, którzy okazują się śmiertelni łatwiej i szybciej niż bezkrwisty Hegel.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Vladimir Tismăneanu, „Diabeł w historii. Komunizm, faszyzm i inne lekcje wieku dwudziestego", tłum. Klaudyna Michałowicz, PIW, 2018

eprasa.pl ef95b0f035

Adamski



Kino

Subtelnie o wierze



Dzisiejsze kino dotykające religijności mocno się zinfantylizowało. Z jednej strony mamy robione na klęczkach, nieznośnie kiczowate albo w najlepszym razie protestancko jednowymiarowe christian movies, albo bazujące na taniej sensacji (co ten Watykan ukrywa w swoich lochach?) z drugiej. Gdzie subtelne rozważania Bressona czy Tarkowskiego o wierze? Gdzie inspirujące zmagania się z wiarą Scorsese i inspirujące prowokacje Pasoliniego?

Nagradzany Cezarem i Złotą Palmą reżyser Xavier Giannoli dowodzi, że można dziś o poszukiwaniu wiary opowiadać półsłówkami. Można o tak szalenie kontrowersyjnej nie tylko dla ateistów, lecz również dla wierzących kwestii jak objawienia maryjne mówić z szacunkiem i powagą. Giannoli nie stawia tez, które próbuje potem udowodnić. Historia złamanego człowieka, który zderza się z nieznaną sobie rzeczywistością, próbując ją zracjonalizować, to kino otwartych pytań.

Jacques (Vincent Lindon) jest weteranem reportażu wojennego. Traci na froncie przyjaciela, przez co wpada w psychiczny dół. Niespodziewanie dostaje telefon z Watykanu. Kościół, od którego Jacques całe życie jest daleko, chce, by pojechał on do małego francuskiego miasteczka, gdzie 18-letnia Anna (Galatéa Bellugi) utrzymuje, że doświadczyła objawień Matki Boskiej. Miejscowość szybko stała się miejscem kultu, co niepokoi Kongregację Nauki Wiary. Jacques jako swoisty adwokat diabła dołącza do zespołu złożonego m.in. ze świeckiej psychiatry oraz egzorcysty i rozpoczyna dziennikarskie śledztwo mające obnażyć przeszłość Anny. Prowadzi go to do zupełnie innego spojrzenia na własne życie. Drugie „Śledztwo w sprawie Chrystusa"? Nic z tych rzeczy.

„Tajemnica objawienia" nie jest ani filmową katechezą, ani obrazem kwestionującym wiarę. To fascynujące studium zderzenia metafizyki z racjonalizmem dwójki potłuczonych życiowo ludzi. Czy przeżycia Anny w domu dziecka powodują jej chęć błyszczenia we fleszach reflektorów? Ona jednak broni się przed gorszącą medialno-dewocyjną machiną (inteligentna szpila w komercjalizację miejsc objawień maryjnych) i emanuje czystą wiarą. Dlaczego więc miejscowy duchowny nie chce śledztwa watykańskiej komisji śledczej? Czy można jednak mówić o mistyfikacji, skoro rasowy reporter ateista, zagłębiając się w historię dziewczyny, zmienia własną percepcję metafizyki?

Xavier Giannoli nakręcił przenikliwy, pełen niejednoznaczności film dla widza żyjącego w świecie, w którym duchowość została odrzucona. To świat, w którym Bóg jest obojętny albo został zamordowany. To Francja, najstarsza córka Kościoła, która wyrzekła się wiary. Jak traktować w takim świecie najwyższą formę, jaką jest teofania? Jak odczytywać znaki płynące z nieba w świecie wszechobecnej dosłowności? A może te znaki to tylko złudzenia? Może wiara w objawienia wynika tylko z pragnienia istnienia świata pozagrobowego? To tylko instynkt chroniący nas przed lękiem śmierci?

Mądre kino ze świetną rolą Lindona i sprawną reżyserską ręką Giannolego, zanurzającego religijną dysputę w formę psychologicznego thrillera.

„TAJEMNICA OBJAWIENIA", REŻ. XAVIER GIANNOLI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Kino

Młodzi herosi



Naznaczony wiecznym mrokiem DC powoli wychodzi ze swojego poważnego tonu, który tak różni jego produkcje o superbohaterach od luzackiego i autoironicznego Marvela. Po przezabawnym „Lego Batman: Film" przyszedł czas na kolejną produkcję DC dla najmłodszych. Kinowa wersja animowanego serialu Cartoon Network zachwyci wasze pociechy (choć starsze dzieci, wychowane na poprzedniej wersji serialu, będą zawiedzione), a was rozbawi swoim zacięciem parodystycznym. Kim są Młodzi Tytani? To dzieciaki, które pod wodzą wiernego Batmanowi Robina starają się dorównać najważniejszym suberbohaterom. Niestety złoczyńcy w Gotham widzą w nich jedynie rezerwową drużynę Ligi Sprawiedliwości i bohaterów memów. Ba, Hollywood nie chce nawet poświęcić im oddzielnego filmu. Dzieciaki muszą więc znaleźć wroga z intrygującym pseudonimem.

Tak zaczyna się szalona i odmóżdżająca jazda, idealna na upalne dni. To bezpretensjonalna kreskówka pełna autoparodii (żarty z nieudanych filmów DC), dogryzania konkurentowi (pojawia się nawet Stan Lee!) i żonglerki popkulturowymi symbolami. Gratka nie tylko dla fanów komiksowego kina!

„MŁODZI TYTANI: AKCJA FILM", REŻ. AARON HORVATH, PETER RIDA MICHAIL, DYSTR. WARNER BROS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl ef95b0f035

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Prawdziwa walka z diabłem


VOD

O ojciec Gabriel Amorth to najsłynniejszy na świecie egzorcysta. Zmarł dwa lata temu, w wieku 91 lat. W 1985 r. został mianowany egzorcystą państwa kościelnego i diecezji rzymskiej. Całe życie poświęcił na udowodnienie, że największą sztuczką diabła było wmówienie ludziom, iż nie istnieje. Niedługo przed śmiercią dokonał rzeczy bezprecedensowej, pozwalając uczestniczyć w jednym z egzorcyzmów kamerze. Stanął za nią nie byle kto, bo sam William Friedkin. 82-letni filmowiec to jedna z legend Hollywood. Zdobywca Oscara za „Francuskiego łącznika" i Złotego Lwa za całokształt twórczości ma na swoim koncie jeden z najwybitniejszych horrorów w historii kina. „Egzorcysta" z 1973 r. wciąż jest najważniejszym filmem o walce z osobowym złem. To arcydzieło gatunku, które sam o. Amorth pochwalił za realizm (choć uznał, że finał ma zbyt wiele efektów specjalnych) i za katolicką wymowę.

Friedkin w czasie realizacji „Egzorcysty" określał się jako agnostyk. Dopiero 40 lat po premierze filmu wyznał, że jest głęboko wierzącym człowiekiem. Cóż, po tym, co oglądamy w dokumencie „The Devil and Father Amorth", trudno zrozumieć, by Boga odrzucał.

Pochodząca z małego miasteczka nieopodal Rzymu Cristina sama zgłosiła się do duchownego z prośbą o pomoc. Zarówno ona, jak i o. Amorth zgodzili się na nagranie jej dziewiątego egzorcyzmu pod jednym warunkiem – Friedkin miał nagrać wszystko sam. Bez ekipy filmowej i dodatkowych świateł oraz mikrofonów. Reżyser nakręcił więc cały dokument małą kamerą „z ręki". Nadało mu to przerażającego realizmu. Przez kilkanaście minut obserwujemy egzorcyzm o. Amortha na kobiecie. W otoczeniu modlącej się rodziny staje się ona coraz agresywniejsza. Histerycznie i brutalnie reaguje na wodę święconą oraz katolickie formułki. Mrożący krew w żyłach gardłowy głos wykrzykuje bluźnierstwa i... Nie będę tego streszczał. Ta scena na długo zostanie z państwem.

Siłą dokumentu Friedkina jest jego obiektywizm. Reżyser pokazuje nagrany materiał grupie najlepszych psychologów i psychiatrów (m.in. z Uniwersytetu Columbia), którzy analizują zachowanie kobiety. Czy można powiedzieć, że cierpi ona na chorobę psychiczną? Czy ma urojenia? Czy zamiast zwrócić się po pomoc do egzorcysty, powinna przyjmować leki i oddać się w ręce lekarzy? Opinie neurologów, chirurgów, psychiatrów są zestawione z wypowiedziami duchownych i antropologów. Zaskakująco często się zazębiają. Żaden z naukowców nie kpi z wiary, nawet jeżeli wyrażają oni sceptycyzm wobec rytuału egzorcyzmu. Kilku z nich jest zszokowanych nagraniem. Friedkin, mimo opisu wstrząsającego spotkania z kobietą już po śmierci o. Amortha, nie stawia jednoznacznie mocnych tez. Podobnie jak reżyser omawianej obok „Tajemnicy objawienia" zaprasza nas do nieznanego świata, mówiąc, byśmy sami zdecydowali, co o nim sądzimy. Porażające.

„THE DEVIL AND FATHER AMORTH" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Pasikowski wciąż w formie


DVD

Ten film nie ma specyficznej energii kina Patryka Vegi. Nie ma ulicznej zadziorności, chropowatości, zdumiewającej bezczelności ani anarchii kina twórcy serii „Pitbull". Jednak stary mistrz kina akcji Władysław Pasikowski nadał ostatniej części „Pitbulla" innego sznytu. Podtytuł „Ostatni pies" pokazuje, że twórca kultowych „Psów" nie zamierzał wchodzić w buty młodszego kolegi. Reżyser namówił do projektu Marcina Dorocińskiego i Krzysztofa Stroińskiego, którzy po pamiętnych rolach w serialu Vegi dekadę temu więcej w serii „Pitbull" się nie pojawili. Pasikowski poszedł jednak swoją drogą. Nawiązuje do wszystkich produkcji Vegi, jednocześnie dając nam oddzielną opowieść. Zanurzoną w retro stylistyce lat 90., z reaktywowanym po latach Cezarym Pazurą i ujmująco anachronicznym spojrzeniem na polskie grupy przestępcze. Co z tego, że ten film ma niewiele wspólnego z realizmem, skoro tak dobrze się go ogląda? Pasikowski to ojciec chrzestny polskiego kina akcji, który pozostaje w dobrej formie. Warto.

„PITBULL. OSTATNI PIES", REŻ. WŁADYSŁAW PASIKOWSKI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl ef95b0f035

Tęczowa ośmiornica oplata Kościół

Skandal pedofilski to największy problem dla Kościoła w USA w XXI stuleciu



GRZEGORZ GÓRNY

Od kilku tygodni w USA trwa gorąca dyskusja na temat kolejnego skandalu pedofilskiego w tamtejszym Kościele. Zaczęło się od ujawnienia mrocznej przeszłości 88-letniego kard. Theodore'a McCarricka, jednego z najbardziej wpływowych amerykańskich hierarchów. Okazało się, że przez niemal pół wieku molestował on seksualnie młodych chłopców, kleryków i podległych sobie księży. Zgwałcił np. 11-latka, którego wcześniej ochrzcił, by później wykorzystywać go przez 20 lat. Gdy informacje o tym dotarły do Rzymu, papież Franciszek najpierw zakazał purpuratowi publicznego sprawowania sakramentów, a następnie pozbawił go godności kardynała.

W mediach katolickich wszyscy zadają pytanie, jak to się stało, że kardynał mógł tak długo bezkarnie prowadzić podwójne życie. Z relacji wynika, że o skłonnościach „Wuja Teddy'ego", który lubił powtarzać, iż nie lubi spać samemu, wiedziano od dawna. Na ponury żart zakrawa to, że kiedy w 2002 r. w Kościele w USA wybuchł skandal pedofilski, to właśnie kard. McCarrick stał się twarzą odnowy moralnej i obyczajowej amerykańskiego katolicyzmu. Miał gwarantować, że podobne afery nie powtórzą się w przyszłości. Dziś okazuje się tkwić po uszy w bagnie.

Jakby tego było mało, w połowie sierpnia Wielka Ława Przysięgłych stanu Pensylwania upubliczniła 1400-stronicowy raport, z którego wynika, że w ciągu



Wpływowy kard. Theodore McCarrick przez niemal pół wieku molestował seksualnie młodych chłopców

Fot. East News/AP Photo/Alessandra Tarantino

70 lat ofiarami ponad 300 księży pedofilów padło tam ok. tysiąca dzieci. Stolica Apostolska oświadczyła, że „są dwa słowa, które wyrażają to, co odczuwa się wobec tych straszliwych przestępstw: wstyd i ból". Znów pojawia się jednak pytanie, jak mogło dojść do tego wszystkiego i dlaczego tak długo to trwało.

KOŚCIÓŁ – SZKOŁA 1:100

Pedofilia to potworne zło wyrządzone nieletnim. Udział w tym procederze księży jest publicznym zgorszeniem. Odbiera zaufanie do Kościoła, podcina jego wiarygodność, podważa misję, odstręcza wiernych. Kiedy w 2002 r. wybuchł podobny skandal, wydawało się, że katolicy w USA poradzą sobie z tym problemem. Przyjęto wówczas stanowisko, które zakładało „zero tolerancji" dla sprawców przestępstw seksualnych, „maksimum troski" dla ofiar molestowania i „pełną prawdę" dla opinii publicznej.

Amerykański episkopat zdecydował się wówczas na bezprecedensowy krok: zlecono zewnętrznej instytucji (kryminologicznej uczelni John Jay College of Criminal Justice) zlustrowanie pod kątem nadużyć seksualnych życiorysów wszystkich księży katolickich pracujących w Stanach Zjednoczonych w latach 1950–2002. Dzięki rzeszy prokuratorów, agentów FBI i prawników przebadano biografie ponad 100 tys. kapłanów. Tak powstał opublikowany w 2004 r. „John Jay Report" – najbardziej miarodajny i wiarygodny dokument, jaki do tej pory sporządzono na ten temat. Wynika z niego, że przez ponad pół wieku ofiarą molestowania ze strony 4 392 księży miało paść 10 667 osób nieletnich. Oznacza to, że czynów uznanych za pedofilskie dopuściło się 4 proc. badanych duchownych.

Co ciekawe, upublicznienie materiału zbiegło się z ogłoszeniem wyników innego raportu, opracowanego przez komisję Charol Shakeshaft na zlecenie Departamentu Edukacji. Dotyczył on przypadków nadużyć seksualnych w amerykańskich placówkach oświatowych. Okazało się, że ofiar molestowania uczniów przez nauczycieli jest w szkołach w USA prawie 100 razy więcej niż ofiar księży.

To pokazuje, że pedofilia jest znacznie szerszym problemem społecznym, dotykającym wiele środowisk. Od Kościoła wymaga się jednak więcej niż od jakiegokolwiek innego podmiotu. Dlatego postanowił on jako jedyna instytucja w USA rozpocząć systemową walkę z tą plagą we własnych szeregach. Wprowadzono nowe programy, szkolenia dla duchownych, systemy monitoringu. Poszkodowanym wypłacono gigantyczne odszkodowania, w wyniku których siedem diecezji musiało ogłosić bankructwo. Do kościołów powoli zaczęli jednak wracać wierni, którzy odpłynęli po ujawnieniu afery. Wydawało się, że Kościół w USA najgorsze ma już za sobą. Stało się jednak inaczej. Dlaczego?

NADREPREZENTACJA HOMOSEKSUALISTÓW

Głównym powodem nawrotu choroby okazało się złe zdiagnozowanie przyczyn. Wspomniany już „John Jay Raport" przynosił niezwykle ważne dane, które jednak zignorowano. Otóż 90 proc. księży katolickich skazanych w USA za wykorzystywanie seksualne dzieci było homoseksualistami. Podobne wyniki przyniosło długotrwałe i skrupulatne dochodzenie przeprowadzone w Australii przez Królewską Komisję ds. Odpowiedzi Instytucji na Wykorzystywanie Seksualne Dzieci, opublikowane w roku 2014: 90 proc. sprawców czynów pedofilskich wśród księży stanowili homoseksualiści. Niemal identycznie wyglądają proporcje w sierpniowym raporcie Wielkiej Ławy Przysięgłych stanu Pensylwania. Kongregacja Nauki Wiary na podstawie danych przychodzących z całego świata potwierdza, że podobny odsetek występuje także w innych krajach. Co to oznacza? Że problem pedofilski w Kościele jest tak naprawdę problemem homoseksualnym.

Według różnych statystyk homoseksualiści stanowią 1–2 proc. populacji. Jeśli przypada na nich aż 90 proc. wszystkich przypadków pedofilii wśród duchownych, to znaczy, że mamy do czynienia z ich olbrzymią nadreprezentacją w tym gronie.

Ten problem na masową skalę zaczął się w latach 60. zeszłego wieku. W ramach „otwarcia na świat" doszło do zmian w systemie formacji duchownych, nastąpiła liberalizacja obyczajowa, sięgnięto po zdobycze psychoanalizy, postanowiono w nowy sposób spojrzeć na płciowość człowieka, uznano zasadność niektórych postulatów rewolucji seksualnej. Wtedy seminaria otwarły szerzej swe podwoje dla osób o skłonnościach homoerotycznych, które jednak nie afiszowały się publicznie ze swoimi preferencjami.

Eksperci mówią w tym kontekście o tzw. syndromie wampira (ktoś ukąszony przez takiego osobnika sam staje się wampirem i kąsa innych). To sytuacja, w której ofiara z czasem przemienia się w sprawcę. Ktoś, kto został wykorzystany seksualnie jako ministrant lub kleryk, już jako ksiądz często uwodzi młodszych od siebie. W ten sposób orientacja może się reprodukować środowiskowo przez pokolenia.

Logika funkcjonowania niejawnego grona wtajemniczonych w ramach szerszej społeczności zawsze kończy się tym samym: uruchomieniem ukrytych mechanizmów kariery, awansu czy kierunku zmian. Publicyści katoliccy w USA piszą wprost o „lawendowej mafii", która przeżera Kościół od środka. Jaka jest skala tego zjawiska? Naukowcy publikują wyniki badań, podając liczby trudne do uwierzenia. Piszą wręcz o 30 proc. homoseksualistów wśród amerykańskiego duchowieństwa. Dane te uznaje za prawdopodobne największy znawca tej problematyki w USA, ks. prof. Donald Cozzens.

Wśród kapłanów prowadzących podwójne życie znalazł się również kard. McCarrick. Nie został on objęty badaniami przez John Jay College, ponieważ episkopat amerykański podczas posiedzenia w Dallas w 2002 r. postanowił, że z procedury sprawdzania wyłączeni zostaną biskupi. Pierwotnie był taki zamysł, ale się z niego wycofano.

INSTRUKCJA BENEDYKTA XVI

Osobą, która pierwsza wyciągnęła logiczne wnioski z „John Jay Report", był kard. Joseph Ratzinger. To właśnie do

eprasa.pl ef95b0f035

jego kongregacji w Rzymie spływały wszystkie dane na temat nadużyć wobec nieletnich popełnianych przez duchownych. Jednocześnie nadchodziły tam inne ciekawe informacje, np. z Indii, gdzie nie istniał problem homoseksualizmu wśród duchowieństwa i gdzie niemal w ogóle nie dochodziło do przypadków pedofilii.

Dlatego kiedy rok później niemiecki kardynał został wybrany na papieża, postanowił niezwłocznie działać. Nieprzypadkowo pierwszym oficjalnym dokumentem za pontyfikatu Benedykta XVI stała się instrukcja zakazująca stanowczo przyjmowania do seminariów i dopuszczania do święceń „osób, które praktykują homoseksualizm, wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tzw. kulturę gejowską". Już samo wspieranie postulatów LGBT papież uznał więc za wystarczającą przyczynę, by zamykała ona drogę do kapłaństwa. W ciągu swojej posługi zdymisjonował aż 80 biskupów, w wielu przypadkach nie podając oficjalnych przyczyn, ale często jego decyzje łączone były przez publicystów katolickich ze wspomnianą instrukcją.

Choć od ogłoszenia owego dokumentu minęło 13 lat, pozostaje on jednym z najbardziej kontestowanych aktów papieskich. W krajach zachodnich biskupi nadal wyświęcają na księży homoseksualistów, mając pełną tego świadomość. Nic też dziwnego, że Benedykt XVI stał się dla środowisk gejowskich w Kościele wrogiem nr 1. Niektórzy watykaniści uważają, że to właśnie ta grupa zamieszana była w spisek przeciwko papieżowi. Ostatecznie na ławie oskarżonych zasiadł jedynie papieski kamerdyner Paolo Gabriele, który wziął całą winę na siebie, ale dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że za aferą Vatileaks nie mógł stać tylko jeden człowiek.

W 2016 r. w wywiadzie dla gazety „El Mundo" kard. Oscar Maradiaga, jeden z najbliższych współpracowników papieża Franciszka, powiedział wprost, że lobby gejowskie zinfiltrowało struktury watykańskie i jest to problem, z którym Kościół musi sobie poradzić.

CZAR GEJOWSKIEJ KULTURY

Dziś wielu hierarchów katolickich otwarcie wspiera „kulturę gejowską". Na przykład kard. Christoph Schönborn urządził niedawno w wiedeńskiej katedrze uroczyste nabożeństwo dla homoseksualistów z przemówieniami aktywistów gejowskich głoszących, że „nie ma znaczenia, kogo kochamy lub w kogo wierzymy". Tego typu przykłady można mnożyć.

Poparcie nie ogranicza się jednak tylko do wyrazów sympatii dla środowisk LGBT. W ostatnich latach nie ma właściwie tygodnia, by jakaś wpływowa postać świata katolickiego nie wezwała, aby Kościół przemyślał na nowo i zmienił swe stanowisko wobec homoseksualizmu. Wysuwane postulaty obejmują trzy obszary. Po pierwsze, należy zmienić ocenę moralną tego zjawiska i je zaakceptować. Po drugie, trzeba się zgodzić na zrównanie związków jednopłciowych z małżeństwami, łącznie z ich prawem do adopcji dzieci. Po trzecie, powinno się oficjalnie dopuścić homoseksualistów do święceń kapłańskich.

> W krajach zachodnich biskupi nadal wyświęcają na księży homoseksualistów, ignorując w ten sposób instrukcję papieża Benedykta XVI

Wspomniane żądania trudno określić inaczej niż mianem „homoherezji". Czy to, że zyskały sobie tak wielu zwolenników wśród katolickich biskupów, nie jest związane z wpływami „lawendowej mafii"? Z postulatami lobby LGBT sympatyzują otwarcie tacy kardynałowie amerykańscy jak Blaise Cupich, Joseph Tobin czy Donald Wuerl, uważani za protegowanych kard. McCarricka.

Mechanizmem, który często w historii towarzyszył pojawianiu się różnych herezji, była chęć podniesienia własnych problemów, z którymi nie potrafiono sobie poradzić, do rangi obowiązującej normy. To samo dotyczy „homoherezji". Przywołajmy przykład abp. Remberta Weaklanda, metropolity Milwaukee w latach 1977–2002, który był gorącym zwolennikiem liberalnych zmian obyczajowych w Kościele. W 2009 r. wydał swe wspomnienia, w których nie tylko przyznawał się do relacji seksualnych z wieloma mężczyznami, lecz także gloryfikował swój homoseksualizm. Gdyby udało się zmienić katolickie nauczanie zgodnie z jego pragnieniami, mógłby się szczycić tym, że rozpustne życie, jakie prowadzi, nie jest grzechem, lecz oficjalnie usankcjonowaną normą.

Do wielu katolików w USA dopiero teraz zaczyna docierać, że najskuteczniejszym rozwiązaniem problemu pedofilii wśród duchownych jest wprowadzenie w życie obowiązującej, ale niestosowanej instrukcji Benedykta XVI. Z jednej strony trwa więc oswajanie wierzących z urokami homoseksualizmu, ale z drugiej – na skutek ujawnianych afer rośnie opór przeciw temu zjawisku. Jego wyrazicielem jest choćby kard. Raymond Burke, który mówi, że dziś „nie tylko wśród księży, lecz także wśród hierarchów istnieje »homoseksualna kultura«, która musi zostać wypleniona do samych korzeni".

Podobnego zdania jest bp Robert Morlino z Madison, który w swym liście duszpasterskim pisze: „Podjęto wiele starań, aby oddzielić akty należące do kategorii akceptowanych obecnie kulturowo czynów homoseksualnych od potępianych przez społeczeństwo aktów pedofilii. Do niedawna problemy Kościoła były przedstawiane wyłącznie jako problem pedofilii – pomimo oczywistych dowodów przeciwnych".

Zdaniem biskupa jest inaczej i należy stanąć w prawdzie: „Nadszedł czas, aby przyznać, że wśród hierarchii Kościoła katolickiego istnieje homoseksualna subkultura, która dokonuje wielkich zniszczeń w winnicy Pana". Według niego każdy, kto jest trwale dotknięty skłonnością homoseksualną, nie nadaje się do pełnienia urzędu kapłana.

eprasa.pl ef95b0f035



*Z **Henrim Malosse**, francuskim działaczem społecznym i gospodarczym, w latach 2013–2015 przewodniczącym Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego (EESC), rozmawia Aleksandra Rybińska*

Procedura z art. 7 TUE to inspirowana przez polską opozycję próba wpłynięcia przez Unię na wynik zbliżających się wyborów parlamentarnych nad Wisłą. Silna presja płynąca z Brukseli ma osłabić obecny rząd i ułatwić opozycji powrót do władzy

FOT. archiwum własne

Nieuczciwa zagrywka Brukseli

Był taki czas, gdy polityka europejska wydawała się stosunkowo prosta. Między elitami politycznymi głównego nurtu panował konsensus, że liberalne wartości są podstawą integracji, na temat jej podstawowych kierunków, a także przekonania, iż jest ona jednoznacznie korzystna. To się zmieniło. Unia Europejska przeżywa kryzys?

Henri Malosse: Jak najbardziej. Unia przeżywa poważny kryzys, a jest to kryzys zaufania. Wyniki wyborów ostatnich lat, m.in. w Wielkiej Brytanii – chodzi mi tu przede wszystkim o Brexit – Grecji, Danii, we Włoszech czy w Holandii pokazują, że dystans między obywatelami a brukselskimi elitami zwiększa się z każdym kolejnym dniem. Ludzie stracili zaufanie do UE. Brukselskie elity o tym wiedzą, ale nie wyciągają z tego żadnych wniosków.

Snują za to ponure wizje o populistach, którzy mogą rozsadzić UE. Niesłusznie?

Słusznie, ale ja nie lubię tego określenia „populizmy". Problem jest bowiem prostszy, niż to słowo sugeruje. W Unii jest zwyczajnie coraz więcej ludzi, którzy krytykują sposób jej funkcjonowania. W każdym systemie demokratycznym obywatele mają prawo krytykować sposób, w jaki są rządzeni. Nie jest żadnym „populizmem" krytykowanie doktryny globalistycznej, którą kierują się europejskie elity. UE przypomina dziś technokrację usiłującą się dopasować do zjawisk zachodzących na rynkach finansowych. Jest coraz większa przepaść pomiędzy kształtowaniem się opinii i woli politycznej obywateli a polityką faktycznie stosowaną do rozwiązywania palących problemów. Unia jest zwyczajnie coraz mniej demokratyczna. Unijni technokraci powinni się więc wsłuchiwać w krytykę, zamiast ją odrzucać.

To dlaczego tego nie robią?

To wynika z samej struktury Unii. Proces decyzyjny stał się tak złożony, że został zdominowany przez biurokrację. A celem każdej biurokracji jest reprodukcja, czyli własne przetrwanie. Ponadto wewnątrz tej biurokracji dominują ci, którzy są za otwartymi granicami i otwartymi rynkami bez ograniczeń, co nie leży dziś w interesie Europejczyków. Ponieważ biurokracja ta jest niedemokratyczna, nie jest także otwarta na krytykę.

UE to również państwa członkowskie. Złośliwcy twierdzą, że europejską wspólnotą nie kieruje wcale Bruksela, ale Berlin.

eprasa.pl ef95b0f035



Fot. Alexandros Lande/Shutterstock.com

I bez wątpienia tak jest. Większością unijnych instytucji kierują Niemcy. To oni mają też największą liczbę europosłów. W konsekwencji sekretarz generalny Parlamentu Europejskiego to Niemiec, szefowie głównych frakcji PE to Niemcy. Także Komisja Europejska jest w dużej mierze kontrolowana przez Berlin. To nie Jean-Claude Juncker jest tak naprawdę szefem Komisji, tylko sekretarz generalny KE Niemiec Martin Selmayr. KE działa pod wpływem i presją Niemiec, co skutkuje m.in. tym, że mamy drugie Niemcy w Brukseli. Zdałem sobie z tego aż nader dobitnie sprawę, będąc przewodniczącym Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego. I to przy sprawach dużych, i małych. Niemcy często kupują sobie przychylność mniejszych krajów członkowskich, obiecując, że przepchną ważne dla nich sprawy w zamian za poparcie w innych kwestiach. Nie wszystkie kraje mają taką możliwość, nierównowaga jest więc ogromna.

Polska stała się ostatnio chłopcem do bicia unijnych elit. Reforma systemu sprawiedliwości przeprowadzana przez PiS skutkowała uruchomieniem procedury z art. 7 TUE, a nad zmianami w Sądzie Najwyższym pochyli się niebawem Europejski Trybunał Sprawiedliwości. Ta ingerencja Brukseli w wewnętrzne sprawy Polski jest pana zdaniem uzasadniona?

Uważam, że to próba ukarania polskiego rządu za wyjście przed szereg, inspirowana zresztą przez polską opozycję. I wszyscy w Brukseli znakomicie zdają sobie z tego sprawę. Bo Polacy wybrali rząd, który jest krytyczny wobec Europy. Procedura z art. 7 dotyczy kwestii praworządności, ale moim zdaniem to tylko pretekst. Polska przestała być potulna, a ponieważ jest dużym i ważnym krajem w regionie, postanowiono zrobić z niej przykład. Dla innych, którym mógłby przyjść do głowy bunt. Przyjrzałem się starannie reformie systemu sprawiedliwości w Polsce. Przybliża ona polskie sądownictwo do standardów panujących w innych krajach unijnych, choćby we Francji. O składzie francuskiego trybunału konstytucyjnego decydują politycy, co wynika bezpośrednio z konstytucji V Republiki. Nikt nie grozi w związku z tym Francji art. 7 TUE. W przypadku Polski mamy więc do czynienia z próbą wpłynięcia na wynik zbliżających się wyborów parlamentarnych. Silna presja płynąca z Brukseli ma osłabić obecny rząd i ułatwić opozycji powrót do władzy. To wysoce nieuczciwa zagrywka, niegodna instytucji europejskich.

To nie zmienia faktu, że Polska może to starcie przegrać.

Ależ skąd! Nie będzie jednomyślności w Radzie Europejskiej, a więc nie uda się nałożyć na Polskę sankcji przewidzianych w art. 7. To jest próba zastraszenia, nic więcej. Wątpię także, by Europejski Trybunał Sprawiedliwo-

eprasa.pl ef95b0f035

ści wydał wyrok, z którego by wynikało, że Bruksela może ingerować w kształt systemów sprawiedliwości i sądownictwa w krajach członkowskich. Bo to miałoby bardzo daleko sięgające skutki. Dla wszystkich krajów, nie tylko dla Polski. Podobnie jest z pomysłem Komisji, by powiązać kwestię przestrzegania zasad praworządności z wypłatą funduszy unijnych na lata 2021–2027. To nie przejdzie w Radzie UE. Patrząc na ten cały spór, widzę wyłącznie próbę zastraszenia Polski wszelkimi dostępnymi środkami. I zostały one chyba już wyczerpane.

Zbliżają się wybory do Parlamentu Europejskiego. Tradycyjne partie obawiają się, że poniosą w nich duże straty. Jakie zmiany mogą przynieść te wybory?

Przede wszystkim zmianę układu sił. Przyszły europarlament będzie się prawdopodobnie bardzo mocno różnił od obecnego. Teraz mamy koalicję między Europejską Partią Ludową a Socjalistami, zarządzającą PE zresztą już od prawie 50 lat. Grupa Socjalistów prawdopodobnie dotkliwie się skurczy. EPL może się rozpaść na różne frakcje, bo łączy obecnie tak różne partie jak niemieckich chadeków i węgierski Fidesz. Napięcia podziały będą się mnożyć. Dojdzie do dekompozycji PE. To stanowi oczywiście duże zmartwienie dla brukselskich technokratów, bo dotąd mieli do czynienia z bardzo potulnym europarlamentem, chętnie i często zatwierdzającym propozycje KE. Po wyborach może się to zmienić. A te zmiany będą dotyczyły również wyboru przyszłej Komisji. Jak dotąd takie sprawy były załatwiane między Berlinem a Paryżem, PE zaś je zatwierdzał. Jeśli skład europarlamentu znacząco się zmieni, nie będzie to już takie łatwe.

Polska też będzie miała pewien problem. Wraz z Brexitem brytyjscy europosłowie opuszczą grupę, którą tworzą wraz z PiS. Były dyskusje o wejściu partii Jarosława Kaczyńskiego do Europejskiej Partii Ludowej, ale nic konkretnego z nich nie wynikło. Pojawia się pytanie: z kim tworzyć frakcję?

Na to pytanie powinno odpowiedzieć PiS. Widzę jednak dwa możliwe wyjścia: wejść do EPL i wzmocnić w niej skrzydło krytyczne wobec Europy, tworzone przez Fidesz oraz część CDU/CSU. Wówczas niektóre partie bardziej euroentuzjastyczne zapewne opuściłyby EPL. Wynikiem byłoby powstanie bardziej konserwatywnej i bardziej prospołecznej europejskiej chadecji. Drugą opcją jest stworzenie wspólnej grupy z nowymi eurosceptycznymi partiami, choćby włoską Ligą Północną Matteo Salviniego. Liga i Fidesz już mocno się do siebie zbliżyły. Francuski Front Narodowy zaś mocno ewoluuje. W stronę zdecydowanie mniej prorosyjską i także mniej eurosceptyczną. Tu również otwierają się nowe możliwości. Parlament Europejski potrzebuje prawdziwie konserwatywnej prawicy. I centrum tej nowej prawicy mogłoby stanowić PiS.

> Przyjrzałem się reformie systemu sprawiedliwości w Polsce. Przybliża ona polskie sądownictwo do standardów panujących w innych krajach unijnych, choćby we Francji

Prezydent Francji Emmanuel Macron liczy na stworzenie nowej centrystycznej siły w PE. I nie szczędzi Polsce krytyki. To już zresztą pewna tradycja we francuskiej polityce. Równie krytyczni byli Chirac, Sarkozy i Hollande. Dlaczego?

Nie zawsze tak było. W latach 80. XX w. wsparcie dla Polski walczącej o wolność było we Francji ogromne. Także w latach 90. współpraca między Polską a Francją rozwijała się bardzo dobrze, potem coś jakby się zepsuło. Wydaje mi się, że odpowiedzialność leży po obu stronach. Relacje trzeba pielęgnować. Po stronie polskiej, wydaje mi się, podjęto w pewnym momencie decyzję, że najważniejszym partnerem są Niemcy. Szczególnie widoczne było to za rządów Platformy Obywatelskiej. A reszta wynika zwyczajnie z braku komunikacji. To prowadzi często do nieporozumień, jak za czasów Sarkozy'ego i Chiraca. Jeśli chodzi zaś o Macrona, to postanowił on iść w ślad za Brukselą. Mogę jednak panią zapewnić, że wyrażane przez niego opinie są opiniami elit politycznych, a nie zwykłych Francuzów. Dobre relacje można zresztą odbudować, choćby za pomocą społeczeństwa obywatelskiego.

Czy UE ma jeszcze jakąś przyszłość? Bo wydaje się, że utknęła na dobre w miejscu, niezdolna do reform i rozwiązywania pilnych problemów, jak choćby kryzys imigracyjny.

Myślę, że Unia nie ma obecnie przyszłości. Potrzebna jest radykalna i głęboka reforma. A nie dojdzie do niej bez poważnego kryzysu. Na pewno UE się nie zreformuje, będąc głucha na krytykę i robiąc dalej to, co obecnie robi. Musi dojść do serii wstrząsów, by w Brukseli ktoś zaczął kwestionować obecny kształt Wspólnoty i coś mogło się zmienić. Pierwszym takim wstrząsem będą wybory do Parlamentu Europejskiego. Osłabienie partii proeuropejskich. Mam nadzieję, że da to impuls do zmian. Jeśli nie, Unia wejdzie w fazę powolnego upadku. Smuci mnie to zresztą bardzo, bo poświeciłem konstrukcji europejskiej swoje życie. Ale co mogę zrobić? Jeśli brukselskie elity dalej będą głuche na krytykę Unii, może ona upaść jak inne imperia przed nią, choćby imperium sowieckie, nawet jeśli, przyznaję, to porównanie jest trochę kulawe. Jestem pesymistą na krótką metę i optymistą na długą metę, bo Europa jest, moim zdaniem, potrzebna, jednak w innym kształcie niż obecnie.

eprasa.pl ef95b0f035

Czyżby sabotaż?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy słyszymy Mercedes, od razu wiemy, że chodzi o niemiecką markę; gdy słyszymy – Peugeot, jasne jest, że to Francuzi, Samsung – Koreańczycy, Sony – Japończycy, IKEA – Szwedzi, Citibank – Amerykanie. Można tak wymieniać jeszcze bardzo długo, skacząc po różnych światowych markach oraz branżach, ale i tak nie natrafimy na nic, co mogłoby się skojarzyć przeciętnemu cudzoziemcowi z Polską.

Zaabsorbowani walką polityczną nie dostrzegamy wielu innych, mniej widowiskowych, frontów wojny przeciwko PiS. Jeden z nich skierowany jest przeciw dużym polskim firmom. Atak na nie ma służyć skompromitowaniu rządowej strategii rozwoju Polski

Przez prawie 30 lat od upadku komunizmu nie zdołaliśmy bowiem zbudować żadnej wielkiej narodowej marki. Nie zdołaliśmy i nie zdołamy, przynajmniej tak długo, jak długo nie zgromadzimy jako społeczeństwo wystarczającego kapitału, który umożliwiłby takim firmom globalny rozwój. To zadanie na całe dekady. Państwa zachodnie akumulowały kapitał przez stulecia, wschodnim tygrysom, takim jak Korea Południowa, zajęło to wprawdzie kilkadziesiąt lat, ale ceną tego sukcesu były lata brutalnej dyktatury oraz ogromne nierówności.

Nie oznacza to oczywiście, że nie powstały w ostatnim ćwierćwieczu w Polsce żadne prosperujące firmy, ale po wspięciu się do wyższej ligi zwykle musiały stawiać czoła wielokrotnie potężniejszym konkurentom. Bo gdy w końcu rozwinęły one szeroko skrzydła, to na pewnym etapie ich rynkowej ekspansji zwykle okazywało się, że brakuje im paliwa (kapitału) na dalszy lot. I pozostawała im smutna alternatywa: albo upaść, albo znaleźć brakujące środki za granicą.

Mamy tu do czynienia z błędnym kołem, bo z braku solidnego krajowego kapitału polska gospodarka ciągle nie jest w stanie przekroczyć bariery rozwojowej i podjąć realnej walki konkurencyjnej z bogatszymi państwami.



Fot. mesoyka/Shutterstock.com

eprasa.pl/a/95b6f035

CASUS SOLARISA

Dobrym przykładem takiego błędnego koła jest historia Solarisa – największego polskiego producenta autobusów – do niedawna bardzo obiecującego kandydata do miana światowej polskiej marki. Do niedawna, bo na przełomie czerwca i lipca dowiedzieliśmy się, że Solaris nie będzie już dłużej polską firmą. Przedsiębiorstwo zostało w całości sprzedane za ok. 300 mln euro hiszpańskiemu koncernowi CAF.

Przyczyną sprzedaży Solarisa nie były kłopoty firmy. Wręcz przeciwnie, jest ona uznanym europejskim producentem autobusów, ma pełen portfel zamówień i mogłaby ich mieć jeszcze więcej. Problem jest inny – Solarisowi po prostu zabrakło środków na dalsze inwestycje. A to oznacza, że nie jest w stanie wskoczyć na wyższy poziom rozwoju, wejść do najwyższej ligi, w której mógłby podjąć walkę z największymi rywalami, takimi jak np. niemiecki Evobus (producent autobusów ze znaczkiem Mercedesa). O skali różnicy kapitału, jakim dysponują obaj producenci, może świadczyć to, że Solaris – przy obecnym poziomie inwestycji – może zrealizować 1 550 zamówień rocznie, podczas gdy Evobus dla samego Berlina wyprodukuje niebawem 950 autobusów. Czy Solaris nie mógłby wziąć takiego zamówienia jak Evobus? Technicznie jak najbardziej, ale finansowo nie ma szans, aby rozwinąć produkcję na tak ogromną skalę. Stąd decyzja o sprzedaży firmy w ręce hiszpańskiego koncernu.

CAF, który jest producentem taboru kolejowego i tramwajowego, ma przejąć 100 proc. udziałów w Solarisie. Kupno polskiej firmy jest dla Hiszpanów okazją, aby wejść na rynek autobusowy i stać się w przyszłości jednym z czołowych europejskich gigantów w branży. Solaris miał onegdaj podobną strategię jak CAF. Dziewięć lat temu również wprowadził do swojego portfolio tramwaje (kursują z powodzeniem w Poznaniu, Olsztynie oraz w kilku niemieckich miastach) i miał nadzieję, że dołączy do grona transportowych potentatów w Europie. Tak się jednak nie stało.

Historia Solarisa pokazuje kapitałową niemoc polskich producentów. Nawet najlepsze technologie (Solaris jest jednym z prekursorów w dziedzinie stosowania napędów elektrycznych) i doskonałe zarządzanie na niewiele się zdadzą, jeśli rodzimym firmom będzie brakowało pieniędzy na rozwój.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Czy nie ma tu żadnych innych – poza zagranicznymi – źródeł finansowania? Na razie jedynym poważnym źródłem rodzimego kapitału jest państwo. Pomocą dla polskich przedsiębiorstw ma być utworzony w 2016 r. Polski Fundusz Rozwoju. Założenie jest słuszne: dobrze rokujące na przyszłość przedsiębiorstwo uzyskuje od PFR środki, dzięki czemu może pozostać w grze, a jeśli odniesie sukces rynkowy, przyniesie to zwrot zainwestowanych pieniędzy, a być może i niezłe zyski do skarbu państwa.

> Hejt w antyrządowych mediach uderza głównie w firmy państwowe lub te spośród prywatnych, które korzystają z pomocy państwa

Nie zawsze to jednak działa. W przypadku Solarisa nie zadziałało. Pojawiły się nawet – nieoficjalnie – informacje, że PFR wystosował niezłą ofertę przejęcia firmy, ale właściciele ją odrzucili, wybierając Hiszpanów. Mieli do tego prawo, ale – z drugiej strony – trudno oczekiwać, że pojawią się u nas silne marki, z których Polska będzie dumna, jeśli prywatni właściciele nie będą myśleć w podobnych kategoriach. Bez odrobiny patriotyzmu gospodarczego nie da się przecież zbudować realnie konkurencyjnej gospodarki.

Być może odrzucenie oferty PFR miało inny wymiar. Przejęcie Solarisa z pewnością doskonale wpisywałoby się w deklarowaną przez rząd strategię wspierania rodzimych firm. Czyżby więc komuś zależało na porażce rządu? Na te pytania nie ma na razie odpowiedzi, ale ich postawienie jest uprawnione w kontekście nagonki prowadzonej na firmy, które korzystają ze wsparcia państwa lub uznawane są – słusznie czy niesłusznie – za symbol sukcesów obecnej ekipy.

WYBORCZA KONTRA PESA

Na początku sierpnia w „Gazecie Wyborczej" i w kilku innych mediach pojawiły się artykuły, w których przypuszczono atak na dużą polską firmę, która jest właśnie wyciągana z tarapatów przez PFR. Chodzi o bydgoską Pesę – największego producenta tramwajów oraz taboru kolejowego w Polsce. Artykuły zostały utrzymane w sensacyjnym tonie. „Tramwaje Pesy zagrażają bezpieczeństwu pasażerów" – mogliśmy przeczytać w „Wyborczej". Czy rzeczywiście?

Ataki na Pesę trwają już od dłuższego czasu. Firma wpadła w poważne tarapaty finansowe, prowadząc zbyt ekspansywną politykę. Poprzedni zarząd firmy przyjmował każde zlecenie z rynku, nawet niemożliwe do wykonania ze względu na zbyt wyśrubowane terminy i wymagania zleceniodawcy. Ostatecznie Pesa została przygnieciona liczbą zamówień. Część tramwajów i pociągów została dostarczona klientom po czasie i z niedoróbkami, a zamiast spodziewanych wielkich zysków przyszło jej zapłacić idące w miliony złotych kary umowne.

Odpowiedzialny za to prezes zarządu został odwołany, a przedsiębiorstwo znalazło się na krawędzi bankructwa. Można było pozwolić mu upaść albo przejść za bezcen w cudze ręce. Rząd postanowił jednak ruszyć Pesie z pomocą. Firma ma bowiem duże sukcesy eksportowe, m.in. realizowany właśnie kontrakt na 71 pociągów Link dla niemieckich kolei DB, 85 sprzedanych pociągów Atribo do Włoch (podpisano właśnie umowę na dostawy kolejnych 14) oraz kontrakty z Czechami, Węgrami, Rumunią, Litwą, Ukrainą i Rosją. Zniszczyć taki dorobek łatwo, odbudować – znacznie trudniej. Istnieje

eprasa.pl ef95b0f035



Fot. The_Pixel/Shutterstock.com

oczywiście ryzyko finansowe spowodowane opóźnieniem niemieckiego kontraktu z powodu wyjątkowo długich procedur homologacyjnych w Niemczech (skończyły się dopiero w tym roku), dlatego nie wszyscy w obozie rządowym śpieszą się z dokapitalizowaniem Pesy.

Oferta wsparcia ze strony rządu dla bydgoskiego producenta spotkała się jednak z gwałtowną reakcją w nieprzyjaznych prawicy mediach. „W PRL cały naród budował swoją stolicę, a teraz w państwie PiS cały naród musi ratować Pesę" – czytamy na portalu Koduj24. Zaskakujące jest to głębokie zaangażowanie „obrońców demokracji" w sprawy gospodarcze. Do tej pory ani KOD, ani inne środowiska antypisowskie – pomijając ich głośne ataki na program 500+ – nie były znane ze swojej „troski" o pieniądze podatnika. O co więc chodzi w tej walce z polską firmą?

Czym innym jest przecież chłodna analiza za i przeciw dokapitalizowaniu Pesy, a czym innym są ocierające się o czarny PR twierdzenia, że pasażerowie korzystający z tramwajów i pociągów ryzykują własnym życiem. Kolportaż tego rodzaju insynuacji może całkowicie zniszczyć reputację firmy i pociągnąć ją na dno (razem z miejscami pracy i zainwestowanymi już przez państwo publicznymi pieniędzmi). Trudno sobie wyobrazić podobne materiały np. o Mercedesie w czołowych mediach niemieckich. Albo o Lufthansie.

KOMU PRZESZKADZA LOT?

Wspominam o Lufthansie, bo obiektem zmasowanego hejtu – zwłaszcza na łamach należącego do niemiecko-szwajcarskiego wydawnictwa „Faktu" – stał się po raz kolejny LOT. Polski przewoźnik został oskarżony o to, że jego piloci ryzykują życiem pasażerów. Jako przykład podano lot czarterowy z Meksyku, podczas którego w dreamlinerze doszło do awarii silnika i samolot musiał lądować w Nowym Jorku. Na miejscu okazało się, że i drugi silnik wymagał serwisu. Wbrew kolportowanym informacjom piloci zachowali się zgodnie z obowiązującą wtedy procedurą (po tym locie została ona zmodyfikowana). Wszystko zakończyło się dobrze. To jednak nie zadowoliło niektórych hejterów, niemal miało się wrażenie, że żałują oni, iż nie doszło do wypadku.

> Wojna z „pisowskim państwem" i jego firmami jest na rękę wyłącznie tym, którzy chcą utrwalenia peryferyjnego statusu naszego kraju

Prawda jest taka, że część dreamlinerów rzeczywiście ma silniki z wadą fabryczną. Problem w tym, że takich samolotów na świecie lata co najmniej kilkadziesiąt, a producent silników, renomowana brytyjska firma Rolls-Royce, ma cały czas problem z trwałym wyeliminowaniem usterki. Zamiast tego silniki podlegają nieustannym przeglądom. Mówi się, że koszty odszkodowań, jakie będzie musiał wypłacić liniom lotniczym Rolls-Royce, mogą sięgnąć nawet miliarda funtów. Kłopoty z silnikami ma więc nie tylko LOT. Jeśli zatem adresować do kogoś pretensje, to raczej do producenta.

Polskie Linie Lotnicze atakowane są także za rosnące opóźnienia. Rzeczywiście przewoźnik ma z tym kłopot, ale wcale nie większy niż inni. Według danych Flight Stat za czerwiec LOT znalazł się na 19. miejscu z punktualnością, na poziomie 60 proc., Lufthansa zaś... na miejscu 20., z wynikiem 59 proc. Problem nie polega więc na krytyce, jeśli bywa ona uzasadniona, ale na przytaczaniu niepełnych informacji, tak aby przedstawić firmę w jak najgorszym świetle.

Dzisiaj LOT uchodzi za najszybciej rozwijającą się linię lotniczą w Europie. Może po prostu komuś zależy na tym, aby tak nie było.

GANGSTERSKIE METODY

Hejt antypisowców uderza głównie w firmy państwowe lub te spośród prywatnych, które korzystają z pomocy państwa. O ile państwowe przedsiębiorstwa są uważane za obce (pisowskie) i dość bezwarunkowo zwalczane, o tyle prywatnym daje się wybór. Przedsiębiorcom wysyła się sygnał, aby – w trosce o własne interesy i wizerunek firmy – unikali jakichkolwiek bliższych relacji z rządzącą prawicą. Nawet jeśli miałoby to oznaczać zahamowanie rozwoju i mniejsze zyski.

Działa tu ten sam mechanizm presji, jaki wywierany jest przez antypisowską opozycję na środowiska naukowe, artystyczne, prawnicze i wiele innych. Kto nie idzie z nami, ten jest bezlitośnie niszczony.

Polska gospodarka się rozwija. Rozwijałaby się jednak znacznie szybciej, z zyskiem dla całego społeczeństwa, gdyby nie była cynicznie wplątywana w bieżącą wojnę polityczną. Kiedy więc mówimy o słabości kapitałowej Polski, warto sobie uświadomić, że wojna z „pisowskim państwem" i jego firmami jest na rękę wyłącznie tym, którzy chcą utrwalenia peryferyjnego statusu naszego kraju.

eprasa.pl ef95b0f035



Na równi z ptakami

Człowiek od najdawniejszych czasów pragnął wzbić się w przestworza. Próbował z różnym skutkiem. Obecnie, dzięki dronom, możemy latać, ani przez chwilę nie przestając twardo stąpać po ziemi

Fot. Shutterstock



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Być może nie jest to dokładnie takie latanie, o jakim marzyli mityczny Dedal, XI-wieczny angielski benedyktyn Eilmer z Malmesbury czy nasz rodzimy, żyjący w Małopolsce pod zaborem austriackim, samouk-konstruktor Jan Wnęk. Drony, ze względu na niewielkie rozmiary, nie sprawią, że oderwiemy się od ziemi. Dzięki nim nie wzbijemy się nad okolicę, nie dołączymy do klucza lecących żurawi – nie osobiście.

Praktycznie każdy dron wyposażony jest w kamerę, z której obraz, w czasie rzeczywistym, jest przekazywany do pilota. Obserwując ekran smartfona lub podłączonego do aparatury sterującej tabletu spojrzymy na świat z zupełnie nowej i dotychczas dla większości z nas niedostępnej perspektywy. Szczególnie mocnych i realistycznych wrażeń dostarczą nam zsynchronizowane ze sprzętem gogle. Zakładając je, sprawimy, że zmysł wzroku opuści ciało i na pewien czas przeniesie się do pozostającego pod naszą kontrolą wielowirnikowca. Tym sposobem sięgniemy tam, gdzie wzrok nie sięga i w pewnym sensie zrealizujemy odwieczny sen człowieka o lataniu.

Pilotowanie drona dostarcza dużej dawki rozrywki, ale to, najczęściej niewielkie, urządzenie oferuje użytkownikom znacznie więcej. Wzbić się na wysokość 100 m i spoglądać na miasto? Nie ma problemu. Nagrać zapierające dech w piersiach filmy krajobrazowe? Teraz to o wiele łatwiejsze. Zrobić zdjęcia działki z lotu ptaka? Sprawdzić stan dachu bez wspinania się na niego? To wszystko i o wiele więcej umożliwiają nawet najprostsze modele dronów.

Wraz z rozwojem wielowirnikowców stale poszerza się zakres prac, które za ich pomocą mogą być wykonywane. Stale rosnący popyt na usługi przy wykorzystaniu bezzałogowców sprawia, że na rynku nieustannie przybywa firm je świadczących. Obecnie w Polsce najwięcej podmiotów oferuje filmowanie i fotografowanie (m.in. ślubów) z powietrza. Część przedsiębiorców decyduje się na zainwestowanie większych środków w bardziej zaawansowane konstrukcje, które znajdują wykorzystanie w rolnictwie, leśnictwie, energetyce, geodezji i służbach ochrony. Armia i inne służby przodują w dziedzinie wykorzystania wysoce specjalistycznych urządzeń i pod tym względem są samowystarczalne. Instytucje te posiadają parki maszyn, (dla których może być trudno znaleźć zastosowanie na rynku cywilnym) i własnych ich operatorów.

LATAĆ KAŻDY MOŻE?

Rozwijający się rynek usług droniarskich dla wielu może być szansą i bodźcem do kupna własnego urządzenia i rozpoczęcia biznesu w tej branży. W praktyce nie jest to takie proste. By legalnie obsługiwać bezzałogowy statek powietrzny, bo tak kwalifikuje drony polskie ustawodawstwo, i czerpać z tego korzyści, należy uzyskać do tego odpowiednie kwalifikacje.

Co w przypadku, w którym nasz wielowirnikowiec jest jedną z prostszych konstrukcji i nie zamierzamy wykorzystywać go komercyjnie? Teoretycznie zaraz po rozpakowaniu i zapoznaniu się z jego instrukcją możemy wyjść na zewnątrz (nie polecam wykonywania pierwszych lotów w zamkniętych pomieszczeniach – szkoda drona i tego, o co się nim rozbijemy) i rozpocząć przygodę z lotnictwem.

W praktyce, jak to często w życiu bywa, to zależy – w tym przypadku od masy startowej urządzenia i miejsca,

eprasa.pl ef95b0f035

w którym zamierzamy latać. W odległości poniżej 1 km od lotnisk obowiązuje całkowity zakaz lotów jakimikolwiek modelami. Jeżeli dron waży mniej niż 600 g i jesteśmy wystarczająco oddaleni od granic lotniska, to mamy prawo latać nim na wysokość nie większą niż 30 m lub do wysokości najwyższej przeszkody (drzewa, budynki) znajdującej się w odległości do 100 m od nas. Podczas lotu pilot urządzenia nie może stracić go z oczu. Zabronione jest wlatywanie za przeszkody i oddalanie się poza zasięg wzroku. To najważniejsze, choć nie wszystkie zasady, do których przestrzegania jesteśmy zobowiązani.

Jeszcze więcej obostrzeń występuje w przypadku UAV, których masa startowa przekracza 600 g. Zapisy rozporządzenia ministra infrastruktury i budownictwa regulującego tę kwestię właściwie wykluczają możliwość latania takimi dronami w mieście. Nie robią tego wprost, ale wymóg zachowywania poziomej odległości nie mniejszej niż 100 m od zabudowy i zgromadzeń ludzkich oraz 30 m od osób i pojazdów w praktyce do tego się sprowadza. Ponadto bez zezwolenia Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej cięższymi modelami można latać dopiero powyżej 6 km od ogrodzenia lotnisk.

DRON W MIEŚCIE

Pomimo dość restrykcyjnych przepisów drony w miastach jednak latają i robią to legalnie. Jest to możliwe po zdobyciu odpowiedniego „prawa jazdy".

Będąc posiadaczem świadectwa kwalifikacji UAVO, zyskujemy znacznie szersze możliwości wykonywania lotów. Przede wszystkim legitymując się tym dokumentem, mamy prawo samemu oceniać bezpieczne odległości, jakie należy zachować od ludzi czy budynków. Oczywiście nadal obowiązują nas strefy lotnicze i ich ograniczenia – niezależnie od posiadania lub nie uprawnień przez operatora dron stale pozostaje uczestnikiem przestrzeni powietrznej, takim samym jak śmigłowce czy samoloty. Co więcej – bezzałogowe statki są na ostatnim miejscu lotniczej hierarchii i ich piloci są zobowiązani ustępować pierwszeństwa wszystkim innym obiektom latającym.

Jak zdobyć świadectwo kwalifikacji? Podobnie jak w przypadku zwykłego prawa jazdy – należy mieć skończone 18 lat, ukończyć kurs, poddać się badaniom lekarskim i zaliczyć egzaminy teoretyczny i praktyczny. Szkolenie na pilota drona obecnie jest znacznie krótsze niż w przypadku kierowców. Składa się ono z części wykładowej, najczęściej jest to jedno kilkugodzinne spotkanie, podczas którego przedstawiane są kwestie m.in. prawa lotniczego, budowy wielowirnikowców, metereologii i zasad bezpieczeństwa. Drugim etapem kursu są zajęcia praktyczne. Każdy kursant przed przystąpieniem do egzaminu musi wylatać minimum cztery godziny pod opieką instruktora, zazwyczaj są to dwa spotkania po dwie godziny.

Przed przystąpieniem do pierwszych lotów należy wykonać lotnicze badania lekarskie i uzyskać potwierdzenie zdolności do pilotowania urządzeń od lekarza orzecznika. Podejmuje on decyzje na podstawie wyników badań morfologicznych, wzroku, słuchu, EKG i ogólnego wywiadu. Wszystkie niezbędne czynności można wykonać w czasie wizyty w jednym z ośrodków medycyny lotniczej – całość trwa około 3 godzin.

Ostatnim krokiem przed przystąpieniem do egzaminów jest wykupienie modelarskiej polisy ubezpieczeniowej od odpowiedzialności cywilnej. Koszt takiego ubezpieczenia to od kilku złotych za dzień do kilkuset za cały rok.

Egzamin teoretyczny przeprowadzany jest w formie pisemnego testu, na rozwiązanie którego jest godzina z możliwością powrotu do poprzednich pytań. Osoby mające za sobą szkolenie w jednym z ośrodków kształcenia pilotów UAV praktycznie w 100 proc. osiągają pozytywny wynik. Część praktyczna odbywa się w wyznaczonym przez egzaminatora miejscu. Zaczyna się od sprawdzenia stanu technicznego drona i omówienia procedur awaryjnych. Następnie kandydat wzlatuje urządzeniem w powietrze i sprawdza, czy prawidłowo reaguje ono na komendy aparatury sterującej. Jeżeli wszystko jest w porządku, rozpoczyna się główna część sprawdzianu – wykonywanie poleceń egzamininatora. Najczęściej jest to latanie po okręgu czy trójkącie w pionie, utrzymywanie bezzałogowca w jednym miejscu przy wyłączonych systemach GPS, które kontrują wiatr czy latanie bokiem lub tyłem w określonych kierunkach świata i lądowanie.

Po zdanym egzaminie otrzymujemy uprawnienia podstawowe do pilotowania dronów o masie startowej do 5 kg. Sam dokument to poświadczający wydaje Urząd Lotnictwa Cywilnego, który ma na to do 30 dni roboczych.

Uprawnienia można poszerzać o loty BVLOS (głównie do zastosowań komercyjnych) czy o kolejne kategorie masy startowej urządzenia.

Jeżeli myślimy o kupnie drona, to naprawdę warto zastanowić się też nad ukończeniem kursu VLOS. Zdobyta w ten sposób wiedza przede wszystkim uświadamia, że bezzałogowiec nie jest zwykłą zabawką. Dzięki szkoleniu poznamy reguły, jakich musimy przestrzegać, pilotując wielowirnikowiec, by uniknąć łamania prawa (za loty w strefach zakazanych grozi nawet do 5 lat pozbawienia wolności) i przede wszystkim robić to bezpiecznie.

Operator drona w trakcie lotu o charakterze komercyjnym zobowiązany jest posiadać:
- dokument ze zdjęciem,
- świadectwo kwalifikacji UAVO,
- ubezpieczenie OC,
- aktualne badania lekarskie,
- założoną kamizelkę odblaskową.

Słownik pojęć

UAV – *Unmanned Aerial Vehicle* – bezzałogowe urządzenie latające, w skrócie dron;

UAVO – *Unmanned Aerial Vehicle Operator* – w skrócie operator drona;

RPAS – *Remotely Piloted Aircraft Systems* – uznany przez komisję europejską skrót oznaczający bezzałogowca;

VLOS – *Visual Line Of Sight* – loty dronem w zasięgu wzroku;

BVLOS – *Beyond Visual Line Of Sight* – loty dronem poza zasięgiem wzroku.

Aktualne przepisy regulujące loty dronów, zarówno w celach rekreacyjnych, jak i komercyjnych, zawarte są w rozporządzeniu ministra infrastruktury i budownictwa z dnia 8 sierpnia 2016 r. – odpowiednio załączniki: 6 (strony 3-5) i 6 a (strony 6-9).
Rozporządzenie znajduje się pod adresem: **dziennikustaw.gov.pl/du/2016/1317/1**

eprasa.pl ef95b0f035



DJI Inspire 2

Najbardziej zaawansowany dron służący do profesjonalnego filmowania w stajni chińskiego producenta DJI. Firma ta opanowała ok. 70 proc. światowego rynku bezzałogowców. Szeroka paleta jej produktów charakteryzuje się wysoką jakością i bezawaryjnością. Inspire 2 rozpędza się maksymalnie do 94 km/h. Dzięki specjalnym śmigłom i układowi grzewczemu ma możliwość wykonywania lotów do wysokości 5 000 m n.p.m. Oczywiście jest wyposażony w zestawy czujników zapobiegających zderzeniu z przeszkodami. Nagrywa filmy w jakości 5.2 K, umożliwia oddzielne sterowanie dronem i kamerą przez dwie osoby. Istnieje możliwość montażu na nim różnych kamer.

Masa: 3 290 g (bez kamery); **Maks. czas lotu:** 27 min; **Cena:** ok. 22 tys. zł (bez kamery)



AirSelfie

Według producenta tak właśnie ma wyglądać przyszłość zdjęć typu selfie. Nie z ręki, nie z tyczki a właśnie z mieszczącego się w kieszeniu drona. Urządzenie wielkości smartfona ma możliwość nagrywania filmów w rozdzielczości 1080 p i robienia 12-megapikselowych zdjęć. Zapisuje je na wbudowanej karcie pamięci o pojemności 16 GB. Strerowanie obywa się za pomocą telefonu komórkowego. AirSelfie możemy odlecieć maksymalnie na 20 m w dowolnym kierunku.

Masa: 80 g; **Maks. czas lotu:** 5 min; **Cena:** ok. 200 dol.



GoPro KARMA

Producent kamer sportowych GoPro przedstawił swój pomysł na drona. KARMA jest latającą platformą, do której instalujemy kamerkę GoPro razem z gimbalem. Po wylądowaniu możemy go odłączyć i koontynuować nagrywanie z ręki. Bezzałogowiec jest kompatybilny z GoPro wersji 6, 5 oraz 4 (z dedykowaną ramką). W komplecie znajduje się GoPro 6 oraz aparatura sterująca z wyświetlaczem. To istotna zaleta – do innych dronów często trzeba podłączać tablet lub smartfon, których oczywiście nie ma w zestawie.

Masa: 1 006 g (bez kamery); **Maks. czas lotu:** ok. 20 min; **Cena:** ok. 4,5 tys. zł



Goclever Transformer FPV

Obecnie jeden z najtańszych dronów do kupienia na polskim rynku. Niewielkie urządzenie, po złożeniu ramion mieszczące się na dłoni dorosłego człowieka rozpędza się do maksymalnie 30 km/h i umożliwia nagrywanie filmów o rozdzielczości 1280x720 pikseli. Nie jest wyposażony w czujniki zapobiegające zderzeniom. Sterowanie odbywa się za pomocą smartfona, na którym należy zainstalować dedykowaną aplikację. Ze względu na niską cenę może być pierwszym dronem, na którym będziemy uczyć się latać.

Masa: poniżej 600 g; **Maks. czas lotu:** 24 min; **Cena:** ok. 300 zł



Parrot Bebop 2

Najpopularniejszy dorn francuskiego producenta jest konstrukcją ze średniej półki. Jest już wyposażony w odbiorniki GPS i czujniki ultradźwiękowe, jednak jakość wykonania nie jest najwyższa. Przede wszystkim mógłby być mniej styropianowy. Stablina konstrukcja ramion podnosi jego wytrzymałość. Zamontowana kamera nagrywa filmy w rozdzielczości 1920x1080 pikseli i rejestruje 12-megapikselowe zdjęcia, które zapisywane są na karcie pamięci microSD. Sterowanie odbywa się za pomocą smartfona.

Masa: 500 g; **Maks. czas lotu:** ok. 25 min; **Cena:** ok. 1,9 tys. zł

eprasa.pl ef95b0f035



To państwo pozwoliło bankom na frankowe eldorado

Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła, jak system ochrony konsumentów zadziałał przy kredytach frankowych. Okazało się, że zadziałał źle. Państwo pozwoliło bankom na zbyt wiele – tak NIK zatytułowała informację o wynikach kontroli systemu ochrony konsumentów, którzy wzięli kredyty we frankach szwajcarskich. Dziś za skutki braku działań państwowych instytucji płacą jednak nie bankowcy, ale frankowicze

Zdaniem NIK to właśnie zbyt słaba reakcja instytucji takich jak Komisja Nadzoru Finansowego czy Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów sprawiła, że w latach 2005–2010 zawarto prawie milion umów kredytów we frankach o wartości ok. 200 mld zł.

Jeden z zarzutów, jakie stawia NIK, dotyczy słabej reakcji KNF na to, co działo się na rynku kredytów we frankach. Kontrolerzy Izby uznali, że KNF doskonale zdawała sobie sprawę, iż masowe udzielanie kredytów frankowych może stanowić poważny problem dla rynku, ale ograniczała się jedynie do rekomendacji. Na dodatek niektóre z nich nie pokazywały w pełni skali ryzyka – przykładem może być rekomendacja, w której nadzór nałożył na banki obowiązek pokazywania klientom zainteresowanym kredytami frankowymi symulacji, jak bardzo zmienią się ich obciążenia spłacanymi ratami, jeśli złoty w stosunku do franka szwajcarskiego osłabi się o 20 proc. Tymczasem od 1990 r. – przypomina NIK – złoty osłabił się w stosunku do franka o ponad 400 proc.

Dopiero z czasem – zwraca uwagę Izba – nadzór finansowy zaostrzał swoje rekomendacje, aż wreszcie udało się doprowadzić do sytuacji, kiedy kredyty frankowe zniknęły z rynku. To wszystko jednak trwało zbyt długo.

– W efekcie działania KNF były niewystarczające, żeby na wczesnym etapie wyeliminować nieprawidłowości w działaniach banków, szczególnie w okresie najintensywniejszego udzielania tych kredytów w 2008 r. – podsumowała NIK.

CO MOŻE KNF

Ten zarzut dotyczy jednak nie tyle Komisji Nadzoru Finansowego, ile prawa o nadzorze, niedającego tej instytucji żadnych narzędzi, które mogłyby zostać wykorzystane do ochrony interesów konsumentów na rynku finansowym. A – co zaznacza Jacek Barszczewski, rzecznik KNF, w komentarzu do raportu NIK przesłanym redakcji – dla nadzoru finansowego konieczność postępowania zgodnego z prawem jest wyjątkowo ważna.

eprasa.pl ef95b0f035



Fot. Julita Szewczyk, shutterstock

„Podkreślenia wymaga fakt, że KNF podejmowała wiele systematycznych działań dotyczących kredytów objętych ryzykiem walutowym w ramach przypisanych jej przepisami prawa kompetencji. KNF nie jest jednak organem powołanym do ochrony konsumentów. KNF jest organem administracyjnym sprawującym nadzór nad rynkiem finansowym, w oparciu i na zasadach określonych w przepisach ustawy o nadzorze nad rynkiem finansowym oraz przepisach innych ustaw sektorowych. KNF jako organ władzy publicznej, zgodnie z zasadą praworządności, obowiązana jest działać na podstawie i w granicach prawa, a zatem może podejmować w stosunku do podmiotów nadzorowanych działania mające charakter sankcji administracyjnych jedynie w przypadkach wyraźnie określonych w przepisach ustaw wyznaczających zakres przedmiotowy oraz rodzaj środków nadzoru" – napisał Barszczewski.

Mało tego, NIK zwraca uwagę, że KNF nadal nie ma takich narzędzi. We wnioskach, jakie płyną z kontroli, czytamy, że konieczne jest „doprecyzowanie zadań i uprawnień Komisji Nadzoru Finansowego w zakresie ochrony uczestników rynku finansowego bądź taka redefinicja celów, by mogły być one skutecznie realizowane przy obecnych uprawnieniach".

Taka zmiana w przepisach o KNF mogłaby nie tylko uchronić frankowiczów, lecz także umożliwić nadzorowi interwencje w przypadku innych toksycznych produktów finansowych. Przypomnijmy, że w tym samym czasie, co kredyty frankowe, sprzedawane były na potęgę polisolokaty, a nieco później banki sprzedawały na masową skalę opcje walutowe firmom, co skończyło się falą bankructw.

CO ROBIĄ BANKI

W swoim raporcie NIK zwraca uwagę na jeszcze większy problem – że banki nadal czerpią korzyści z niezgodnych z prawem zapisów, jakie znalazły się w umowach o kredyty frankowe. Chodzi o niezgodne z prawem klauzule abuzywne. Jako takie nie powinny obowiązywać, a jest inaczej. Klauzula abuzywna znika z umowy banku z osobą, która sprawę wniosła do sądu, poza tym zapis nie może być stosowany w przyszłych umowach. Jednak wszyscy klienci, którzy w umowach kredytowych mają bezprawne zapisy, nadal według nich opłacają raty. Mimo że bank doskonale wie, iż nie ma ku temu podstaw prawnych.

Zdaniem Izby konieczne jest „ustawowe wyeliminowanie skutków pobierania przez banki od konsumentów korzystających z mieszkaniowych kredytów objętych ryzykiem walutowym nienależnych świadczeń z tytułu stosowania w umowach klauzul abuzywnych (po rozstrzygnięciu przez Sąd Najwyższy rozbieżności dotyczących zakresu i skutków abuzywności występujących w umowach)".

A takich niezgodnych z prawem zapisów, stosowanych nadal przez banki wobec frankowiczów, jest wiele, zaczynając od nadmiernego spreadu stosowanego przez instytucje finansowe, poprzez nielegalnie pobierane opłaty za ubezpieczenie kredytu, aż po zbyt wysokie ceny polis, do zakupu których zmuszani są kredytobiorcy. Dla wielu osób już samo zakończenie opłacania tych wszystkich kosztów byłoby ogromną pomocą, jeszcze większe znaczenie miałby zwrot tych bezprawnie zabranych pieniędzy.

O tym, jak ważna jest zmiana prawa, świadczy – jak wynika z raportu – choćby to, jak trudne było i jak długo trwało wykazanie, że zapis umowy jest niezgodny z prawem.

„Negatywny wpływ na ochronę kredytobiorców miała także konieczność eliminowania niewłaściwych praktyk

eprasa.pl ef95b0f035

banków w drodze długotrwałych postępowań sądowych" – czytamy w opinii NIK.

Tymczasem w kwietniu 2016 r. doszło do zmiany ustawy, dzięki której Najwyższa Izba Kontroli mogła wskazywać klauzule abuzywne w drodze postępowania administracyjnego, a nie sądowego.

CO MOGĄ UOKiK ORAZ RZECZNIK FINANSOWY

„Wzrosła wówczas aktywność UOKiK w zakresie weryfikacji prawidłowości praktyk stosowanych przez banki i wspierania kredytobiorców w sporach z bankami" – napisała NIK.

Przedstawiciele UOKiK zwracają uwagę, że takich zmian w przepisach związanych z ochroną konsumentów było ostatnio więcej.

– System ochrony konsumentów, w tym nasze kompetencje, uległ na przełomie ostatnich lat zasadniczym zmianom. Wystarczy spojrzeć na zmiany dotyczące interpretacji przez sądy samych klauzul abuzywnych. Początkowy okres kontroli nie może być oceniany przez obecnie posiadane przez nas możliwości regulacyjne oraz zmiany, jakie zostały wprowadzone w odpowiedzi na problemy zaistniałe na rynku. Opisując system ochrony konsumentów i działania UOKiK, NIK najlepiej ocenia okres ostatnich dwóch lat. Cieszy to, że Izba postrzega pozytywnie nasze obecne działania, w tym prawie 700 istotnych poglądów wydanych w ostatnich latach właśnie dotyczących rynku finansowego. To wynik wielu zmian, również legislacyjnych – mówi Małgorzata Cieloch, rzecznik prasowa UOKiK.

Tyle że nawet dobrze zaprojektowane instytucje mają ogromny problem z wymuszeniem zmian na bankach. Przykładem jest Rzecznik Finansowy, instytucja powołana, aby wspomagać klientów w sporach z bankami. Jedną z broni Rzecznika jest interwencja w instytucji finansowej, która prowadzi spór z klientem. Okazuje się jednak, że banki po prostu ignorują działania RF.

„Na 1 214 wniosków skierowanych do Rzecznika, dotyczących podjęcia działań w postępowaniu interwencyjnym w sprawach związanych z kredytami objętymi ryzykiem walutowym, w 34 przypadkach sprawa została częściowo lub w pełni rozpatrzona zgodnie z wnioskiem klienta" – informuje NIK. Kontrolerzy nie mają wątpliwości, że niska skuteczność wynika po prostu z postawy banków.



Dlatego w raporcie jest mowa o tym, że banki nie tylko powinny przestać czerpać korzyści z oszukańczych zapisów, jakie wprowadziły do umów kredytów frankowych, lecz również konieczne jest nałożenie odpowiedzialności na członków zarządów. „Wprowadzenie osobistej odpowiedzialności zarządzających instytucjami finansowymi za naruszenie przepisów z zakresu ochrony konsumentów" – czytamy w raporcie NIK.

Konieczność wprowadzenia takiego rozwiązania podkreśla także UOKiK. – Pozytywnie w raporcie oceniamy przede wszystkim chęć wprowadzania sankcji finansowych na osoby fizyczne w przypadku naruszenia zbiorowych interesów konsumentów, np. za praktyki missellingu. To postulat zgłaszany przez nas od kilku lat i chętnie zastosujemy go w praktyce, o ile będzie wola wprowadzenia go do systemu prawnego. Byłoby to realne narzędzie w przypadku złamania prawa przez zarządzających bankami lub innymi instytucjami finansowymi – wyjaśnia Małgorzata Cieloch z UOKiK.

Rzeczywiście, jeszcze się nie zdarzyło, aby jakiś członek zarządu firmy z branży finansowej poniósł odpowiedzialność za nieuczciwe traktowanie konsumentów, mimo że są tysiące wyroków sądowych będących dowodem nadużywania pozycji przez banki czy firmy ubezpieczeniowe.

CO MOGĄ SĄDY, JAK ZMIENIĆ PRAWO

Jednak wnioski płynące z raportu NIK są tak niekorzystne dla banków, że mogą skłonić parlamentarzystów do zaostrzenia przepisów.

– Senacka komisja budżetu i finansów publicznych wskazała na problem kredytów frankowych i na kwestie dotyczące prawidłowego nadzoru. Cieszę się, że kolegium NIK przyjęło ten raport do wykonania – mówi senator Grzegorz Bierecki, przewodniczący tej komisji. – Dodajmy, że raport NIK jest już drugim dokumentem, który wskazuje na problemy z kredytami frankowymi. Wcześniej był raport Rzecznika Finansowego. To są dwa raporty, które posłowie muszą wziąć pod uwagę podczas prac nad ustawą pana prezydenta – podsumowuje Grzegorz Bierecki.

W ocenie polityka Prawa i Sprawiedliwości raport NIK jest miażdżący nie tylko dla banków, lecz i dla polskiego wymiaru sprawiedliwości. – Rok temu wspominałem, że frankowicze powinni się modlić o dobre sądy w Polsce. Mam nadzieję, że Sąd Najwyższy znajdzie czas, aby rozstrzygnąć te kwestie, bo ludzie zbyt długo już na to czekają. Polska jest ostatnim krajem w Europie, w którym problem ten nie został jeszcze rozwiązany – przypomina senator.

Frankowicze jednak nie najlepiej oceniają działalność sądów. „Niestety polski wymiar sprawiedliwości wydaje wyroki odmienne od Sądów Najwyższych Niemiec, Słowenii, Hiszpanii czy Chorwacji. Tamtejsze sądy stosują w sposób właściwy przepisy chroniące konsumentów, wynikające z dyrektyw unijnych, w przeciwieństwie do wielu wyroków polskiego wymiaru sprawiedliwości" – czytamy w stanowisku Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu, które reprezentuje osoby poszkodowane przez instytucje finansowe.

Marek Siudaj, AC

eprasa.pl ef95b0f035



Co palacz wiedzieć powinien

*Z **Przemysławem Noworytą**, dyrektorem Polskiego Związku Plantatorów Tytoniu w Krakowie, rozmawia Edyta Hołdyńska*

Liczba palaczy spada, w przygotowaniu jest ustawa o ochronie zdrowia, obowiązuje zakaz informowania o alternatywnych wyrobach tytoniowych w Polsce. Jak radzi sobie z tym branża plantatorów tytoniu?

Przemysław Noworyta: Bronimy się przede wszystkim jakością surowca. Mamy najlepszy tytoń w Europie. Ta jakość jest powszechnie doceniana. Problemem są jednak złe regulacje. Potrzebne są zmiany w przepisach i poprawa opłacalności działalności branży. Przykładem dobrej zmiany jest korekta przepisów dotyczących akcyzy na susz tytoniowy, a konkretnie warunków uzyskania statusu pośredniczącego podmiotu tytoniowego. Z drugiej strony konieczne byłoby, aby w procedowanej obecnie ustawie zdrowotnej znalazł się zapis, który dałby szansę na pojawienie się na rynku nowatorskich wyrobów tytoniowych. Zapis umożliwiający informowanie konsumentów o mniejszej szkodliwości tego produktu. Jeżeli tak się nie stanie, to może się zdarzyć, że fabryki tytoniowe mające siedziby w Polsce, czyli cztery największe koncerny w Europie, przeniosą swoje siedziby do innych krajów. To byłaby katastrofa dla polskich plantatorów tytoniu.

Co dzisiaj powstrzymuje rozwój branży?

Są trzy główne bariery. To kwestia braku informacji o nowatorskich wyrobach tytoniowych, to słaba opłacalność produkcji tytoniu w Polsce oraz nierzetelni kupcy, którzy nie płacą w terminie albo w ogóle nie płacą za tytoń. Do tego dochodzą jeszcze wyjątkowo restrykcyjne przepisy (w zasadzie najostrzejsze w Europie), które miały uszczelnić obrót suszem, a w rzeczywistości mocno uderzyły w plantatorów.

Przepisy, o których pan wspomniał, miały ograniczyć szarą strefę tytoniową, uszczelnić lukę w budżecie. To się nie udało?

W efekcie ograniczono nam liczbę podmiotów kupujących w wolumenie produkcyjnym. A przypomnę, że zajmujemy drugie miejsce w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o produkcję tytoniu. Ograniczono liczbę podmiotów praktycznie do kilkunastu. I wydaje się, że jest to krąg zamknięty. Nikt nowy nie będzie się mógł zarejestrować, bo barierą są bardzo wysokie zabezpieczenia akcyzowe, jakie kupcy muszą wnosić. W ślad za tym idzie problem niepłacenia za tytoń, a to prawdziwa bolączka dla plantatorów.

Jak ten problem rozwiązać? Co skłoniłoby do zapłaty w terminie?

Wydaje się, że pomogłoby wprowadzenie do ustawy akcyzowej przepisów dyscyplinujących. Co roku pośredniczący podmiot wnoszący o przedłużenie wpisu do rejestru w Ministerstwie Finansów powinien być również weryfikowany pod względem ewentualnych zaległości w zapłacie za tytoń. Mam na myśli nie drobne poślizgi do 90 dni, ale zaległości półroczne i dłuższe. Można by wprowadzić system kar dyscyplinujących te podmioty.

Co zmienią w branży nowatorskie wyroby tytoniowe?

To dla nas z jednej strony bardzo duża szansa, bo należy zdawać sobie sprawę z tego, że rynek tradycyjnych wyrobów tytoniowych się kurczy. Palenie tytoniu w krajach UE z roku na rok spada. Chodzi oczywiście głównie o politykę prozdrowotną. Ale to także szansa dla plantatorów, budżetu państwa i dla zdrowia samych palaczy. Chodzi o szerokie rozpropagowanie nowatorskich wyrobów tytoniowych, które mogłyby zastąpić tradycyjne papierosy. Palacze powinni mieć dostęp do informacji, które potwierdzają, że nowatorskie wyroby tytoniowe mają mniejszą szkodliwość w porównaniu z tradycyjnymi. A takie badania certyfikowanych instytutów badawczych są.

Teraz prawo zabrania propagowania takich informacji. Dlaczego, pańskim zdaniem, to takie ważne?

To jest konieczne. Dziwnym trafem Ministerstwo Zdrowia, wiedząc o mniejszej szkodliwości tego typu wyrobów, nie chce się na to informowanie zgodzić. To działanie na szkodę zdrowia konsumentów, którzy nie mając informacji o tym, że jest coś, co może im mniej szkodzić, nie mogą się na to przestawić. W innych krajach takie komunikowanie jest dozwolone, regulowane i zdaje egzamin. Przesłaliśmy na ręce ministra Jana Ardanowskiego nasze wnioski odnośnie do projektu ustawy o zmianie ustawy o ochronie zdrowia. Apelujemy do ministra, by przedstawił nasze stanowisko o mniejszej szkodliwości nowatorskich wyrobów tytoniowych Radzie Ministrów. To zgodne z interesem plantatorów, jeśli chodzi o długofalową produkcję tytoniu, z korzyścią dla zdrowia konsumentów i dla samego budżetu państwa, bo te produkty również objęte są akcyzą.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ef95b0f035



Fot. Shutterstock | 470718/F

Nowy rok szkolny z Kartą Dużej Rodziny

Wakacje dobiegają końca. Wracamy do pracy, a dzieci do nauki. Czas rozpocząć przygotowania do nowego roku szkolnego. Zakup wyprawki, nowe zajęcia, większe ubrania dla naszych pociech. Im więcej nas – tym większe będą wydatki. Rozejrzyjmy się za ofertami partnerów Karty Dużej Rodziny

Korzystając z tego programu, możemy liczyć na wiele zniżek, a także specjalne warunki. Karta Dużej Rodziny jest systemem rabatowym dla rodzin wielodzietnych. Jej posiadacze mają możliwość korzystania z obszernego katalogu oferty kulturalnej, rekreacyjnej czy transportowej na terenie całego kraju, przygotowanej przez instytucje publiczne oraz prywatnych przedsiębiorców. 1 czerwca tego roku do programu przystąpił również Bank Pekao S.A.

KOMU PRZYSŁUGUJE KARTA

Według obowiązujących obecnie przepisów KDR przysługuje rodzinie z co najmniej trójką dzieci w wieku do 18. roku życia. Jeżeli dzieci się uczą, limit wiekowy ulega przedłużeniu do ukończenia 25. roku życia. W przypadku dziecka z orzeczeniem o niepełnosprawności nie ma ograniczeń wiekowych. Nie ma znaczenia również sytuacja finansowa rodziny, bowiem przy przyznawaniu karty nie jest brane pod uwagę kryterium dochodowe. Spersonalizowana karta wydawana jest bezpłatnie każdemu członkowi rodziny.

Od 1 stycznia 2019 wejdą w życie korzystne zmiany dotyczące Karty dużej rodziny.

– Będzie istniała możliwość przyznania Karty dużej rodziny rodzicom, którzy kiedykolwiek mieli na utrzymaniu troje dzieci, niezależnie od tego, ile te dzieci mają dzisiaj lat, bo rodzicem dużej rodziny pozostaje się na całe życie – zapewniła minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska.

WARTO, BO OFERTA JEST SZEROKA

Możliwość realizacji polityki społecznej i odpowiedzialności biznesu to na pewno dla wielu firm powód przystąpienia do coraz liczniejszej grupy partnerów. To jednak nie wszystko – są też korzyści marketingowe, takie jak zwiększenie rozpoznawalności i zainteresowania ofertą firmy. Zniżki i dodatkowe uprawnieniami na KDR to magnes dla nowych klientów.

Najliczniejszą grupą partnerów są usługodawcy, których w programie działa ponad 6 tys. Dobrych klientów wśród rodzin wielodzietnych widzą przedstawiciele branży telekomunikacyjnej (niemal 2,5 tys.) i transportu (blisko 2,3 tys. firm). Sektor edukacyjny i żywnościowy reprezentuje po 2 tys. przedsiębiorstw. Sport, rekreacja i tu-

eprasa.pl ef95b0f035

rystyka to 1,5 tys. przedsiębiorców ze specjalnymi ofertami dla posiadaczy KDR. W sektorze zdrowia rodziny znajdą oferty ponad 1,3 tys. firm. Oferta produktów odzieżowych i obuwniczych w promocyjnych cenach jest wspierana przez ponad 1 tys. partnerów. Znajdzie się też coś dla ducha – usługi z dziedziny kultury na specjalnych warunkach ma w swojej ofercie 0,5 tys. przedsiębiorstw.

Aplikacja lub dostęp przez stronę internetową umożliwia wyszukiwanie wg powyższych kategorii. Jest również opcja szukania wg miejsca pobytu. Najwięcej partnerów prowadzi swoją działalność na terenie województwa mazowieckiego – ponad 3 tys. Licznie reprezentowane jest też województwo śląskie (ponad 2 tys.), małopolskie (1,7 tys.), wielkopolskie (1,6 tys.) i pomorskie (ponad 1,5 tys.).

KARTA PLASTIKOWA LUB MOBILNA

Do niedawna karta funkcjonowała w formie tradycyjnej, czyli plastikowej. Z początkiem 2018 r. do obiegu wprowadzono elektroniczną wersję mKDR – na urządzenia mobilne.

Nowoczesna wersja karty niesie z sobą nowe możliwości. Przede wszystkim automatyczna aktualizacja partnerów programu pozwala na łatwiejsze wyszukanie interesującej w danej chwili oferty. Umożliwia również wyszukiwanie partnerów KDR wg kategorii, lokalizacji, frazy. Użytkownik aplikacji może dodawać partnerów KDR do listy „ulubionych". Szczególnie wygodna jest funkcja geolokalizacji. Aplikacja dopasuje wyszukiwanie do miejsca aktualnego pobytu i poinformuje o zniżkach obowiązujących w pobliżu.

Bezdyskusyjną zaletą jest to, że takiej karty nie zapomnimy z domu, jako aplikacja telefoniczna jest zawsze pod ręką. Staje się też naszym dokumentem i dostępem do e-administracji, jeżeli wcześniej potwierdzimy ją przez profil zaufany.

Ponadto rodzic, któremu zostanie przyznana karta elektroniczna, będzie mógł wizualizować na swoim urządzeniu mobilnym elektroniczne karty wszystkich członków rodziny. Dzieci na swoim urządzeniu mobilnym mogą wyświetlać jedynie swoje karty.

JAK ZAŁOŻYĆ KDR

Aby otrzymać Kartę Dużej Rodziny, należy złożyć wniosek w gminie odpowiadającej miejscu zamieszkania. Wniosek można również złożyć, nie wychodząc z domu – elektronicznie – za pośrednictwem Platformy Informacyjno-Usługowej Emp@tia. Ten sposób jest o wiele wygodniejszy i łatwiejszy, gdyż wniosek wypełniany jest przez system po wprowadzeniu odpowiedzi na umieszczone w kreatorze pytania.

Aby móc składać wnioski elektronicznie, konieczne jest posiadanie podpisu elektronicznego lub bezpłatnego profilu zaufanego, który można założyć on-line za pośrednictwem systemów bankowości elektronicznej, m.in. w Banku Pekao S.A.

Tą bezpłatną metodą obywatel potwierdza tożsamość w systemach elektronicznych administracji publicznej. Później może z niej korzystać, składając wnioski, podania, deklaracje drogą elektroniczną bez konieczności wizyty w urzędzie lub na poczcie.

BANK PEKAO S.A. BANKIEM DUŻYCH RODZIN

Bank Pekao S.A. przystąpił do programu Karta Dużej Rodziny 1 czerwca 2018 r. Rodziny mające kartę mogą korzystać z usług i produktów Pekao S.A. na bardzo korzystnych warunkach.

Dla posiadaczy KDR przygotowano promocję „Zwrot za rachunki domowe". Uczestnicy mogą otrzymać 5 proc. zwrotu nawet do 600 zł w ciągu dwóch lat za rachunki domowe opłacane poleceniem zapłaty (np. prąd, gaz, telefon). Warunkiem udziału w promocji jest posiadanie lub otwarcie w banku konta osobistego oraz otwarcie rachunków dla co najmniej dwójki swoich dzieci, w tym obecnie w ofercie jest rachunek oszczędnościowy Mój Skarb z promocyjnym oprocentowaniem 3 proc. do 3 tys. zł na sześć miesięcy, co może być dobrą zachętą, aby zacząć systematycznie odkładać środki dla swoich dzieci od najmłodszych lat. Zwrot za rachunki domowe dokonywany jest do końca następnego miesiąca, po wykonaniu opłaty poleceniem zapłaty. Przez dwa lata można otrzymywać do 25 zł zwrotu miesięcznie.

Oferta Banku Pekao S.A. jest przemyślaną propozycją, opartą na solidnej diagnozie potrzeb rodzin wielodzietnych. Według badań TNS OBOP polskie rodziny oczekują realnej pomocy w obniżeniu kosztów, m.in. w zakresie opłat domowych, eksploatacyjnych oraz kredytów mieszkaniowych. To znalazło odzwierciedlenie w naszej ofercie – zwrot za rachunki do 600 zł przez dwa lata, preferencyjnie warunki pożyczek i kredytów. W naszej ofercie rodziny znajdą też wysoko oprocentowane Konto Oszczędnościowe, rachunek Mój Skarb dla dzieci, a w bankowości elektronicznej mogą również złożyć wnioski o 300 i 500+ – mówi **Remigiusz Hołdys**, dyrektor zarządzający, Pion Bankowości Detalicznej, Bank Pekao S.A.

Wielodzietne rodziny mogą skorzystać również ze specjalnej oferty Karty Kredytowej Elastyczna, która może się okazać bardzo przydatna podczas wydatków związanych z rozpoczynającym się rokiem szkolnym. Wydanie karty jest bezpłatne, a spłatę płatności nią dokonanych można rozłożyć na 10 miesięcy w ratach na 0 proc. prowizji (w kwocie od 500 zł do 5 tys. zł). Aby skorzystać z promocji „10 rat 0%", spłatę w ratach należy uruchomić do końca 2019 r.

Na finansowanie większych wydatków Bank Pekao S.A. proponuje dla posiadaczy KDR ofertę specjalną Pożyczki Ekspresowej – promocyjne oprocentowanie wynosi 7,77 proc., a prowizja – 3 proc. Można otrzymać do 200 tys. zł na dowolny cel, a spłatę rozłożyć nawet na 10 lat. Istnieje możliwość połączenia spłaty zobowiązań kredytowych z innych banków – płaci się wówczas jedną ratę zamiast kilku.

Posiadacze KDR mają również preferencyjne warunki „Kredytu Mieszkaniowego", dla nich marża obniżona została o 0,2 pkt proc., a prowizja wynosi 1 proc.

Do dyspozycji są również specjalne zniżki na zakupy w ramach Programu Galeria Rabatów od wybranych partnerów – nawet do 50 proc. Rabaty przysługują na zakupy (meble, obuwie, artykuły dziecięce i sportowe), ale także np. na kursy językowe.

Anna Raciniewska

Materiał powstał przy współpracy z Bankiem Pekao S.A.

eprasa.pl ef95b0f035

W drodze na szczyt



Fot. East News/Nigel French

Tracy Austin, Martina Hingis, Amélie Mauresmo, Caroline Wozniacki – to największe tenisistki w historii, których początki wielkich karier wiązały się z triumfem na londyńskich kortach w turnieju juniorek. Czy szanse na pójście ich śladem ma tegoroczna zwyciężczyni młodego Wimbledonu, Polka Iga Świątek? Sprawdźmy, czego możemy się spodziewać po 17-latce z Warszawy, przed którą dziś świat stoi otworem

Wszystkie cztery wymienione tenisistki były w swojej seniorskiej karierze liderkami rankingu WTA i wygrywały turnieje Wielkiego Szlema. Łącznie przez 340 tygodni, czyli ponad sześć i pół roku, dzierżyły tytuł rakiety numer jeden na świecie i dziesięć razy zwyciężały w jednym z czterech wielkich turniejów. Czy to oznacza, że juniorski Wimbledon to przepustka do zostania najlepszą tenisistką świata?

To oczywiście nie jest regułą. Iga Świątek nie jest pierwszą Polką, która wygrała wielkoszlemowy turniej juniorski. Na kortach Wimbledonu triumfowały Aleksandra Olsza (1995) oraz obie siostry Radwańskie (Agnieszka w 2005 r., Urszula w 2007 r.), Agnieszka zwyciężyła jeszcze we French Open 2006, a Magdalena Grzybowska była najlepsza w Australian Open 1996.

Największą karierę zrobiła później rzecz jasna Agnieszka Radwańska, której największym osiągnięciem pozostaje finał „dorosłego" Wimbledonu z 2012 r., kiedy była klasyfikowana jako druga rakieta świata, oraz zwycięstwo w turnieju finałowym WTA przed trzema laty.

Jej siostra Urszula nigdy nie przebrnęła drugiej rundy w wielkoszlemowych turniejach, podobnie jak grająca w połowie lat 90. ubiegłego wieku Aleksandra Olsza. Nieco dalej udawało się dochodzić Magdalenie Grzybowskiej, której dobrze rozwijającą się karierę przerwały kontuzje. Widzimy więc, że juniorskie laury nie zawsze przekuwają się w sukcesy w dorosłym tenisie.

JUNIORSKIE SUKCESY

Iga dokonała rzeczy wielkiej, ale pamiętajmy, że w maju skończyła 17 lat i jeszcze wszystko przed nią. Wciąż znajduje się w czwartej setce rankingu WTA i musi mozolnie, dobrymi występami na poważnych turniejach, piąć się w górę w tej klasyfikacji. Zwycięstwo w Wimbledonie to ostatni start młodej tenisistki w juniorskich turniejach i od teraz Iga będzie musiała walczyć z dorosłymi zawodniczkami. Jej sukces w Londynie został poprzedzony dobrymi występami na wcześniejszych zawodach.

eprasa.pl ef95b0f035

Jako 15-latka zwyciężyła w juniorskim Fed Cupie jako członkini polskiej reprezentacji. Warszawianka walczyła już z seniorkami na mniejszych turniejach organizowanych przez ITF i pięciokrotnie udało jej się zgarnąć pełną pulę: zaczęła od triumfu w Sztokholmie przed niemal dwoma laty, później wygrywała jeszcze w Bergamo, Gyor i Szarm el-Szejk, a w kwietniu tego roku zwyciężyła w amerykańskim Pelham. Świątek nie wystrzega się gry w parze – z Caty McNally zwyciężyła w deblu na tegorocznym juniorskim French Open (na tym samym turnieju przegrała z Amerykanką w półfinale singla), a w 2017 r. znalazła się wespół z Mają Chwalińską, inną nadzieją polskiego tenisa, w finale „młodego" Australian Open. Tak więc grunt pod przyszłe sukcesy jest przygotowany, teraz należy walczyć o pełną pulę.

LIDER NIE MOŻE BYĆ SAM

Liczą się też pieniądze, bez których w tenisie zaistnieć nie sposób. Iga Świątek znajduje się w stajni agencji Warsaw Sports Group, z którą powiązany jest były prezes Legii Warszawa Bogusław Leśnodorski. Przed paroma laty trafiła pod skrzydła stołecznego klubu i trenowała na kortach przy Myśliwieckiej. Rzadko się zdarza, aby bez odpowiedniego wsparcia finansowego tenisista zdołał się wybić, więc machina stojąca za Igą to nieodzowny element budowania kariery przyszłej mistrzyni. Łączy się to z odpowiednimi ludźmi prowadzącymi młodą sportsmenkę, a za takich z pewnością można uznać Piotra Sierzputowskiego, odpowiedzialnego za doskonalenie umiejętności Igi, i Jolantę Rusin-Krzepotę, która dba o przygotowanie fizyczne zawodniczki.

Wsparcie dla tenisistki zapowiedział także minister sportu i turystyki Witold Bańka. Iga dołączy do projektu Team100, polegającego na udzielaniu pomocy finansowej dla najzdolniejszych sportowców, którzy nie skończyli 23 lat.

Dla młodego tenisisty kluczowe jest uniknięcie monotonii, a w tę Świątek mogła popaść podczas wielomiesięcznej rehabilitacji po operacji stawu skokowego, która okazała się konieczna po kontuzji odniesionej w trakcie zeszłorocznego WSG Open. Jak się okazało, Iga wyszła z tego trudnego okresu wzmocniona psychicznie, co pokazała w szlemowych rozgrywkach.

ZDOBYĆ CHARAKTER MISTRZYNI

Mistrzyni Wimbledonu pochodzi ze sportowej rodziny. Jej ojciec Tomasz był wioślarzem i startował na igrzyskach olimpijskich w Seulu w 1988 r., a siostra Agata przecierała przed Igą szlaki na kortach, bo jako starsza z rodzeństwa pierwsza próbowała swojego szczęścia z rakietą w dłoni. Iga miała do tenisa smykałkę, ale do swoich wyników doszła nie tylko talentem, lecz i ciężką pracą – początkowo wcale nie była uznawana za najlepszą w swoim roczniku.

O triumfie w Londynie zadecydowały również kwestie mentalne, bo w pierwszej rundzie Polka pokonała zawodniczkę numer jeden wśród juniorek, Amerykankę Whitney Osuigwę. „Starałam się nie myśleć o presji, tylko koncentrować się na celu. Po pokonaniu w pierwszej rundzie turniejowej »jedynki« zyskałam ogromną pewność siebie" – mówiła Iga na konferencji prasowej po powrocie z Londynu. Po wygranym turnieju Polka awansowała aż o 67 pozycji w rankingu juniorek ITF i znajduje się teraz w pierwszej dziesiątce. Do podobnej lokaty w klasyfikacji WTA jeszcze daleka droga. Jednej recepty na sukces nie ma, pozostaje nam tylko ściskać kciuki i wierzyć, że Iga jest w stanie pójść drogą najlepszych na świecie.

Do znakomitych wyników z okresu, kiedy ma się naście lat, niezbędne jest dołożenie wielkiej pracy na dalszych etapach rozwoju i nieodzowna doza szczęścia, dzięki której można się wdrapać na sam szczyt. To szczęście objawia się chociażby w unikaniu poważnych urazów, które już niejedną dobrze zapowiadającą się karierę złamały, ale także w trafieniu na czas, w którym konkurencja jest optymalna. Wiele wspaniałych tenisistek nie osiągnęło wyników odpowiadających ich umiejętnościom i potencjałowi, bo pula rywalek była jeszcze lepsza.

OKIEM EKSPERTA

Dzisiejszy tenis to zupełnie inna rzeczywistość, bardziej wymagająca i konkurencyjna niż jeszcze kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście lat temu. Na koniec oddajmy głos ekspertom – co Iga powinna zrobić i jakimi zasadami się kierować, aby w seniorskim tenisie powtórzyć osiągnięcia z rozgrywek juniorskich?

Joanna Sakowicz-Kostecka (była tenisistka, obecnie jest komentatorką telewizyjną i prowadzi szkołę tenisową w Krakowie): – Nie ma jednej recepty na to, jak przełożyć wybitne osiągnięcia w tenisie juniorskim na sukcesy wśród seniorek. Wystarczy prześledzić losy innych juniorskich mistrzyń wielkoszlemowych i łatwo można dojść do wniosku, że nie wszystkie przekuły ten sukces w dorosłe triumfy. Na pewno jednak Iga musi być cierpliwa. To jest słowo klucz. Nie ma znaczenia, czy swoje bardzo ambitne cele zrealizuje jako 20- czy 30-latka. Ważne, żeby była konsekwentna w tym, co robi, nie dała się ponieść negatywnym emocjom, kiedy pojawią się niepowodzenia. One na pewno się przydarzą, a wraz z nimi nieprzychylne komentarze czy „rady" samozwańczych ekspertów. Na te ewentualności musi się uodpornić i wierzę, że ze swoim charakterem i mądrymi ludźmi wokół siebie będzie w stanie to zrobić.

Adam Romer (redaktor naczelny magazynu „TenisKlub"): – W dzisiejszej sytuacji Igi Świątek rozwój jej dalszej kariery zależy od kilku elementów. Na część z nich ma ona (i jej sztab) wpływ, na część nie. I tak od niej i jej sztabu zależy, jak będzie trenować i przygotowywać się do gry, jakie plany startowe będą układane i z kim będzie pracować (chodzi mi o skład trenerski). Elementy, na które Iga nie ma wpływu, to zdrowie (pamiętajmy, że w ub.r. miała ciężką kontuzję, która skończyła się poważną operacją stawu skokowego i zabrała jej siedem miesięcy) i możliwość startów w większych turniejach (na dziś takich w Polsce nie ma), które dadzą jej, jak niegdyś Agnieszce Radwańskiej, możliwość zdobycia punktów WTA i szybkiego awansu w rankingu światowym. Oczywiście, można próbować załatwiać Idze dzikie karty do turniejów WTA w innych krajach, ale nie jest to łatwe, a na pewno jest kosztowne...

Michał Muzyczuk

eprasa.pl ef95b0f035



Fot. Z archiwum autora

Leśna kałuża

Leśna kałuża oznacza kałużę z wszelkimi wygodami. Taką, w której mieszkają kałużnice, żółtobrzeżki, kumaki i traszki, woda jest lekko rdzawa, lecz czysta, rześka i przejrzysta. Na dnie warstwa mięciutkiego mułu, a wokół kępy dzikiej, wonnej mięty i situ



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,
słów szukając dla żywego świata,
nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
to potem trzeba cierpieć długie lata.
[...]
Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wyrywał w rozpaczy,
i sitowia, sitowia zwyczajnego
nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?

„Sitowie", Julian Tuwim

Nie jestem poetą jak Tuwim, jestem leśnikiem. Leśna kałuża nie budzi we mnie duchowych rozterek – fascynuje mnie. To nie dołek z brudną wodą, z jakim kojarzy się kałuża w miastach. To cały, zamieszkany przez najrozmaitsze formy życia, wszechświat wyznaczony grząskim brzeżkiem, na którym odcisnęły się racice saren, i powierzchnią wody, po której śmigają nartniki. Wodna oaza, zatopiona wśród leśnych głębin rajska sadzawka, niepozbawiona jednak ziemskiej drapieżności.

Leśnej kałuży nigdy nie mijam obojętnie. Nie inaczej było też niedawno na niebieskim szlaku prowadzącym od doliny rzeki Kamienicy na szczyt Gorc.

Na części drogi szlak turystyczny przebiega wzdłuż granicy pomiędzy Gorczańskim Parkiem Narodowym a leśnictwem, które nazywało się tak jak wszystko w górskiej, lokalnej, gorczańskiej rzeczywistości: leśnictwo Gorc, szczyt Gorc, góralska rodzina Gorczowskich mieszkająca w górach Gorcach od 300 lat...

Na otwartej przestrzeni, kiedy wychodziło się z lasu na pachnące macierzanką, dziurawcem i firletką polany, narastał upał. Na pnącej się w górę kamienistej drodze, której wypalona słońcem biel raziła oczy, buty podczas marszu pokrywały się cienką warstwą jasnej, pylistej glinki.

Pod okapem bukowo-jodłowej karpackiej puszczy panował jeszcze rześki chłód leśnego poranka. Kałuża, która

eprasa.pl ef95b0f035

w najgłębszym miejscu sięgałaby zapewne do połowy łydki, znajdowała się na środku leśnej drogi. Zagłębienie powstało najpewniej jakiś czas temu podczas prac leśnych: może wyżłobił je ciągnięty ze zrębu pień wielkiej jodły? Kałuża napełniła się spływającą z góry wodą przefiltrowaną przez spękane tafle fliszu karpackiego i szybko została skolonizowana przez najróżniejsze organizmy, wzbogacając leśny ekosystem. Przypominała trochę oko wyglądające spod ziemi, otoczone pasemkami situ jak rzęsami i odbijające sklepione wysoko korony drzew.

SITOWIE I SIT

O ile Julian Tuwim wspominał o sitowiu (z botanicznego punktu widzenia opisał bardzo prawdopodobne siedlisko sitowia Scirpus sp.), o tyle wokół gorczańskiej kałuży rósł sit, a dokładnie sit rozpierzchły Juncus effusus, powszechnie występujący w miejscach, w których ma dosyć wilgoci. Liście tuwimowskiego sitowia, którego kilka gatunków rośnie w Polsce, przypominają liście traw: są płaskie, wydłużone, wysycone krzemionką, szorstkie, o ostrych krawędziach, o które można przeciąć dłoń. Sitowie spokrewnione jest z egipskim papirusem.

Tymczasem sit porastający kępkami podobne, wilgotne siedliska, lecz niespokrewniony z sitowiem, ma liście i łodygi rurkowate, przypominające z wyglądu trochę szczypiorek, z fantazyjną czuprynką kwiatostanu w górnej części smukłej łodygi. Sit jest tak giętki, że można by zrobić z niego plecionkę.

GÓRSKI KUMAK I KARPACKA TRASZKA

Żeby poznać świat leśnej kałuży, trzeba powolutku podejść i poczekać. Po chwili można zobaczyć, jak ponownie ożywa po krótkim bezruchu: od dna odbijają małe, żabie sylwetki, które wcześniej idealnie zlewały się z barwą mułu, a zaraz potem nad powierzchnię wysuwają się ostrożnie łebki kumaków. Kumak górski widziany od góry znakomicie się maskuje i trudno go wypatrzyć: jest szarobury i pokryty brodawkami jak ropucha. Jego brzuszek stoi w jaskrawej sprzeczności z grzbietem: w stanie najwyższego zagrożenia, kiedy na ucieczkę jest za późno, kumak wypręża się, obraca i za pomocą jaskrawożółtego brzucha, na którym żółtość podkreślona jest przez niebieskie plamy, sygnalizuje, że jest trujący.

Co najmniej setka kijanek kursowała pomiędzy dnem a powierzchnią; lawirowały pośród plam słońca i cienia, sprawiając, że w kałuży nieustannie trwał ruch. Kiedy patrzyło się na nie z zupełnego bliska, widać było oczka i maleńkie pyszczki otwierające się i zamykające w polowaniu na wodny drobiazg.

Po kilku tygodniach kijankom zaczynają rosnąć łapki. Krótko wyglądają bardzo osobliwie, gdyż oprócz czterech łapek mają dalej ogonki – małe żaby z ogonami. Później skrzela zamieniają się w płuca, a ogonki odpadają. Podobnej metamorfozy doświadczają przypominające przybyszów z innej planety larwy traszek.

Leśne kałuże, nawet te, które okresowo wysychają i nam wydają się nic nieznaczącym zagłębieniem, dla licznych płazów są miejscem godów, składania skrzeku i przeobrażania się kijanek w żabki oraz ogoniaste traszki. Są im niezbędne, bez nich by nie przetrwały.

TROCHĘ INACZEJ NIŻ W RAJU

Kijanki i małe traszki muszą się mieć jednak na baczności. Idylla leśnej kałuży jest zwodnicza. W wodnej toni, wędrując powoli po zanurzonych częściach roślin, czai się potwór, i to nie jeden, lecz cała rzesza. Jeżeli stworzenie to byłoby większe, przeraziłoby nas śmiertelnie: długi, opancerzony odwłok, trójkątna głowa, żuwaczki stworzone do cięcia zdobyczy na kawałki i nieruchome, bezduszne spojrzenie: to larwy ważek. Dorosłe ważki o dwóch parach nieskładanych, żyłkowanych skrzydeł, takie same, jakie śmigały miliony lat temu pomiędzy karbońskimi lepidendronami, wielkimi paprociami i drzewiastymi skrzypami, polują w locie na inne owady. Drapieżność ukryta u dorosłych owadów za pięknem i zwinnością, u larw polujących na wszystko, co rusza się wokół i co da się poćwiartować żuwaczkami wyglądającymi jak szczypce do cięcia stali, ujawnia się bez żadnej osłony. Kiedy dorosną, wylezą z wylinek i przeobrażą się w dorosłe ważki; pod wodą pozostaną ich przerażające pancerze, nadal zaciskające łapki na łodygach roślin.

> Kumak wypręża się i za pomocą jaskrawożółtego brzucha, na którym żółtość podkreślona jest przez niebieskie plamy, sygnalizuje, że jest trujący

Coś tak pozornie trywialnego jak kałuża, w wersji leśnej jest niezwykłym ogniskiem bioróżnorodności, zasilającym zielonkawe głębie strumieniem życia niczym rozlewiska afrykańskiej Okawango w skali mikro, napełniającej otaczające je sawanny różnorodnością bytów.

Bez wodnych zbiorniczków połyskujących na leśnych duktach las byłby uboższy. Gdyby poznać tajemnicę leśnych kałuż, można się poczuć jak w dawnych legendach. Nie ma w nich wprawdzie boginek, topielców ani błędnych ogników w leśnych mokradełkach, ale jest nie mniej niezwykły świat, ożywiający głębie lasu pokoleniami płazów, eskadrami ważek, wiosłonogich wodnych pluskolców i pijawek, płoszczyc, topielnic, poczwarówek oraz zatoczków, stworzeń latających, pływających, pełzających i skaczących, barwnych i zamaskowanych, skrytych i widocznych – tych, które możemy zobaczyć lub usłyszeć, i tych, których obecności możemy się tylko domyślać po delikatnym śladzie, niknącym gdzieś wśród mułu.

eprasa.pl ef95b0f035



ŁUKASZ KONOPKA AKTOR

Gdy całość znakomicie gra

Na tym etapie mojego życia najbardziej smakuje mi... odpoczynek. Seriale: znane widzom „Na Wspólnej" i nowość – „Oko za oko", a także intensywne życie rodzinne sprawiają, że cieszy mnie każda wolna chwila.

A jeśli chodzi o jedzenie: jestem fanem burgerów. Nie widać? To z nadmiaru pracy [śmiech]. Rzadko je jadam. Ale poważnie, są fast burgery i burgery z jakością. Wybieram te drugie. W ich poszukiwaniu poznaję różne miejsca w Warszawie.

W dobrym burgerze liczy się mięso – odpowiedniej jakości wołowina. Lubię burgery bardzo wysmażone. I oczywiście w pieczywie, które robi się na miejscu. Próbowałem podpytać w ulubionym barze o składnik, który „podkręca" smak białej bułki, ale się nie udało. W każdym razie całość znakomicie smakowo gra.

Pochodzę z Zagłębia, tata jest Ślązakiem, więc w rodzinnym domu do dziś rządzi kuchnia śląska: rolady i kluski śląskie. Robione przez babcię, mamę... Moją żonę też namawiam, żeby się nauczyła. Zawsze gdy przyjeżdża do nas mama albo my jedziemy do niej, z góry proszę o roladę. To moja smakowa baza, moje korzenie.

Z dzieciństwa pamiętam też smak wody z sokiem z ulicznego saturatora. Kupowaliśmy ją, wracając ze szkoły. Nikt nie myślał, że te szklanki tylko są opłukiwane, ilu ludzi z nich piło ani skąd jest ta woda czy sok. Rolada i napój z saturatora. To smaki, które towarzyszą mi od małego.

Wyjechałem ze Śląska po 2000 r., kiedy polska kuchnia generalnie zaczęła się zmieniać. Coraz więcej było wpływów śródziemnomorskich i azjatyckich. Mięso przestało być głównym składnikiem obiadów, więcej pojawiło się warzyw i oryginalnych przypraw.

W naturalny sposób próbowałem dań z różnych kuchni. I tylko do jednej – tajskiej – nie potrafię się przekonać, mimo że wszyscy się nią zachwycają. Nie jestem w stanie przełknąć kokosa, w żadnej z jego odsłon. Smakuje mi za to bardzo kuchnia włoska. Każde danie – od pizzy po owoce morza. Myślę, że mógłbym we Włoszech zamieszkać.

Bardzo rzadko gotuję, ale chodzi mi po głowie – z racji tego, że mam dwójkę małych dzieci – by, gdy zaczną podrastać, nauczyć się czegoś więcej niż jajecznica i mięso w najprostszej formie. Dziś bliźniaki mają po trzy lata i bardzo chętnie towarzyszą nam w przygotowywaniu każdej potrawy. Mogę więc powiedzieć, że często „gotujemy" rodzinnie. Na pewno sporo czasu spędzamy razem w kuchni. Na potrzeby tej mocno aktywnej dwójki nauczyłem się robić szybkie placki. Każdy tata da sobie z ich przygotowaniem radę.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. AKPA, Shutterstock x4

Placuszki dla bliźniaków (i nie tylko)

Składniki: jedno jajko i jeden banan.

Wykonanie: w miseczce rozgniatamy banana (oczywiście obranego ze skórki), dodajemy jajko (i ewentualnie szczyptę cynamonu), mieszamy. Kładziemy na rozgrzaną patelnię w formie małych placuszków, smażymy (bez tłuszczu) z dwóch stron. Jeśli chcemy, żeby były bardziej wilgotne, przykrywamy patelnię pokrywką. Wykładamy na talerzyki, sprawdzamy, czy nie są za gorące, i cieszymy się, że smakują.



eprasa.pl ef95b0f035



SŁODKO-SŁONY

Jesienne zapiekanki

ANNA MONICKA

Jeśli zamiast twarożku ze szczypiorkiem na śniadanie mam ochotę na pieczoną dynię piżmową oprószoną masalą, to nie przypadek, ale znak. Jesień idzie – nie ma na to rady.

Gdyby chodziło tylko o moją kulinarną zachciankę, nie przejmowałabym się. Ale mama wysłała mi wczoraj wiadomość, że widziała klucz gęsi lecący na północny zachód i wielkie stada szpaków tańczące nad Bugiem. W gnieździe za to nie ma już bocianów. Jesień idzie...

A do dyni zachęcam, podobnie jak do innych warzywnych kotlecików, które doskonale nadają się na każde danie, od śniadania począwszy, na kolacji skończywszy. Są tanie jak barszcz, mało przy nich pracy, a efekt zniewala. Oto kilka przykładów. Gdy podacie je razem na dużej tacy – będą wyglądały jak cudownie pachnący wielobarwny kobierzec.

Pomarańczowe – z dyni. Piżmowa jest idealna, bo ma długą szyję i małe gniazdo nasienne. Szyję kroimy w plastry na grubość palca, a potem jeszcze na połówki. Takie półksiężyce układamy na pergaminie na blasze, posypujemy solą, odrobiną ciemnego cukru, posypujemy rozgrzewającą garam masalą albo z umiarem ostrą papryką, skrapiamy oliwą i pieczemy ok. pół godziny w 150°C. Tak przyrządzona dynia smakuje miodowo, cudownie rozgrzewa. Dół warzywa przypomina kulę. Jeśli ją wydrążymy, usuwając pestki, i przetniemy na pół, mamy dwie miseczki. Możemy do każdej wbić jajko, posypać przyprawami i zapiec.

Kremowe – z ziemniaków. Wybieramy małe i podgotowujemy je w mundurkach. A potem układamy na blasze, każdy miażdżymy widelcem, kładziemy na wierzch wiórki parmezanu, trochę bryndzy lub kulkę masła z czosnkiem i mielonymi orzechami laskowymi. Zapiekamy na złoto.

Żółte lub zielone – z kalafiora albo brokułów. Trzeba je natrzeć oliwą z curry i solą, upiec w całości, a potem, gdy są al dente, ściąć wszystkie różyczki i je posiekać. Mieszamy kalafiory z purée ziemniaczanym, doprawiamy jajkiem, czosnkiem, koperkiem lub innymi świeżymi ziołami. Układamy na blasze łyżką kotleciki i pieczemy pół godziny. Smacznego!

WILCZYM OKIEM

Co jadano na krakowskim Rynku



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Minęła dekada od zakończenia badań archeologicznych prowadzonych na Rynku Głównym w Krakowie. W gąszczu informacji sprzed wieków zdobytych dzięki nim można znaleźć i te dotyczące tajników diety mieszkańców miasta. Gałczyński postulował: „Niech przemówią kamienie, drzewo, blacha i krowa". Do krakowskich naukowców przemówiły kości, a konkretnie zooarcheologiczne szczątki kostne. Przebadano ponad 8,5 tys. szczątków ssaków, niemal 700 szczątków ptaków, a także – informacja dla wegetarian – na sitach o małych oczkach archeolodzy wyabstrahowali z ziemi, pyłu i gruzów 461 rybich kości i łusek. W ten sposób udało się odkryć obiadowe preferencje patrycjuszy, mieszczan i motłochu – bez rozróżnienia na klasy społeczne i stany, gdyż wszystkie ogryzane kości, bez względu na to, kto nimi ciskał, egalitarnie trafiały do miejskiego błota, skąd po wiekach wyciągnęli je archeolodzy. Dzięki nim mamy wgląd w menu od X w. naszej ery aż po nowożytność. Badania opisano w artykule „Wstępne wyniki badań zooarcheologicznych szczątków kostnych z wykopalisk prowadzonych na Rynku krakowskim w latach 2005–2007".

Jeżeli chodzi o spożycie mięsa, sytuacja była dynamiczna. W wiekach X–XII jedzono bardzo mało wołowiny. Na przestrzeni kolejnych stuleci wołowe steki, gulasze i pieczenie coraz częściej gościły w jadłospisach. Odwrotna sytuacja dotyczyła kóz i owiec. Na terenach obecnego Rynku zajadano się ich mięsem, zanim jeszcze Bolesław Wstydliwy ulokował Kraków. Od końca XIII w. zainteresowanie smakiem drobnej rogacizny zaczęło zanikać. Jeżeli chodzi o drób, nikogo nie zdziwi to, że najczęściej wybierane było mięso kurze. Drugie i trzecie miejsce miały gęsina i mięso gołębi. A ryby? Jedzono głównie płocie, wzdręgi i okonie.

Jaką rolę odegrała w wyżywieniu miasta dziczyzna? Mniejszą, niż nam podsuwa wyobraźnia (nieprzebyte puszcze, polowania, biesiady z pieczonym dzikiem). Lektura „Wstępnych wyników badań..." skłania do refleksji, że mięso z kniei nie było w wiekach średnich dla mieszczuchów. Musieli się raczyć nim królowie, dwór i inni wysoko urodzeni, skoro wśród miejskich odpadków reprezentujących ssacze kości tylko 1 proc. należy do zwierząt dzikich (np. jelenia, sarny, wiewiórki, zająca, rysia).

eprasa.pl ef95b0f035

Szaleni Murzyni naszego wieku

PIOTR SKWIECIŃSKI

Wiedzą państwo może, co to takiego drapetomania? Pewnie nie, ale gdybyście żyli w XIX-wiecznej Ameryce, wiedzielibyście na pewno. Pouczająca to historia.

Drapetomania (od greckiego słowa „drapetes", czyli „ucieczka") była oficjalnie uznaną jednostką chorobową, stworzoną i nazwaną przez również uznanego, szanowanego lekarza Samuela Cartwrighta. Polegała zaś na niezrozumiałym i nieuzasadnionym dążeniu niewolników – Murzynów – do znalezienia się na wolności drogą zbiegnięcia od właściciela. Była to według Cartwrighta choroba psychiczna – bo dlaczegóż, u licha, zdrowy na umyśle Murzyn, dla którego niewola jest przecież (wiedzieli to wtedy wszyscy normalni ludzie) stanem naturalnym, miałby uciekać od pana, jeśli ten oczywiście nie katuje go zanadto ani zanadto nie głodzi?



Spora część amerykańskiego świata medycznego połowy „wieku pary i elektryczności" zgodziła się z Cartwrightem i uznała drapetomanię za realną chorobę. Skutecznie leczoną (tak jak sugerował największy w tej dziedzinie autorytet, czyli jej odkrywca) w lżejszych wypadkach prewencyjną, uzdrawiającą chłostą, a w cięższych – amputacją dużych palców u obu nóg.

Podobnym uznaniem ze strony liczących się amerykańskich stowarzyszeń lekarskich cieszyła się inna odkryta przez tegoż naukowca choroba – dysaesthesia aethiopica, czyli upośledzenie afrykańskie. Dotykało ono, według pionierskich badań Cartwrighta, przede wszystkim Murzynów wolnych. Polegało zaś głównie na zaniku zdolności intelektualnych i wszelkiej etyki. Był to dla Cartwrighta oczywisty efekt znajdowania się ofiar w nienaturalnym dla nich stanie bezpańskim – bo ci spośród czarnoskórych, którzy zgodnie z własnym przyrodniczym przeznaczeniem znajdowali się w posiadaniu zarządzającego nimi i troszczącego się o nich białego człowieka, na dysaesthesię nie zapadali.

W tym samym stuleciu nauki, do którego dziś często nostalgicznie wzdychamy, jeszcze bardziej niż dysaesthesia aethiopica i drapetomania rozpowszechnioną chorobą była histeria. Ale nie chodzi o to, co dziś określamy tym słowem. Kariera tejże jednostki nie zaczęła się w XIX w., tylko jeszcze w starożytnym Egipcie. Dotyczyła ona wyłącznie kobiet, bo przecież tylko one posiadają macicę będącą żywym zwierzęciem, które wędrując w górę ciała, kąsa i naciska różne organy, powodując ich dolegliwości. Grecy zrezygnowali z egipskiej koncepcji żywej macicy na rzecz macicy wysuszającej się na skutek braku stosunków seksualnych, przemieszczającej się więc w górę ciała w poszukiwaniu wilgoci. Tak czy inaczej za histeryczki uznawano te kobiety, które objawiały większą niż przeciętną niezależność erotyczną, a potem – generalnie cierpiące na cokolwiek, na co ówczesna medycyna pomóc nie potrafiła. Gdy zmieniły się stosunki społeczne, epidemia histerii, przedtem podobno ogarniająca ogromne rzesze pań, rozpłynęła się bez śladu.

Nauka zawsze potrafiła uzasadnić istniejące hierarchie. I wyjaśnić, że ci, którym one się nie podobają, są po prostu chorzy

Przypomnijmy sobie wreszcie, jak to hitlerowscy Niemcy byli na serio przekonani, że nauka dowodzi, iż są oni rasowo wyżsi od niemal wszystkich innych. I na serio uważali, że wszyscy inni powinni rozumować logicznie oraz uznać tę swoją niższość. Wtedy i takim polskim untermenschom będzie lepiej, gdy zrozumieją, że rola sług Niemców jest zgodna z ich naturą. Naprawdę tak myśleli.

A to wszystko tylko część przykładów, jak to nauka na różnych etapach rozwoju ludzkości pełniła funkcję uzasadniającą istniejące hierarchie. I stygmatyzującą tych, którzy z tych hierarchii próbowali się wyłamać.

Uzbrojeni w tę wiedzę z zainteresowaniem dowiedzą się więc zapewne państwo o pewnych nowych, ale bardzo już popularnych, koncepcjach. Chodzi o teorię „toksycznej męskości", święcącą triumfy w amerykańskich środowiskach lewicowych. Przy czym nie do końca wiadomo, co to dokładnie ma być. Wiadomo natomiast, że jest to coś bardzo złego, czego mężczyźni generalnie powinni się wstydzić. I w zasadzie leczyć. „New York Magazine" informuje, że na wielu amerykańskich uczelniach uruchamia się zajęcia i grupy wsparcia mające pomóc młodym mężczyznom zmienić swoje myślenie i zachowanie. Przeprogramować się na bardziej emocjonalnych, delikatniejszych. Przecież to na skutek szaleństwa „toksycznej męskości" wygrał potwór, czyli Trump.

Na jednym z kanadyjskich uniwersytetów ustawiono nawet (wzorowane na katolickich) konfesjonały, w których studenci płci męskiej mieliby wyznawać grzechy związane z hołdowaniem wzorcom tradycyjnej męskości. Bo współczesne zachodnie społeczeństwo jest podobno mizoginistyczne. A mężczyźni wzywani są przez organizatorów akcji do uznania samych siebie za problem. Pomoc w jego rozwiązaniu oferuje oczywiście nauka.

Mniej więcej tak jak za czasów Samuela Cartwrighta.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef95b0f035

Akcja prowokacja

Obserwując z dystansu stosowaną przez opozycję parlamentarną i pozaparlamentarną, do której zaliczyć należy NGO-sy, czyli lewackie organizacje pozarządowe finansowane przez zagranicę, dochodzimy do wniosku, że obok straszenia społeczeństwa „ulicą i zagranicą" mamy do czynienia z ordynarną prowokacją. O ile ulica i zagranica ma za zadanie obrzydzenie instytucjom europejskim oraz pozaeuropejskim Prawa i Sprawiedliwości jako partii ograniczającej prawa nadzwyczajnej kasty, jaką jest postkomunistyczny wciąż system sądowniczy, prowokacja ma wywołać rewolucję, która zmiecie z powierzchni ziemi obecny rząd i polityków prawicy.



Pikiety, demonstracje i protesty uliczne już się obywatelom znudziły, bo są pozbawione treści, wrzaskliwe, wręcz jarmarczne, i ograniczają się do hasła: odsunąć PiS od władzy. Ulica, po której chodzą mieszkańcy wielkich i małych miast w poczuciu bezpieczeństwa oraz coraz większej zasobności portfeli, odpada. Oni są bezpieczni, bo rząd Zjednoczonej Prawicy nie zgodził się na relokację uchodźców muzułmańskich, chroniąc w ten sposób obywateli przed terroryzmem islamskim. Na tych polskich ulicach bezpiecznie czują się zagraniczni turyści i nie kryją, że nam zazdroszczą.

Zatem ulica odpada. A zagranica? W europejskiej centrali dogorywają powoli próby nałożenia sankcji na Polskę za „łamanie praworządności", w obronie konstytucji, do czego UE nie ma najmniejszych kompetencji. Timmermans, Verhofstadt i Róża Thun nie wystarczą, żeby obalić konserwatywny rząd, sól w oku „liberalnych demokratów", ani tym bardziej wyrugować z życia Polaków wiary katolickiej i patriotyzmu, tak bardzo niepoprawnego politycznie dla wyznawców ideologii gender i multikulti. Można uchwalić istnienie trzeciej płci w Niemczech, ale ta sztuka nie uda się w Polsce, nawet gdyby do rządu doszli jakimś cudem postkomuniści. Nie uda się choćby dlatego, że polski Kościół katolicki nie uległ (mimo wysiłku kilku „nieortodoksyjnych" kapłanów i byłych duchownych) prądom neoliberalnym, które dotarły już do Watykanu i do papieża Franciszka.

A poza tym zagranica musi się liczyć z rosnącą siłą polskiej gospodarki, którą podziwiają zachodni ekonomiści i ich media, bo liczą się interesy, handel, inwestycje, w obliczu których na plan dalszy schodzi ideologia.

Krajem, który nie na żarty boi się utraty wpływów gospodarczych i spadku zaangażowania inwestycyjnego w polską gospodarkę, są Niemcy. I dlatego jednocześnie z wizytą Putina w Berlinie, dla zatarcia złego wrażenia, zorganizowano wizytę ministra spraw zagranicznych RFN Heiko Maasa w byłym obozie zagłady Auschwitz-Birkenau, ze szczególnym uwzględnieniem bohaterskiej postawy o. Maksymiliana Kolbego, który poświęcił swoje życie za skazanego na śmierć więźnia.

Już za 10 miesięcy odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego. Bieganie do Brukseli na skargę na PiS nie zwiększy poparcia dla kandydatów PO, zwłaszcza dla tych, którzy w walce o powrót do władzy wykazali się ostentacyjną antypolskością. O tym, czy wejdą do PE, zadecydują polscy wyborcy, a nie Janusz Lewandowski ani tym bardziej Donald Tusk. Opozycja straciła do tego stopnia kontakt z rzeczywistością, że nie zauważyła, iż nic tak Polaków nie oburza, jak uderzanie w ich patriotyzm i skarżenie się u obcych na polskość, która według ich guru – Tuska – jest nienormalnością.

Co więc pozostało, skoro ulica i zagranica nie zadziałała? Prowokacja, instruowanie obywateli na portalach internetowych, jak wywołać Majdan, czym zasłynął NGO-s pod nazwą Otwarty Dialog Ukrainki Ludmiły Kozłowskiej i jej polskiego małżonka Bartosza Kramka. To właśnie Kramek namawiał Polaków do rozpętania w Warszawie Majdanu. Aktywność tego małżeństwa wzbudziła niepokój z powodu m.in. podejrzanych źródeł finansowania ich NGO-su i spowodowała zakaz przebywania Kozłowskiej na terytorium strefy Schengen.

Totalna opozycja żywi się nadzieją, że w wyniku którejś prowokacji dojdzie do krwawych zamieszek, a w rezultacie do „oddolnej" rewolucji finansowanej przez Sorosa albo przez Kreml lub przez obie siły równocześnie, i do upragnionego upadku rządu dobrej zmiany. W tym celu zaczepiają jakieś rude baby, byli esbecy i niezrównoważeni młodzieńcy policję, premiera, kandydata PiS na prezydenta Warszawy Jakiego, obrzucając ich obelgami i uciekając się do rękoczynów.

Ale i to nie zadziała, nie zadziałają też billboardy donoszące, że PiS zagarnęło miliony, co brzmi śmiesznie w porównaniu z miliardami wyprowadzonymi z kasy państwa przez skorumpowaną ekipę PO-PSL, o czym wie każdy rozgarnięty Polak. Nie przejmuje się więc tymi prowokacjami, bo zna prawdę i nie da się sprowokować zdrajcom ani złodziejom.

Krystyna Grzybowska

eprasa.pl ef95b0f035

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Argument racjonalności



Na politykę destrukcji i emocji zjednoczona prawica może reagować tylko spokojem racjonalnego argumentowania

Wewnętrzny konflikt w Polsce będzie przybierał na sile, im bliższej będzie do wyborów: tegorocznych samorządowych, do europarlamentu, Sejmu oraz Senatu w przyszłym roku. Dopiero po tych ostatnich wyborach jest pewna szansa na wyciszenie, na co liczy prezydent Andrzej Duda, unikając niektórych pól konfrontacji, czyniąc różne gesty pod adresem opozycji. Ale warunkiem tego wyciszenia jest pełne zwycięstwo zjednoczonej prawicy w wyborach samorządowych i parlamentarnych, a i wówczas zwiększą się szanse prezydenta na reelekcję. Pewnie trudno się zgodzić niektórym z tą opinią.

Źródła politycznego konfliktu byłej opozycji a obecnej władzy z byłą władzą a obecną opozycją tkwią daleko w przeszłości. Jej pragenezy szukać można w czasach komuny. Podobne jak w Polsce konflikty społeczne na Łotwie i w Estonii wskazują na mocną wciąż pozycję dawnych środowisk postkomunistycznych, wytworzonych po okresie tzw. transformacji ustroju. Jak również na silną pozycję agentury wpływu.

Wsparcie opozycji przez polityczne kręgi Unii Europejskiej świadczy o ich niezgodzie na podmiotowe rządy w Polsce. Im szybciej następuje proces emancypacji politycznej Polski, tym mniejsze są wpływy zachodniego kondominium. Polsce wyznaczono rolę wschodniej europejskiej prowincji, zdominowanej ekonomicznie i politycznie przez Zachód, i na tę rolę ochoczo zgodził się ówczesny polski establishment, wcześniej na usługach Moskwy. Aż wreszcie, w 2015 r., stracił możliwości dalszej degradacji kraju, wyprzedaży polskiego majątku narodowego i uzależniania gospodarki od zachodnich korporacji. To dlatego utrata funkcji jedynych zarządców kraju w imieniu większych i silniejszych wywołuje w nich tak silną frustrację oraz agresję.

W haśle opozycji „ulica i zagranica" to drugie odgrywa większą rolę, ponieważ przykład sukcesu gospodarczego i społecznego Polski jest niezwykle zaraźliwy dla krajów Europy Środkowej, ale i zachodnich demokracji. Dlatego karierę robi „złe" słowo „populizm", czyli rządy uznane przez europejskie liberalne elity za nieodpowiedzialne, bo realizujące społeczne oczekiwania, równocześnie nielicencjonowane przez oligarchiczny Zachód.

Bunt pseudoelit, na czele których stanęli wraz z opozycją niektórzy przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, samorządów, środowiska tzw. intelektualne, nie byłby możliwy bez wsparcia spoza Polski. Tak jak działalność licznych organizacji pozarządowych finansowanych głównie z Zachodu. Fundacja Otwarty Dialog Ludmiły Kozłowskiej i Bartosza Kramka powiązana z Rosją ogłosiła swój program „wyłączyć rząd". Fundacja „Nigdy Więcej", jak prawie wszystkie tego typu organizacje walcząca z rasizmem, neofaszyzmem, ksenofobią i dyskryminacją, sprowadzała do Polski niemieckie bojówki rozbijające nasze marsze niepodległości. Greenpeace, tak zaciekle walczący przeciwko wycince polskich drzew, ogłasza dziś, że nie będzie przeszkadzać w zwalczaniu kornika w bawarskich lasach.

Bez oddanych lumpenelit nie byłoby możliwe osłabianie unitarnego charakteru państwa polskiego, jak dawniej w krajach zdominowanych przez Moskwę nie byłoby możliwe sprawowanie rządów bez jej zaufanych stronników. Walka toczy się więc o pełną suwerenność Polski.

Znacznie prymitywniejszy okazuje się front walki nazwany „ulicą". Próby szybkiej zmiany rządów wskutek licznych manifestacji, obstrukcji parlamentarnej, blokady Sejmu, prób wywołania krwawych rozruchów, licznych prowokacji nie zyskują społecznego wsparcia. Opozycja realizuje scenariusz sprawdzony w latach 2005–2007. Wówczas udało im się rozhuśtać społeczne nastroje („W Polsce rządzi PiS, a Polakom wstyd") i doprowadzić przez polityczne intrygi do dymisji znienawidzonego rządu Jarosława Kaczyńskiego. Po latach poznajemy ten mechanizm choćby po szczerych wypowiedziach Romana Giertycha, który jako wicepremier ówczesnego rządu prawdziwych przyjaciół miał w Platformie Obywatelskiej.

Dziś opozycja wraca do starego schematu gry na społecznych emocjach. Zapowiedziała już likwidację CBA i IPN, odejście od struktury województw, aby wojewodów, przedstawicieli rządu w terenie, zastąpić sejmikami wojewódzkimi. Będzie robiła wszystko, aby potencjał dawnej władzy nie uległ pomniejszeniu. Na politykę destrukcji i emocji zjednoczona prawica może reagować tylko spokojem racjonalnego argumentowania. To dlatego premier Mateusz Morawiecki na rynku sandomierskim rzucał w tłum pytania typu: czy program 500+ jest dobry dla obywateli, czy zły? Czy wyprawka dla dzieci szkolnych jest dobra, czy zła? Inaczej nie da się prowadzić wyborczej walki. Na irracjonalność trzeba reagować spokojną racjonalną argumentacją i słuchać, jak reagują ludzie.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl ef95b0f035

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Fantomowe ciało Polski



Witold Gadowski

Właściwie rozważanie powinniśmy zacząć od początku. Od podstawowej kwestii: czy Polska istnieje?! Szokujące? Usiądźcie chwilę i pomyślcie.

Młody, lewicujący naukowiec z Uniwersytetu Jagiellońskiego Jan Sowa napisał bardzo interesującą książkę „Fantomowe ciało króla". Dowodzi w niej, że Polska przestała realnie istnieć wraz z końcem panowania Zygmunta Augusta. Potem były już tylko wyobrażenia, marzenia, zbiorowe ułudy. Nie we wszystkim zgadzam się z ciekawie myślącym Sową, ale sam sposób postawienia sprawy zainspirował mnie do zadania najbardziej fundamentalnego pytania.

Jeśli zatem Polska dziś istnieje i nie jest jedynie zbiorową projekcją naszych pragnień, to musi posiadać jakieś – sobie tylko właściwe – cechy. Może bowiem być i tak, że Polska – owszem – istnieje, ale w naszych pragnieniach, jednak po 1989 r. nie przybrała realnego kształtu, nie stała się bytem podobnym do Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Rosji.

Jedno nie ulega wątpliwości – idea Polski jest na tyle silna, że przetrwała nie tylko czas zaborów, lecz także rozbiory niemieckie i sowieckie, przetrwała również czas III RP – państwa, którego elity zgodziły się na niepełnoprawne istnienie państwa Polaków.

Największym grzechem ludzi, którzy dotąd władali naszym krajem, było pogodzenie się z niepełnowartościowością, a więc i niepełnoprawnością istnienia państwa Polaków. Oni po prostu nie podnosili zbyt wysoko głów, z PRL wynieśli niewolniczy syndrom. Polega on na tym, że „mamy pełne prawo upominać się o miskę i igrzyska, ale wszelkie rozważania o możliwości stanięcia w rzędzie wolnych należy tępić. To tak jak w czasach „Solidarności" cała ekipa byłych pezetpeerowców wmawiała nam, że upominanie się o wolną Polskę jest niebezpiecznym awanturnictwem, bo przecież „oni" są jednak liberalni i „bardzo idą nam na rękę".

Jeśli Polska istnieje nie w pełni, to właśnie z winy okrągłostołowych elit, które narzuciły nam samoograniczanie się, kompleks niższości wobec innych narodów. To się musiało skończyć fantomowym (w kontekście pełnowartościowego państwa) istnieniem III RP. Z takiego rozumowania płynie zatem prosty wniosek: kontynuacja III RP to pogodzenie się z fantomowością istnienia państwa. Umawiamy się, że jest, ale jednocześnie doświadczamy tego, iż nie istnieje w pełni.

Chcemy mieć prawdziwe państwo, skończmy z III RP, zbudujmy je od podstaw, jego prawdziwe elity, kulturę, naukę i mechanizmy funkcjonowania. Zbudujmy polską aksjologię bez oglądania się na grymaszenie lewaków. Bez zmiany myślenia o państwie pozostawimy po sobie kaleki twór – ni to państwo, ni to smród.

Wrześniowe cytaty



Lech Makowiecki

W kolejną rocznicę napaści Niemiec na Polskę przypomnę dwa cytaty z tamtego okresu związane z Polakami. Pierwszy z nich jest prawdziwą laurką dla naszych zalet: „[...] Polacy są najbardziej inteligentnym narodem ze wszystkich, z którymi spotkali się Niemcy podczas tej wojny w Europie... Polacy są jedynym narodem w Europie, który łączy w sobie wysoką inteligencję z niesłychanym sprytem. Jest to najzdolniejszy naród w Europie, ponieważ żyjąc ciągle w niesłychanie trudnych warunkach politycznych, wyrobił w sobie wielki rozsądek życiowy, nigdzie niespotykany [...]". Cytat drugi przeraża już swym okrucieństwem: „[...] Bez litości zabijać wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci polskiego pochodzenia i polskiej mowy... Tylko w ten sposób zdobędziemy przestrzeń życiową, której potrzebujemy. Polskę wyludni się i osiedli Niemcami [...]". Obie wypowiedzi pochodzą od... Adolfa Hitlera. I nie ma w nich żadnej sprzeczności, to po prostu trafna analiza przymiotów (przewag) przeciwnika i określenie skutecznych metod pokonania go. Nasuwają się dwa wnioski:

1. Życie w trudnych warunkach czyni nas silniejszymi i mądrzejszymi.

2. Współczesna wojna jest totalna, nie ma w niej litości dla przegranych.

Jesteśmy jednym z nielicznych krajów zjednoczonej Europy, którego obywatele (w większości) mają jeszcze tego świadomość. Pięknoduchom z UE trudno dziś wytłumaczyć najprostsze zagrożenia związane z imperialnymi zakusami Rosji czy bezwzględnością fanatycznego islamu. Co gorsza, ten lewacki pacyfizm zaraził już znaczną część naszego społeczeństwa, zwanego potocznie lemingami. Te infantylne elity próbują z samobójczym uporem zapewnić krajowi bezpieczeństwo za pomocą baloników i kredek. Gdybyśmy w 1939 r. nie przeznaczali 30 proc. PKB na zbrojenia, nie wykrwawili Wehrmachtu w kampanii wrześniowej, nie szarpali szkopów walką podziemną, tylko ustawili się w kolejce do Auschwitz, zapewne „Polska wyludniłaby się i zasiedliła Niemcami".

eprasa.pl ef95b0f035

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nienawidzić, nienawidzić!



Aleksander Nalaskowski

O ile rządzący obecnie obóz postawił na sanację, czyli leczenie, tzn. uzdrowienie żałosnego tuskolandu, to opozycja dziś w całości zagospodarowała patologię. Do niej mówi, do niej się odwołuje i jej w zasadzie tylko coś obiecuje. A to likwidację IPN, a to znowu likwidację CBA, innym razem przywrócenie przywilejów ubeckiemu pomiotowi bolszewików.

Nieodmiennie też celem ataków jest Kościół. Medialnie przyklejono mu główną rolę w dramatach z pedofilią. Twarde argumenty statystyczne, ogólnodostępne, a zaprzeczające takim oskarżeniom, nie mają dla totalnych tub znaczenia. Po prostu – we własnym środowisku totalniacy są w stanie nawet wynik 2+2=5 przyjąć przez aklamację. Jeśli będzie tylko taka potrzeba. A zatem Kościół i ci wredni biskupi to dla opozycji cel szczególny. Bo cofają nieświadomy niczego naród do kształtu wspólnoty plemiennej, stada, które nie chce słuchać mądrych rad wysublimowanych „intelektualistów" i nie wie, jak głosować. Refleksja, że być może dzięki wierze i Kościołowi mamy mniej alkoholików, niż mamy, mniej rozwodów, mniej skrobanek, mniej morderstw i gwałtów, mniej złodziejstwa, niż moglibyśmy mieć, taka refleksja głupcom nigdy w głowie nie postoi. I tego nie oczekujmy. To dla totalnych myślenie niedostępne.

Kościół i biskupi to dla opozycji cel szczególny. Bo cofają nieświadomy niczego naród do kształtu wspólnoty plemiennej

I są też totalni koryfeusze. Nierzadko patologiczni. Ale z punktu widzenia psychoanalizy dość interesujący. Jeśli tylko uwierzymy Freudowi, że doświadczenia z dzieciństwa kształtują nas na resztę życia i mają wpływ na nasze myślenie, to np. reżyser S. mógłby mieć taką oto biografię. Począł się gdzieś na zapleczu remizy strażackiej jako owoc przypadkowego kontaktu seksualnego, do którego doszło na pewnym mocno zakrapianym weselu. Do końca nie wie, kim jest jego ojciec. Dziadek jako dziecko był świadkiem zbrodni na Wołyniu i małego, wbrew woli ojczyma komunisty, zapoznał z jej szczegółami. Ale dziadek umarł na jakimś weselu. Babcia przeszła przez piekło wyzwolicieli ze Wschodu. Też mu o tym opowiadała. Ale skończyła się edukacja. Bo i ona umarła. Ojczym trafił najpierw do milicyjnej, a potem policyjnej drogówki i robił tam niezłe przekręty, ale w niewyjaśnionych okolicznościach zginął. Jakieś lewe porachunki. Gdy miewał służby, to matka przyjmowała kochanków. W młodości nasz bohater ukryty za tapczanem widział śmierć wujostwa, które w swoim złym domu wiodło złe życie. Nasz S. okazał się talentem literackim, ale niestety również pijackim. Ten drugi ostatecznie zwyciężył. Liczne kuracje odwykowe nie przynosiły rezultatów. Za to w ich trakcie mógł niemal bezkarnie realizować się również jako seksoholik. Jego anioł stróż nie był najwidoczniej dość mocny, to znalazł sobie innego. Na końcu trafił do zakładu, w którym odsiadywał wyrok razem z byłymi duchownymi. Jednego z nich notabene wcześniej poznał już w czasie odwyku. Owi duchowni umówili się w liceum, że z braku lepszych pomysłów na życie zostaną księżmi, bo można się na tym nieźle obłowić. Nigdy nie mieli żadnego powołania, ale byli na tyle przekonujący, że otrzymali święcenia. Cynizm ich nigdy nie opuścił, a Bóg nie powołał. Z premedytacją oszukiwali wszystkich. Od samego początku nie zamierzali rezygnować z dostępnych uciech życia. Swoje owieczki traktowali jak dające runo barany do strzyżenia. Ale w końcu szambo wybuchło i interes się skończył. S. słuchał ich opowieści z zapartym tchem, robił notatki i wraz z kolegą nauczycielem oraz wychowawcą młodzieży – a jakże! – napisał scenariusz do swojego kolejnego hitu.

Wygląda to wszystko jednak tak, jakby ów reżyser opowiadał nam w filmach swoje własne życie. Taki samozwańczy Forrest Gump w odcinkach kinowych. Robi to z pasją, perwersją, dbałością o szczegóły i wyjątkową zawziętością. Wszystkie jego filmy łączy jedno – nienawiść. Bo czy obnaża, czy moralizuje, to nade wszystko nienawidzi. Nienawidzi każdego ze swoich bohaterów. Nienawidzi wprost albo metaforycznie. Kocha nienawidzić Polskę i pokazywać ją gwałconą przez bolszewików, paloną przez Ukraińców, zapijaczoną, pedofilską, skorumpowaną. Wszystko dokładnie pokaże. Nie pozostawi wątpliwości. Jest jednak nieświadomy tego, że filmuje tak naprawdę tylko swoje życie i obsesje, a na świecie wcale nie jest najważniejszy. Mimo to co rusz staje na centralnym placu miasta i krzyczy: „Halo! Ludzie! Tu jestem! Chodźcie oglądać moją brudną bieliznę. Opowiem wam też, jak ojczym brał łapówki, matka się puszczała, a dziadek umarł na kiblu. Pokażę wam podpaski siostry zakonnej i sztuczną szczękę wuja. Wszystko pokażę".

Bo w tym niedemokratycznym, wszak zniewolonym, zakneblowanym i faszystowskim kraju w ruinie każdy może być koryfeuszem, klakierem albo szczurem i mówić, klaskać lub piszczeć, co tylko chce i gdzie chce. Wszyscy jednak mamy prawo nie słuchać. Mamy też prawo się bronić przed obsesją filmowania nienawiści.

eprasa.pl ef95b0f035

PRZEZ ŚWIETLIK

Rekrutanci



Wiktor Świetlik

Słynny Lejzorek Rojtszwaniec z opowiastki Ilji Erenburga mawiał, że skoro zwalniają, to znaczy, że będą zatrudniać. Zapewne wielu klasycznych ekonomistów przyznałoby mu rację, tylko zajęłoby im to kilka milionów liter więcej. W naszych czasach sprawa wydaje się jednak nie aż tak prosta.

Zatrudnianie stało się niezwykle skomplikowaną czynnością. Na tyle, że od lat tworzy się specjalne działy zajmujące się „zarządzaniem zasobami ludzkimi", czyli powszechnie znane „haery". W jednej z firm medialnych, z którymi miałem przyjemność, gdy wybuchł kryzys 2008 r., ów „haer" tak się rozpędził, że dopiero kiedy cały biznes stanął na skraju bankructwa, zarząd zauważył, że specjaliści od zwalniania zadbali, by wylać wszystkich poza sobą. Dlatego dziś, by zwalniać owych „haerowców", zatrudnia się specjalne firmy. Swoją drogą ciekawe, kto zwalnia w tych firmach? Specjalne firmy do zwalniania w specjalnych firmach?

Sprawa równie skomplikowana jest z zatrudnianiem. Rysowanie kresek i kółek, opowiadanie o snach, ulubionych kolorach i tym, „co teraz czujesz", to standard. Przypomina mi to całkiem rozmowę z jedną z moich córek: „Tato, tato, mogę ci zadać pytanie?". „Nie, kochanie, na dziś już żadnych pytań, jestem potwornie zmęczony". „Ale to bardzo, bardzo ważne". „Proszę". „Wolałbyś być konduktorem w pociągu z jednorożcami czy w pociągu z wróżkami?".

Jak widać, rośnie mi w domu przyszła gwiazda tzw. haeru. A to wyzwanie coraz większe i trudniejsze. Znajoma z Wysp pracuje w BBC, największej na świecie państwowej korporacji radiowo-telewizyjnej. Kiedyś my, polscy dziennikarze, patrzyliśmy w BBC jak w obrazek. Sama nazwa wyznaczała standardy, jakość, no po prostu wzór metra. Tak jest zresztą nadal. Wspomniana znajoma i wielu innych pracowników firmy otrzymali maila od szefostwa określającego, jak procentowo wygląda zatrudnienie w firmie osób z grupy LGBT, czyli homoseksualistów, transseksualistów itd. A także, jak limit ten powinien wyglądać. Tak więc już nie talent, doświadczenie, serce, wykształcenie decydują o zatrudnieniu w mediach. Efekt? Zapewne będzie taki, jak bywało po wojnie z niektórymi inteligentami. By dostać pracę w urzędzie, specjalnie mówili „poszłem" i koślawo się podpisywali. Teraz po prostu jak bohater filmu „Plotka", by nie zostać zredukowanym w ramach dążenia do idealnego parytetu, trzeba będzie udawać homoseksualistę. A najlepiej nim się stać. Jak widać, wszystko nieźle pomyślane.

Tylko czasem jakiś złośliwy dowcipniś nakłuje ten balon. Znajomy czarnoskóry pracujący dla TVP był na jakimś międzynarodowym kongresie telewizyjnym w Szwajcarii. W pewnym momencie ktoś stwierdził, że pora zająć się sytuacją mediów w Polsce. Kolega wtedy stwierdził: „A ja mam pytanie: dlaczego jestem jedyną czarnoskórą osobą na tej sali?". „Tu są osoby dobrane według kryteriów profesjonalnych, żadna dyskryminacja nie wchodzi w grę" – ktoś zaczął się tłumaczyć. „To znaczy, że uważa pan, iż tylko biali są na tyle profesjonalni w pana kraju, by piastować takie stanowiska?" – dociekał złośliwiec z Polski. Ależ zaczęło się tłumaczenie! Następnym razem zapewne część się przemaluje. By zapewnić parytet. I zachować posadę, choćby trzeba było nawet wykazać się niezbędną liczbą kangurów wśród personelu.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



53/0418/F

eprasa.pl ef95b0f035



Spotkanie w cieniu Dublina

JAN POSPIESZALSKI

Początkowo myślałem, że to złośliwość albo skłonność do przesady typowa dla twitterowych polemistów, jednak gdy przyjrzałem się zdjęciom szat liturgicznych przygotowanych dla papieża Franciszka na Światowe Spotkanie Rodzin w Dublinie, sam uznałem, iż coś tu się nie zgadza.

Nie trzeba być specjalnie przeczulonym, by dziwaczne wzornictwo i tęczową kolorystykę ornatów skojarzyć z subkulturą LGBT.

NIEOBECNOŚĆ

Żeby nie oceniać całego wydarzenia na podstawie tego jednego elementu, sprawdziłem program. Już pobieżna lektura strony internetowej Spotkania Rodzin daje do myślenia.

W Dublinie akredytowało się 30 tys. wiernych. Wśród nich oczywiście najliczniejszą grupą (20 tys.) są Irlandczycy. Stosunkowo spora grupa (1 tys. osób) to pielgrzymi z Polski. Niestety nazwisk polskich biskupów ani duchownych wśród głównych panelistów nie znalazłem. Takie zmarginalizowanie naszego głosu wygląda na brak zainteresowania organizatorów polskim doświadczeniem. Widać, że głos przedstawicieli jednego z największych katolickich krajów, w którym kondycja rodziny jest w miarę dobra, nie jest potrzebny.

W STRONĘ CYWILIZACJI ŚMIERCI

Gdy piszę ten tekst, nie znam jeszcze treści papieskiej homilii, niemniej to, co z perspektywy czwartkowego wieczoru już wiemy o wydarzeniu, może budzić zdziwienie.

Światowe Spotkanie Rodzin nabiera szczególnego kontekstu przez niedawne referendum, w którym większość Irlandczyków opowiedziała się po stronie cywilizacji śmierci. A przecież pierwsze Światowe Spotkanie Rodzin zainicjowane przez Jana Pawła II w 1994 r. odbyło się właśnie pod hasłem „Rodzina sercem cywilizacji miłości". To wtedy Matka Teresa z Kalkuty wygłosiła poruszający apel w obronie życia. Niestety wśród tematów wystąpień i konferencji trudno się doszukać refleksji, która by próbowała odpowiedzieć na pytania: co się stało z katolicką Irlandią? Dlaczego dziś większość obywateli zagłosowała przeciwko życiu? W opublikowanym programie i tematach spotkań nigdzie też nie znalazłem nawet wzmianki o przypadającej w tym roku 50. rocznicy ogłoszenia przez Pawła VI encykliki „Humanae vitae". A przecież to jeden z najważniejszych dokumentów Kościoła odnoszący się do małżeństwa i rodziny.

LGBT W PARAFII

Nie zabrakło za to wystąpienia amerykańskiego jezuity Jamesa Martina, który pouczał, jak przyjmować i okazywać szacunek w parafiach osobom LGBT. Jak włączać je w życie wiernych i czym mogą wzbogacić rzeczywistość Kościoła. W wykładzie autor apeluje już nie o tolerancję, ale o akceptację, przeproszenie i włączenie do kościelnej posługi. Zdumiewa, jak szybko w oficjalnym języku Kościoła (a treść jednego z głównych wykładów taki ma status) pojawiają się określenia z języka homopropagandy. Ojciec Martin już nie mówi o nieuporządkowanych skłonnościach, ale o orientacji seksualnej. Dywaguje, jak promować wiedzę o transpłciowości w parafiach – czy wystarczą wykłady, filmy edukacyjne, czy może specjalne spotkania z osobami transpłciowymi? Przeczytałem cały wykład i nigdzie nie znalazłem postulatu porzucenia przez gejów katolików homoseksualnego sposobu życia. Według Martina, bo tak to rozumiem, parafie i wspólnoty powinny przyjąć ludzi LGBT wraz z rodzinami (partnerami?) bez oczekiwania z ich strony przemiany życia.

GASZENIE POŻARU BENZYNĄ

Ocena całego wydarzenia w Dublinie tylko przez pryzmat zbyt słabych głosów w obronie życia, gejowskiej kolorystyki ornatów czy heretyckich pomysłów jezuity Jamesa Martina jest pewnie niesprawiedliwa. Zważmy jednak, że dublińskie spotkanie odbywa się w cieniu kolejnych doniesień o pedofilii w amerykańskich parafiach. Według sądowych statystyk sprawcami miażdżącej większości aktów molestowania nieletnich byli księża homoseksualiści. Dlatego właśnie teraz, tym bardziej w doświadczonej pedofilskimi skandalami Irlandii, Kościół w tych kwestiach powinien mówić: „Tak, tak, nie, nie!". Tymczasem wielebny James Martin w dublińskim wykładzie z radością odnotowuje przyjęcie dwóch znanych mu przedstawicieli LGBT do zakonnego nowicjatu. Poglądy ks. Martina znane są od dawna. Zapowiedź jego wystąpienia podczas Światowego Spotkania Rodzin była mocno oprotestowana przez tysiące katolików. Upór, z jakim organizatorzy zachowali w programie jego wystąpienie, świadczy o tym, że poglądy Martina są im bliskie. To groźny sygnał dla Kościoła nie tylko w Irlandii.

eprasa.pl ef95b0f035



Jerzy Jachowicz

Piętno Polaka

Musisz to zrozumieć, moja najdroższa Miriam. Jest mi po prostu wstyd, że jestem Polakiem. To jedyny powód, dla którego powinniśmy na jakiś czas odłożyć nasz ślub" – pisze doktorant prof. Magdaleny Środy Jerzy Czwartek do swej wybranki serca, młodej i atrakcyjnej obywatelki Republiki Gambii, zamieszkałej w stolicy swego pięknego kraju Bandżul.

Ta wzruszająca historia, będąca dowodem zbliżania się cywilizacji kontynentu europejskiego i afrykańskiego, rozpoczęła się pięć lat temu podczas seminarium „Świecka kultura jako wyraz zbiorowego postępu ludzkości jako takiej oraz wszechstronnego rozwoju osobowości w skali indywidualnej" na wydziale socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Mówiąc krótko i dosadnie – nauka nie tylko dzieli, lecz i łączy. Naszych bohaterów, niezależnie od pasji poznawczej, na gruncie której się poznali podczas zażartych dyskusji – często już poza salą seminaryjną – i do siebie zbliżyli, połączyło gorące uczucie. Czy może być coś piękniejszego i bardziej budującego? Zwłaszcza że Jerzy Czwartek i Miriam postanowili przypieczętować swój uczuciowy związek węzłem małżeńskim. Uroczystość ślubną zaplanowali w kraju panny młodej, gdzie małżonkowie zamierzają zamieszkać na stałe i tam realizować swoje szczęście. Gdyby nie przeszkoda...

„Nie mogę dopuścić, żebyś spacerowała po parku w Bandżul z pieczątką »To ta żona Polaka«. Pokazywana palcami w operze narodowej czy na miejscowym uniwersytecie. Prawda o tym, co się naprawdę dzieje w Polsce, szybko dociera do każdego zakątka świata. Choćby o tym, że prof. Środa ma zakaz prowadzenia zajęć na uniwersytecie. Zeszła więc do podziemia, gdzie przygotowuje pierwszy numer konspiracyjnego tygodnika. Albo to – po dokonaniu przez rząd zamachu na Sąd Najwyższy jego prezes Małgorzata Gersdorf otworzyła w Niemczech „prezesurę na obczyźnie", gdzie przyjmuje skargi niewinnie skazanych więźniów politycznych z opozycyjnych partii, m.in. Stanisława Gawłowskiego.

Droga Miriam, sprawdź, co muszę zrobić, żebym stał się obywatelem Gambii. Gdy tylko to nastąpi, rozpoczniemy wspólne życie".

CO MNIE RADUJE

Defilada wojskowa



Katarzyna Łaniewska

15 sierpnia z wielkim zainteresowaniem śledziłam obchody Święta Wojska Polskiego.

Ze względu na mój wiek, wielki upał i inne dolegliwości współuczestniczyłam w tym pięknym święcie, oglądając telewizję. Msza poranna w katedrze polowej w obecności pana prezydenta z małżonką i innych ważnych osobistości, bo to przecież też święto Kościoła katolickiego – Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny lub Matki Boskiej Zielnej. Później nadawanie szlif generalskich i awansów przed Pałacem Prezydenckim. Wreszcie złożenie wieńców na pl. Józefa Piłsudskiego w imieniu narodu.

O 13.00 zaczęła się ta najwspanialsza uroczystość. Pierwszy raz w znakomicie wybranym miejscu – na Wybrzeżu Kościuszkowskim – defilada Wojska Polskiego. Wszędzie obecny był pan prezydent, witał, przemawiał, dziękował. Polecał Bogu naszą ojczyznę. To było bardzo wzruszające. To miejsce czekało na te czasy, na oddech armii, na to, że może się ona pokazywać otwarcie i szeroko. Miejsce to jest wspaniałe dla defilujących, ale i dla oglądających. Na błonia nad Wisłą przyszło ok. 100 tys. ludzi – obejrzeć armię i uczestniczyć w święcie. Przyroda stworzyła im miejsce jak w najlepszym amfiteatrze – od stóp Starego Miasta wzgórze wypełnione było ściśle na całej długości głowami Polaków. Dla tych Polaków ci, którzy w razie potrzeby będą bronić i służyć, są ważni. Sztandary, wojskowi różnych formacji, ale i sprzęt, defilada przelatujących samolotów. Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Na końcu kawaleria oraz grupy rekonstrukcyjne. To wspaniali ludzie, którzy sami się organizują i rekonstruują różne okresy oręża polskiego. Ci ludzie poświęcają swój czas, swoje pieniądze i chęci.

Konie przypominały mi inny obrazek z mojego życia, który się też tam na błoniach odbywał. Ponad 30 lat temu 3 maja zaczęła się demonstracja nas – solidarnościowców. ZOMO spychało nas z uliczek, gdzie szliśmy i wołaliśmy do ludności: „Chodźcie z nami". Niektórzy wysuwali biało-czerwone sztandary. Policja konna atakowała, rozpędzając nas. Te wspomnienia szybko się zatarły wspaniałą defiladą.

Potem było spotkanie na pikniku przy Stadionie Narodowym. Całe rodziny z dziećmi. Bardzo mi się podobał mały chłopaczek, który zapytany przez dziennikarkę odpowiedział: „Mnie się podobał najbardziej czołg". „A dlaczego?". „Bo jest bardzo duży". Całe rodziny tam przekazywały swoim dzieciom historię.

Tak mi minął radosny dzień, jakże inny od tych dni, które niestety pamiętam. Pamięć mi została.

eprasa.pl ef95b0f035

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Kornik a sprawa polska

Niemcy tępią u siebie kornika, wycinając drzewa, a u nas doprowadzili do wycięcia ministra



Ryszard Makowski

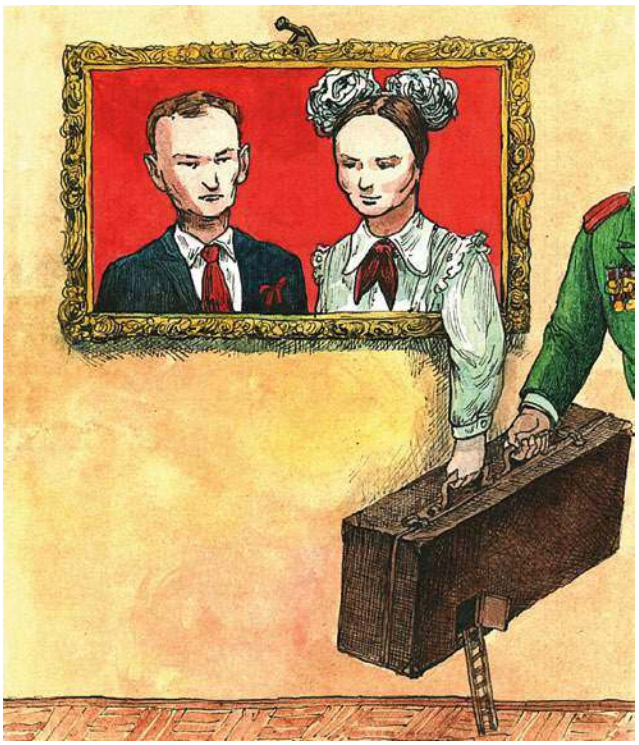
Chyba nie ma przykładu dobitniej ilustrującego traktowanie nas przez Unię Europejską niż obrona lasu przed kornikiem. Pamiętamy awanturę na całą Europę po decyzji ówczesnego ministra środowiska o wycince drzew zaatakowanych przez chrząszcza, co brzmiał w Puszczy Białowieskiej. Sam Trybunał Sprawiedliwości UE nakazał natychmiastowe wstrzymanie wyrębu. Akcję wspierali gorliwie ekoterroryści z Greenpeace, a ich wspierały wiadome media i usługowi profesorowie. Pojawiły się śmiałe teorie, że trzeba sprzedać drewno, bo brakuje na sfinansowanie programu 500+. Gdy kornik zamachnął się na drzewa w Niemczech, piły poszły w ruch i nikt nie ma nic do gadania.

Czy Unię Europejską i dzierżące w niej prymat Niemcy mogło de facto interesować, ile lasu zostanie w Polsce wycięte? Ależ skąd! Pokazowo przeczołgano polski rząd. Unia niszczy metodycznie naszą państwowość, jak kornik las. Osłania rozbestwioną kastę III RP. Gdańska Rada Izby Notarialnej: nie będzie postępowań dyscyplinarnych wobec notariuszy współpracujących z mafią lichwiarską. Ponad 120 zarzutów, ok. 400 poszkodowanych, geszeft na 20 mln i bezstresowo działamy dalej. Za to Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe orzekł, że niemiecka telewizja ZDF nie musi przepraszać więźnia Auschwitz za „polskie obozy zagłady".

Stajemy się protektoratem Niemiec skumanych z Rosją. Geopolityka poszła nawet w las.

eprasa.pl ef95b0f035

***Zawistowski prezentuje:* Ludmiła**



Wycinki z przeszłości

Tym razem zaglądamy do pisma lwowskiego „Wiek Nowy" z czerwca 1910 r., by w ogłoszeniach drobnych znaleźć odblask ówczesnej codzienności. Oto treść kilku z nich:

„MAŁŻEŃSTWO. Młody, inteligentny kawaler, z dobrej i uczciwej rodziny, z zawodu mechanik, poślubi pannę, łagodnego usposobienia, która mu dopomoże materialnie do ukończenia kursu szoferskiego we Wiedniu, poczem uzyska rządową posadę. Rzecz traktuję całkiem seryo. Fotografia konieczna – zwrot zapewniony. Zgłoszenia pod hasło »Samochód« do administracyi »Wieku Nowego«.

MŁODY człowiek, poważny, z wykształceniem gimnazjalnym, z inteligentnego domu, z ładnem pismem, bez środków do życia, prosi gorąco o jakąkolwiek biurową posadę, za skromnem wynagrodzeniem. »Posada 29«, post. rest. Lwów.

HAFCIARKI biegłe w haftach ręcznych, jakoteż i na maszynie »Singer«, zostaną natychmiast przyjęte. Zgłoszenia: Sommer, Sobieskiego 2.

Z POWODU WYJAZDU jest do sprzedania fabryka garbarska z urządzeniem oraz 3 morgami gruntu. N. Felsenfeld, Sokołów koło Rzeszowa.

POŁOŻNA Pichler przyjmuje panie na czas słabości. Pokoje osobne. Gródecka 56, wchód z ul. Narskiej 1, Lwów.

SŁOMIANYM wdowcom poleca się mleczarnia, ul. Ormiańska 2". ***(mk)***


Przybory do podróży
znane z dobroci
Kufry, Walizki — Torby z necessarami — Torebki damskie, Pudła na kapelusze i t. p. własnego wyrobu poleca
Leopold Rozenzweig
Lwów, Sykstuska 2, w podwórzu.
Pokrowce i reperacye uskuteczn. się natychmiast.
EKONOM, katolik, lat 38, żonaty, bezdzietny, 15 lat praktyki na różnych folwarkach, również rozumie się na maszynach rolniczych, pragnie zmienić posadę od 15. sierpnia 1910. Poste restante „E. S. 70", Chabówka.
MEBLE
wszelkiej jakości, po cenach najniższych, poleca powszechnie znana firma
Steil
Lwów, Teatralna l. 16. Ulgi w spłatach także dla prowincyi.
Pokój frontowy
z osobnym wchodem, z całem utrzymaniem, dla uczniów szkół średnich, dla pp. urzędników i akademików, przy poważnej rodzinie, do wynajęcia. Łaskawe zgłoszenia: Ulica Chmielowskiego 2, parter, na prawo.
WDOWA, kalekа, nie mogąca zarobić na kawałek chleba, uprasza drogą litościwe osoby o łaskawe datki. Adres: Antonina Kohlmünzer, ul. Kamienna 3, w pracowni krawieckiej.

Odlatują bociany...



Leszek Długosz

O Nieba, w jakie dale!
W jakie ogromy świata
W niebezpieczeństwa i trudy podróży
Ponad górami, morzami na południe
W afrykańskie kraje
– I nic na drogę?
Ani pół kęska, żadnego napitku
Jakiejkolwiek stąd pamiąteczki
Odrobiny dobytku?

Nieznanym podniebnym szlakiem
Bez podpowiedzi kompasu
A tylko co tam gps z natury
Skrzydłami zwietrzy, okiem wypatrzy
O losie, tak lecieć
I trafić?

Gromadami
Rodzice z dziećmi, samotnicy
Weterani i debiutanci
– Śmiałki tegoroczne
W niestraszne im Somosierry nieba
Voyagery podążające
Stadami
– Aż taka potrzeba?

O moiście wy, boćki
Z rodzimych gniazd
Na słupach, drzewach bliskich
Z nami mieszkające
Macieje, Bartki, Kleofasy
Tekle, Marianny, jakim tam imieniem
Sąsiad z podwórka was nie uraczył
Z wiosną na gody tu zlatujące
I na matczyność i na ojcostwo
Czemu wam dłużej z nami źle zostać?

– Ciemna zasłona losu
Podpowiadają sierpnia cienie:
– Ląd pora zmienić!
Czemu wam – tu i tam?
Nam tylko tu... pisane?

Weźcie na drogę
– Od łąk, od stawów i mokradeł
I ode mnie
Pospołu wierne pamiętanie...
– Polonez Ogińskiego
Niech za wami płynie
– Grany na okarynie...
Gdy wam się tam w Afryce przypomni owa
Nuta rzewna
Reszta się w myślach sama dobędzie:
Do kraju tego tęskno nam Panie
– To rzecz pewna...
– Marzec za pasem, wracamy!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl ef95b0f035

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wolni i „wolni inaczej”

Niby łatwo przewidzieć, jak „Wyborcza”/Oko.press/„Newsweek” opiszą tegoroczne obchody Święta Wojska Polskiego. Święta ustanowionego na pamiątkę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej w 1920 r., Cudem nad Wisłą zwanej. Święta będącego jednocześnie świętem liturgicznym Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Przecież już samo skumulowanie tych świętowań może być powodem nieprzyjemnych dreszczy dla kosmopolitycznych dusz...

A jednak zaskoczenie. Przeglądając relacjo-refleksje na temat tegorocznego 15 sierpnia w wymienionych wyżej medium, można być zaskoczonym dystansem oddalenia od polskości.



Relacjonując widowisko na pl. Piłsudskiego, weteran „GW” napisał, że od tego patriotyzmu „można było dostać mdłości”

KONTROWERSJE

Wiele miast świętowało, ale kluczowa była oczywiście stolica, w której odbyła się wojskowa defilada. Tym razem przeszła Wisłostradą i miała rozmach jak Święto Narodowe Francji na Polach Elizejskich. Był też wojskowy piknik na błoniach Stadionu Narodowego, a na pl. Piłsudskiego wieczorem było widowisko „Wolność we krwi”.

Dla wielu Polaków to był po prostu radosny dzień. Dla niektórych to był dzień pełen kontrowersji.

Kto to widział, żeby z powodu defilady tarasować „ruchliwy szlak rowerowy”? („Wyborcza”). By urządzać takie „ćwiczenia z potęgi”? I sytuacje, gdy „z morza dźwięków można wyłapać słowa »Polska«, »Polak«, »z Polską« i »o Polskę«. Reszta jest nieczytelna” („Newsweek”). Bo przecież: „Jacy rządzący najbardziej kochają defilady i co one symbolizują? Poczytaliśmy historyków, antropologów i filozofów. I zrobiło nam się niedobrze” (Oko.press).

A wieczorne widowisko? Podobno nie było zgody na wykonanie jednego z utworów, a i tak zaśpiewali. Prezydent zaś mówił za długo. A plakat promujący imprezę to plagiat plakatu jakiejś francuskiej artystki („GW”).

„FETOR HURRAPATRIOTYZMU”

Ale „kontrowersje” to nie wszystko. Relacjonując widowisko na pl. Piłsudskiego, weteran „GW” napisał, że od tego patriotyzmu „można było dostać mdłości”.

I coś jest na rzeczy. Pewien filozof z UMCS (też na łamach „Wyborczej”) użył nie tylko słów mocniejszych: odczuł „fetor hurrapatriotyzmu”, lecz dostrzegł coś jeszcze donioślejszego (pewnie tym „fetorem” odurzony): Polacy nadużywają wizerunku Matki Boskiej! A „Matka Boska jest kosmopolitką, mówi wieloma językami i przychodzi do całej ludzkości”.

Zastanówmy się zatem, czyż nie najwyższa pora, aby Polacy odważnie zadali pytania: „Jak można podziwiać sprzęt wojskowy? Czy to na pewno normalne? Czy naprawdę trzeba tak patetycznie? Nie da się od tego uwolnić? Nie wystarczy kameralny jarmark i wszak słodyczą pachnący słoiczek dżemu?”.

WOLNOŚĆ WE KRWI I JUŻ

Widowisko muzyczne „Wolność we krwi” było opowieścią o rodzinie, której losy przeplatają się z historią odrodzonej Polski.

Zagrał pomysł ilustrowania zakrętów naszej historii przebojowymi utworami muzycznymi. Pewnie, że przekaz historyczny był, siłą rzeczy, uproszczony. Może nie we wszystkich miejscach fortunnie, co widać np. gdy czytamy wspomnianego już autora „GW”, który na pytanie, jak w takim razie obalony został komunizm, odpowiada: „A tak: przyjechał Ojciec Święty Jan Paweł II i powiedział: »Niech zstąpi Duch Święty i odrodzi oblicze ziemi«. I odrodził oblicze Polaków... i już”.

Ale czyż podobnie nie było z sukcesem wyborczym Prawa i Sprawiedliwości? Zakrzyknięto do ludzi, wezwano do podniesienia się z kolan, obiecano pieniądze na dzieci, odebrano Platformie władzę. I już.

PATRIOCI

W ostatnich latach środowiska opozycji, podążając z duchem czasu, śmiało sięgają po retorykę polskości. Deklarują swój patriotyzm, zaznaczając wszelako, że mają inną (tj. głównie antypisowską) wizję Polski i polskości.

„Literackim” centrum tej opozycji są „Wyborcza”/Oko.press/„Newsweek”. Ich autorzy nie dotarli jeszcze do momentu zrozumienia, że nie da się pogodzić deklaracji bycia Polakiem z jednoczesnym prześmiewczym dystansowaniem się wobec dziedzictwa ocalonego przez naszych przodków w Bitwie Warszawskiej.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Autopromocja

eprasa.pl ef95b0f035

Zawsze w trendzie wzrostowym

Portal pełen informacji i opinii o gospodarce





Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce



eprasa.pl ef95b0f035



TERAZ JESTEŚMY TAKŻE W

upc

NA POZYCJI

339 dekoder Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

oraz w internecie:

- **www.wPolsce.pl**
- **www.wPolityce.pl**

eprasa.pl ef95b0f035